INTROLIGATORNIA
i Linijowanie papieru
L. MIERNICKIEGO
Elektoralna № 10.

TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XXII.

Eli Makower.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 39.
1885.

319100

Eliza Orzeszkowa.

ELI MAKOWER

POWIEŚĆ

w trzech tomach.

Tom trzeci.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala
Nowy Świat Nr. 39.
1885.

BIBLIOTEKA PODRĘCZNA
ANULOWANO
1115
zn. m. 17156/22/3

Дозволено цензурою.

Варшава, 2 Сентября 1885 года.

475035

TOM III.

BIBLIOTEKA PODRĘCZNA
17315

I.

Noc była grudniowa, lekko mroźna i pogodna. Nad ręczyńskim dworem, po błękitach, przysłonionych srebrzystą mgłą, płynął księżyc w pełni i oświecał jeden z najpiękniejszych krajobrazów. Rozłożyste, wspaniałe drzewa starych, wielkich ogrodów, oblepione szronem, iskrzyły się dyamentowo; poniżéj splątana gąszcz krzewów i roślin młodych przybierała w cieniu kształty, dziwnéj fantastyczności i rozmaitości pełne. Gładkie, skaliste, wysokie brzegi Niemna, jaśniały nieskazitelną bielą alabastru; u stóp ich, głęboko w dole, martwo leżała szeroka wstęga lodu i słychać było cichy, lecz gwałtowny szum wód, które burzyły się i wrzały pod błyszczącą swą powłoką z kryształu. W majestatycznym spokoju i kamiennéj niby nieruchomości, stała w pobliżu długa, ciemna ściana wielkiego boru; po białych wzgórzach szumiały z cicha samotne sosny. Kędyś w oddali, śród szerokich rozłogów pól, śród wierzb rosocha-

tych, rosnących nad krętemi szlakami dróg, w wąwozach, wyżłobionych wiekową pracą fal wodnych, w dolinach, kędy rozrzucone czerniały wioski i gaje, wiatr sunący ciężko i nizko, huczał gamą głuchą, nieprzerwaną.

We dworze było miejsce jedno, z którego można było okiem ogarnąć cały ten krajobraz. Znajdowało się ono tuż za pałacem, u skraju wzgórza, po którego stokach zbiegały szerokie i długie perspektywy ogrodowych alei, u którego stóp rozwierały się ściany skaliste, lub dzikiemi krzewami obrosłe, graniczącego z Niemnem wąwozu... W miejscu tém było leciuchne drewniane ogrodzenie, strzegące kroków ludzkich od poślizgnięcia się po stromej spadzistości.

Teraz, o ogrodzenie to wsparty, otulony przed zimnem futrzanym paltotem, stał Konrad Ręczyc. Była to ostatnia noc, którą syn pani Malwiny przepędzał w rodzinném swém miejscu. Ręczyn przed kilku tygodniami sprzedanym został grafowi K..., a nazajutrz przybyć tu miał ktoś ze stron dalekich i, w imieniu nowego dziedzica, majątek ten w posiadanie objąć. Przez czas ubiegły Konrad był bardzo spokojnym i zadowolonym. Zdawało mu się, że raz na zawsze pozbył się już trosk i przykrości, które, w ostatnich szczególniéj czasach, ze wszech stron go oblegały. W kieszeni téż posiadał dość znaczną sumę pieniędzy, na drugą zaś, znaczniejszą jeszcze, wydano mu w obecności pełnomocnika jego, Augustyna

Szyłły, urzędowy dokument. Zresztą przyrzekano mu, że wkrótce stanie się on dziedzicem innego majątku, w sąsiedniéj prowincyi położonego, pięknego, bez długów, z mnóztwem łąk, na których wypasać się może liczna stadnina koni. Zastanowienie się i obrachowywanie szans przyszłości nie leżało ani w umyśle, ani w charakterze syna pani Malwiny. Porycki, Eli i Efroim dowodzili mu, że sprzedaż Ręczyna była interesem świetnym, pełnomocnik jego nie zaprzeczał temu; Konrad więc wierzył, cieszył się i pełném nadziei okiem w przyszłość swą spoglądał.

Na tém niebie pogodném była przecież chmurka drobna, lecz dosyć ciemna. Konrad wiedział, iż kilku wierzycieli jego, których należytości nie były dostatecznie ulegalizowane, nic nie otrzymało, że cała sprawa sprzedaży urządzoną została przez Elego i Ildefonsa tak cicho i skrycie niemal, że wierzyciele owi nic wcale o niéj dotąd nie wiedzieli. Szacherka ta urządzona była gwoli oszczędności grafa K..., który, wbrew hojnemu i na wydatki niezważającemu baronowi R..., o tyle większą zapłatę przyrzekał swym agentom, o ile mniejszą sumę wydadzą na nabycie Ręczyna. Suma ta mogła być umniejszoną dwoma sposobami: usunięciem na bok niedostatecznie ulegalizowanych należności, i wydaniem z kolei Konradowi i jego matce dokumentów, z opuszczeniem ważnéj jakiéjś formalności, która-by je w oczach prawa nieważnemi czyniła. Oba sposoby te użyte zostały.

O drugim Konrad nic naturalnie nie wiedział; o piérwszym nie wiedziéć nie mógł, lecz dobry popęd jego, odradzający mu popełnienia tak krzyczącéj niesprawiedliwości, zwyciężony został perswazyami Elego, sofizmatami Ildefonsa, namowami szczególniéj i radami powiernika jego i ulubieńca, Efroima, tą wreszcie uwagą, że, koniec końcem, gdy tylko zechce, będzie mógł długi owe, przy akcie sprzedaży ukryte i pominięte, spłacić częścią pozostałéj mu gotówki.

— Naturalnie, że spłacę je! — myślad Konrad, chowając do pugilaresu pieniądze, wręczone mu w imieniu nabywcy przez Poryckiego.

W godzinę po otrzymaniu pieniędzy tych, rzekł nawet do Efroima:

— Jak myślisz, Efroimku? może-by posłać po Pawła Szyłłę i tych tam innych... Niech przyjadą i pieniądze swoje wezmą!

Efroim perswadował, że to nic pilnego i że na to zawsze czas będzie. Porycki zaś twierdził, że ludzie ci niebawem zapewne dowiedzą się o sprzedaży, i sami po należności swoje przyjadą. Czyniąc to przypuszczenie, patrzył znacząco na Efroima, który dawał mu także oczyma znaki porozumienia. Widać było, że agent główny i dzierżawca Ręczyna wiedzieli dobrze, w jakim czasie pokrzywdzeni przybyć mają do krzywdziciela.

Konrad, zajęty planami otwierającéj się przed nim nowéj przyszłości, zabawiany przez Efroima nie-

kończącemi się nigdy a ulubionemi mu gawędami, zapomniał o całéj téj sprawie; chwilami jednak odzywało się we wnętrzu jego coś, jakby wyrzut sumienia. Wtedy uspokajał się myślą, że nic straconego przecie niéma, że w każdéj chwili gotów jest długi spłacić i krzywdy naprawić.

Teraz jednak, gdy syn pani Malwiny, wsparty o drewniane ogrodzenie, stał na najwyższém miejscu dawnéj swéj posiadłości, i okiem ogarniał wspaniały, roztaczający się dokoła krajobraz, z myśli i pamięci jego wyszły wszelkie finansowe sprawy, a z serca zniknął błogi spokój, doświadczany przezeń dotychczas. Dlaczego przyszedł tu?... nie wiedział o tém dobrze, jak nie wiedział nigdy o niczém, co robił kiedykolwiek. Jakiemi były mianowicie uczucia, które go tu przywiodły i których doświadczał w téj chwili? jak nazywały się one i z jakiego płynęły źródła? nie zdawał on sobie z tego sprawy i zdawać nawet nie usiłował. Czuł tylko, że mu było smutno, że piersi jego nurtował wyrzut i targał go za serce w sposób dotkliwy. Siła jakaś, nieokreślonéj dla niego i niepojętéj natury, ciągnęła go wieczora tego po-za ściany pałacu, ku tym ogrodom, wzgórzom i polom, które mógł widzieć w całéj ich rozciągłości z nad stromego brzegu wąwozu. Przyszedł, stanął, oparł się o ogrodzenie i patrzył... Wspomnienia cofnęły go o lat wiele, aż do samego początku jego życia. Widział siebie dzieckiem małém, igrającém pod cieni-

stemi sklepieniami tych starożytnych alei ogrodu; potém chłopięciem dorastającém, cwałującém konno, na czele rówieśników, po tych drogach krętych, nad któremi teraz wstrząsały z lekka .stare swe wierzchołki wierzby rosochate. Tam była grusza dzika, pod któréj cieniem, zmęczony długą myśliwską wycieczką, spoczywać lubił; a tam znowu czerniały wielkie bory i lasy, na których, odkąd żył, machinalnie, lecz codziennie, wzrok swój zatrzymywał. W umyśle jego drzémiącym i obezsilonym życiem bezmyślném, pracowała jednak w téj chwili siła jakaś tajemnicza, rozkazywała mu szukać wzrokiem po widnokręgu miejsc ulubionych, budziła wyobraźnią jego, która ku miejscom tym przywoływała wszystkie uroki wiosny i młodości, maiła je, złociła i stawiała mu je przed oczy w postaci utraconego raju.

Siła ta nie była czém inném, jak instynktowém, z naturą ludzką nierozdzielném uczuciem przywiązania, spajającém człowieka z temi zewnętrznemi widokami i żywiołami, śród których wzrastała i kształciła się fizyczna i moralna istota jego.

Konrad nie był człowiekiem zepsutym; był raczéj dorosłém dzieckiem, wiedzy, rozwagi i woli pozbawioném. To téż, obok owego instynktowego uczucia, przez które wydawało mu się, jakoby pomiędzy nim, a krajobrazem tym węzeł jakiś rwał się boleśnie i niemal dotykalnie, obok uczucia tego, i silniejsza od niego ozwała się w nim jeszcze dolegliwość inna. Po-

myślał, że za dni parę po tych aleach, wzgórzach i dolinach ślicznych, stąpać będą kroki ludzi obcych, że pośród ścian dawnego domu jego zabrzmią głosy obce, że kroki te i głosy on sam tu sprowadził... Coś niewyraźnego, nieokreślonego, coś, o czém słyszał nieraz, co sam w chwilach pewnych przelotnie uczuwał... podniosło się teraz we wnętrzu jego i zabolało go w piersi. Jakieś dźwięki dobrze znane, lecz o których nie pamiętał nigdy, brzmiały mu teraz w uchu; jakieś uczucia, z krwią może odziedziczone, w najtajniejszych dla niego samego głębiach serca drzémiące, obudziły się i przemówiły... Uczuł nagle to, czego nigdy nie czuł — uczuł wstyd i żal. Oparł na dłoni zrumienione czoło, westchnął i sam do siebie zawołał:

— A to, jak Boga kocham! kto-by się kiedy spodziewał, że ja to zrobię!

Wymawiając słowa te, poniósł rękę do oczu, bo zwilżyły się one kilku gorącemi łzami.

W téj saméj chwili jednak podniósł szybko głowę i zdawał się przysłuchywać czemuś z uwagą i nagłém zaniepokojeniem. Za pałacem i dworskim dziedzińcem, w pobliżu gdzieś folwarcznych zabudowań, ozwał się śród ciszy nocnéj turkot kół, głucho dudniących na przymarzłéj, cienką tylko warstwą śniegu okrytéj ziemi. Po tym odgłosie nastąpił inny podobny.

— Kto-by to mógł przyjeżdżać o téj porze? — rzekł do siebie Konrad.

Przykro zaniepokojony, opuścił ogrodzenie, o które wspierał się dotąd, i szybkim krokiem zmierzał ku pałacowi.

— Kto-by to mógł przyjeżdżać o téj porze? — w téj saméj chwili zapytywał w głębi pałacu pieszczony głos Lili.

Siedziała ona przy kominku, na którym palił się ogień, otulona ciepłym szalem, od blasku i gorąca płomieni osłoniona na-pół ekranem. Naprzeciw niéj, z książką w ręku, którą głośno czytał, siedział Ildefons Porycki. Dokoła dwojga ludzi tych panowała cisza głęboka i samotność zupełna. Po-za pokojem, w którym się znajdowali, oświetlonym przyćmioną lampą i blaskiem kominkowego ognia, salony i saloniki pogrążone były w ciemnościach i nieładzie, zalegającym zwykle wszelkie siedliska ludzkie w przeddzień ich opuszczenia. Ładne sprzęty, strojące je niegdyś, w części zniknęły, w części ustąpiły miejsca licznym skrzyniom i pakom, zawierającym w sobie przygotowane do jutrzejszych przenosin przedmioty. U stóp głównego balkonu stał kocz opakowany, do drogi gotowy. Konie zaprządz do niego miano nazajutrz z rana.

Z cienia, w którym siedziała, patrzyła Lila od godziny już na twarz swego towarzysza, ale daleką była od spostrzeżenia wyrazu oczekiwania i niespokoj-

ności, który twarz tę niekiedy przyoblekał. Porycki, jakkolwiek zajęty głośném swém czytaniem, przerywał je sobie często, gorącym wymownym wzrokiem obejmował siedzącą naprzeciw niego piękną postać kobiecą, lecz wnet potém przelotne spójrzenie rzucał na okna pokoju i zdawał się wytężać słuch, w celu usłyszenia jakiegoś oczekiwanego odgłosu. W ogólności agent *Domu pośrednictwa*, bledszy dziś, niż kiedykolwiek, z czyma silniéj, niż zwykle, połyskującemi z-za szkieł szafirowych, miał pozór człowieka, ku któremu zbliża się chwila ważna dla niego niezmiernie, chwila ostatecznie rozstrzygać mająca o planach jego, pracowicie ułożonych, różnostronnych, a różnostronnie téż i nieskończenie mu drogich.

Gdy turkot dwóch, jedna po drugiéj nadjeżdżających bryczek, ozwał się na dziedzińcu, Porycki podniósł się z siedzenia i, zanim Lila zapytanie swe wymówić zdołała, z niewyraźnemi jakiemiś słowami na ustach śpiesznie opuścił pokój. Wyszedł na balkon i potoczył wzrokiem po dziedzińcu gładkim, obszernym, białym teraz od śniegu, jasnym od księżycowego światła. Wśród światła tego sunęła szybko od strony folwarku ku pałacowi czarna wysoka postać. Porycki zbiegł z balkonu, i pod ścianą pałacu spotkał nadchodzącego Efroima.

— Cóż? — szepnął bardzo cicho — przyjechali?

— Dwoje już przyjechało — odszepnął żyd— ale zaraz będzie ich tu więcéj.

— A gdzie jest Rycz?

— Już ja wiem, gdzie on jest. Ja jego dobrze pilnuję...

— Czy pewny jesteś, że on ucieknie?

— Ny, co to pewny? kiedy ja panu mówił...

— A oni tam przyjdą? — pytał jeszcze Ildefons, wskazując pałac.

— Dlaczego oni nie mają przyjść, kiedy tam jeszcze jest Jasna Pani? — zasyczał ironiczny szept żyda.

Z temi słowami wysoka czarna postać zniknęła za załomem muru. Porycki śpiesznie wrócił do pałacu.

Za murem Konrad oko w oko spotkał się z Efroimem.

— Ty tu, Efroimie?

— A tu! Jasnego Pana szukam.

— Kto tam taki przyjechał?

— Ny! Jasny Pan nie domyślił się? to *oni* przyjechali. Ja przyszedł Jasnego Pana ostrzedz.

— Kto to *oni*?

— Ny, *oni, te* kredytory! Najpiérwéj przyjechała żona Pawła Szyłły, potém ten szlachcic z Kuszelina, co to od niego Jasna Pani, matka Jasnego Pana, kiedyś trzy tysiąców rublów pożyczyła...

— Do dyabła! — stłumionym wykrzykiem przerwał były dziedzic Ręczyna.

— A z tym szlachcicem — ciągnął Efroim — przyjechał Mikołaj, dawniejszy kamerdyner Jasnych Państwa, co to jemu należy się...

— A czy nasłanie jakieś, że się tu oni, jak na zawołanie, wszyscy razem pozjeżdżali? Można-by myśléć, jak Boga kocham, że ich tu umyślnie kto sprowadził!

Gdyby Efroim nie stał w cieniu, utworzonym przez załom muru, Konrad, jakkolwiek mało badawczy i przenikliwy, był-by musiał spostrzedz szyderski wyraz, jaki przebiegł po ciemnéj twarzy żyda.

— Co tu robić? —z pochyloną głową zapytał syn pani Malwiny.

— A co robić?... Ich tam moja żona i mój syn zatrzymują na folwarku, jak mogą, ale oni zaraz do pałacu wpadną i krzyku narobią...

Konrad obie dłonie do czoła przycisnął.

— A to, jak Boga kocham, zwaryować można! Człowiek myślał, że, sprzedając ten kawałek ziemi, pozbył się już wszystkich kłopotów i nieprzyjemności, a tu znowu prośby, krzyki, narzekania, od których i serce boli, i wstyd! Ot, wiész co, Efroimie, zawołaj ty ich do pałacu... ja im wszystko zapłacę i niech będzie już temu raz koniec.

Efroim nie poruszył się z miejsca.

— Za pozwoleniem Jasnego Pana. Mnie to bardzo dziwi, że Jasny Pan tak mówi. Czy Jasny Pan ma milion rublów w kieszeni? Jeżeli Jasny Pan ma milion, to niech Jasny Pan odda im tych dziesięć tysięcy, co im winien; ale kto ma tylko dziesięć tysięcy, to powinien trzymać się ich rękami i nogami, bo, jak ich nie będzie, to i chleba nie będzie.

Twarz Konrada, oblana księżycowém światłem, pobladła. Słowa żyda przywiodły mu przed oczy wyobraźni widmo nędzy, o któréj możebności nigdy nie myślał, któréj dla siebie nie przewidywał nigdy.

— Co robić? — szepnął znowu. — Nie mogę-ż ich tak z kwitkiem puścić. Ludziska biedni... wierzyli nam...

— Wié pan co? — perswadował Efroim. — Jeżeli pan już tak koniecznie chce *tego* zrobić, to niech im pan zapłaci za rok z tych pieniędzów, co pan ich na obligi u grafa ma, i co panu graf za rok wypłacić obiecał.

Konrad podniósł obie ręce i gestem radosnéj poufałości opuścił je na szerokie ramiona żyda.

— Wiész co, Efroimie! — zawołał — ty jesteś, jak Boga kocham, rozumnym człowiekiem. Masz racyą! zapłacę im temi pieniędzmi, które mi graf za rok odda. Tym sposobem będzie, jak to mówią, i wilk syty i owca cała, bo rzeczywiście... gdybym im teraz oddał gotówkę, to z czegoż-bym żył!

— Z czego-by Jasny Pan żył? — powtórzył żyd. — Kamieniów przecie Jasny Pan gryźć nie będzie.

— I za cóż-bym kupił ten majątek w Królestwie, co mi stręczył Eli?

— Jego darmo nie dadzą! — uśmiechnął się Efroim.

— No, to rozmówię się tylko z nimi i powiem im, żeby jeszcze rok zaczekali...

Z temi słowami chciał postąpić na przód, ale Efroim drogę mu zastąpił.

— Niech Jasny Pan tego nie robi, ja Jasnemu Panu dobrze radzę! *Te* ludzie bardzo złe i rozgniewane za to, że przed nimi sprzedanie Ręczyna *schowali*. Oni gotowe Jasnemu Panu różnych niegrzeczności nagadać, albo i gwałtem odebrać pieniądze, co pan ma ich przy sobie...

— Czyż oni mogą uczynić coś podobnego?

— Ny, czému nie mogą? Człowiek, jak w złość wpadnie, to wszystko zrobić może. A tam niejeden człowiek, ale kilku...

W téj chwili z folwarcznego dziedzińca doszedł znowu uszu rozmawiających turkot bryczki, czy woza.

— O jeszcze jeden jedzie!—zawołał z cicha Efroim — to pewno ten ekonom z Białowoli, co pan u niego w przeszłym roku tysiąc rublów pożyczył, jak Jasna Pani do Warszawy jechała.

Konrad znowu za głowę się pochwycił.

— A to skaranie Bozkie! ja z nimi rady sobie nie dam... A gotówki oddać przecież nie mogę, bo...

— Ot, niech Jasny Pan prędko do stajni pójdzie i do tego węgierskiego wózka, co pan wié, parę *koniów* założyć każe... *oni* tam już przygotowane stoją...

— A, jak Boga kocham, Efroimku, masz racyą... czmychnę! Ale ktoż to kazał konie przygotować?

— Z przeproszeniem pańskiém, to ja sam zrobił. Ja zawsze łąkał się, żeby oni tu w ostatniéj godzinie nie zlecieli się na Jasnego Pana, jak te kruki... ja Jasnemu Panu dobrze życzę.

— Czmychnę! — po sekundzie namysłu i z większą, niż wprzódy, determinacyą wyrzekł Konrad.

— Niech Jasny Pan prędko idzie, bo oni gotowi nadejść. Ich tam moja żona gadaniem, a mój syn wódką i zakąsywaniem trzyma... ale...

Konrad uczynił kilka śpiesznych kroków, lecz zawahał się nagle.

— A moja żona? — wymówił tonem zapytania.

— Ny! a co Jasnéj Pani tu stanie się ? Ją jutro pan agent do N. odwiezie.

— A prawda! Ildefons tam jest. On taki poczciwy! wszystko dla nas zrobi!

— Pan agent wielki przyjaciel Jasnego Państwa.

— Powiedz-że, Efroimku, mojéj żonie, że ja tymczasem w N. w hotelu mieszkanie najmę. Niech tam przyjeżdża.

Ostatnie słowa ci dwaj ludzie zamieniali ze sobą, idąc już szybkiemi i szerokiemi kroki po za parkanem ogrodowym, wymijając starannie folwarczną oficynę, z któréj dochodziły ich głośne rozmowy kobiet i mężczyzn, a zdążając ku stojącym na uboczu murowanym stajniom.

Gdy tak się działo na zewnątrz, w głębi pałacu, w pokoju o drzwiach i oknach szczelnie pozamykanych, przy ciepłym kominkowym ogniu, siedzieli znowu we dwoje Lila i Ildefons. Przed kilku minutami, gdy Ildefons śpiesznie wybiegł, aby dowiedzieć się o przyczynie niezwykłych w téj porze, na dziedzińcu odzywających się, głosów, Lila opuściła czoło na obie dłonie i zamyśliła się głęboko. Piérwszy to raz w życiu myślała ona o rzeczach, niemających bezpośredniego związku z własną jéj osobą. Stało się z nią coś dziwnego. Książka, którą wieczora tego czytał Ildefons, nie była romansowéj treści, a jednak zdołała obudzić w niéj żywe zajęcie, gorączkową niemal ciekawość. Napisana w obcym języku, książka ta rozwijała wyobrażenia, poglądy, teorye, obce ziemi, na którą ze stron dalekich przywiózł ją Porycki, ale dla Lili tém ponętniejsze, że dotąd nieznane. Gdy Porycki wrócił do pokoju, młoda kobieta podniosła głowę i utkwiła w twarzy jego wzrok niespokojny, pytający:

— Ildefonsie! — szepnęła z głęboką zadumą — nie powiedziałeś mi jeszcze nigdy, ani przeczytałeś,

co stanie się potém, gdy wszystkie ustawy, zwyczaje, wyobrażenia ludzkie, dziś istniejące, obalonemi będą przez nowe idee i nowych ludzi? co wtedy nowi ludzie uczynią? co wtedy na ziemi panować będzie?

Była tak zajętą przedmiotem swych rozmyślań, iż zapomniała o niezwykłych w téj porze odgłosach na dziedzińcu, i o przyczynie przedchwilowego oddalenia się jéj towarzysza.

Po twarzy Poryckiego przesunął się wyraz głębokiego zadowolenia. W pytaniu Lili, niespodzianie zadaném, ujrzał myśl jéj, pracującą i zwracającą się we wskazanym jéj przez niego kierunku. Milcząc jednak i uśmiechając się, zbliżył się do krzesła, na którém siedziała młoda kobieta, i powoli, troskliwie owinął ją szczelniéj ciepłym szalem, który, wśród zadumy opuściła ze swoich ramion. Podziękowała mu uśmiechem, pełnym tłumionéj jeszcze, ale nawskróś ją widocznie przenikającéj czułości. Oczy ich spotkały się i ręce połączyły w chwilowym uścisku...

Porycki wrócił na dawne swe miejsce, ale, zamiast usiąść, pozostał w stojącéj postawie, z ramieniem wspartém lekko o rzeźbiony gzyms kominka. Jaskrawe światło płomienia uwydatniało w pełni zarysów kształtną, piękną postać jego i na twarz mu rzucało migotliwe, różowe błyski. Kibić Lili tonęła w cieniu; popiersie jéj tylko, wychylone z-za ekra-

nu, błyskało pod światłem ognia złotemi ozdobami, strojącemi pierś jéj i głowę, o jedwabistym połysku kruczych warkoczy i dwojga oczu wielkich, czarnych, rozpalonych marzeniem jakiémś niespokojném, na-poły rozkoszném, na-poły dręczącém!

— Ildefonsie! — powtórzyła — nigdy jeszcze w życiu swojém nie myślałam o rzeczach tak ważnych i zawiłych... Ciekawa jestem... co będzie na świecie wtedy, gdy stanie się już to, o czém przed chwilą czytałeś, gdy nie będzie już na ziemi ani bogatych, ani biednych, ani ojczyzny, ani rodziny, ani praw, ani obowiązków, ani opinii ludzkiéj?... Co wtedy będzie?...

— Wtedy — odparł Porycki — wtedy będą na ziemi ludzie wolni, równi sobie i szczęśliwi. Bogactwa ziemi staną się wspólném dobrem wszystkich jéj mieszkańców. Wszyscy ludzie przystąpią do ogólnéj biesiady, którą zastawi im hojna przyroda, i spożywać ją będą w jednéj mierze. Zapewne, że do ogólnego spichrza ludzkości każdy z jéj członków przynieść będzie musiał owoc jakiś swych trudów; ale służyć mu za to będzie prawo czerpania z niéj dłonią pełną, w stosunku nie do wymarzonych dziś różnic zdolności, wartości czy zasługi, lecz do potrzeb swych i chęci. Owszem, im więcéj człowiek jaki upośledzonym i pokrzywdzonym będzie przez samę przydę, tém hojniejszemi okażą się dla niego jego spółbracia. Zniknie krzycząca niesprawiedliwość, która

dziś bogactwy i dostojeństwy obsypuje tak zwane geniusze i talenta, a skromnych pracowników strąca na szczebel najniższy.

Umilkł na chwilę i patrzył na swą towarzyszkę. Na licu jéj, zarumienioném lekko, znać było coraz upartszą i usilniejszą pracę myśli.

— Tak — wyrzekła po chwili z cicha — dlaczego w istocie ci, którym natura sama dała już wiele, i od ludzi także brać mają najwięcéj? Jakiém prawem jedni na świecie opływają w dostatkach, wtedy, gdy inni cierpiéć muszą nędzę?

— Nie na tém jednak koniec — ciągnął Porycki.— Jak z chlebem i złotem, tak stanie się i z inném jeszcze dobrem ludzkości, więzioném dziś i od łaknących go ust odrywaném przez rozliczne przesądy. W tym świecie nowym, który wzniesie się na gruzach starego, miłość także będzie wolną. Kierunku jéj wskazywać i trwałości mierzyć nie będą żadne, jak dotychczas, prawa, ani względy. Jedynym kontraktem, wiążącym dwoje ludzi, którzy się ukochają, będzie słowo wzajemnego zgodzenia się, przez nich samych wyrzeczone; jedyne prawo, zakreślające termin trwania ich związku, spocznie we własnéj ich woli. Człowiek posiada w naturze swéj pewną władzę ważną, a zaniedbaną dziś i mnóztwem wymysłów ludzkich zgnębioną. Władzą tą jest instynkt, siła pierwotna i ślepa, niemniéj przecież wiodąca człowieka tam zawsze, gdzie istnieją najobfit-

sze dla niego źródła uciechy i użycia. Zbrojny we władzę tę, która, zwolniona z pęt swych dotychczasowych, zaostrzy się i udoskonali, człowiek z łatwością odnajdywać będzie pokrewne sobie organizmy i zawierać z niemi przymierza miłości i szczęścia tak długie, jak długo trwać w nich będą miłość i szczęście...

Lila słuchała z pochyloném czołem i nieruchomo splecionemi dłońmi.

— Nie będzie więc już tego na świecie, co dziś nazywa się rodziną?

Słowa te wymówiła bardziéj do siebie, niż do towarzysza swego; ale pochwyciło je na jéj ustach baczne ucho Poryckiego.

— Owszem,—rzekł,—rodzina istnieć będzie, ale w kształcie wielkim, szerokim, potężnym. Członkami jéj będą wszystkie ludy świata tego i wszystkie jednostki, z ktorych ludy te się składają. Granice, rozdzielające dziś różne kraje, zmazane będą bez śladu. Pojęcie o wyłącznéj i ciasnéj ojczyźnie zniknie z umysłów ludzi, a zastąpi je szeroka i uswobodniająca idea kosmopolityzmu. Ojczyzną człowieka nie będzie już ten kąt świata, w którym traf urodzić się i wzrość mu rozkazał, ale ten, który naturą swą najlepiéj odpowié naturze życiowych dążeń i wymagań jego. Zarówno téż przewodnikami i najbliższymi przyjaciółmi ludzi nie będą te jednostki, które traf narzucił im na ojców, siostry, braci, ale te, które uzna

on godnemi czci i szacunku, wedle własnego wyboru swego. Rodzice i dzieci, siostry i bracia, zajmą względem siebie stanowiska ludzi zwyczajnych. Zamiast rodzicielskich domów, powstaną wielkie publiczne zakłady, które wychowywać będą młode latorośle ludzkie, od dnia urodzenia ich, aż do dojrzałości. Zbiorowe wychowanie to oswobodzi raz na zawsze ludzkość od marzycielskich a niesprawiedliwych wyłączności uczuć i przywiązań, oswobodzi ją i od czegoś innego jeszcze, a stokroć nad wszystkie inne ważniejszego i okrutniejszego—od ciężkich kajdan... obowiązku!

Umilkł znowu na chwilę. Błyszczące oczy jego spotkały się z szeroko roztwartemi, uważnemi aż do wytężenia, pałającemi aż do roznamiętnienia, oczyma Lili.

— Tak,—powtórzył z twardą i uroczystą niemal stanowczością w głosie.—Ze zniknięciem pojęć własności, ojczyzny i rodziny, z upadkiem powag umysłowych, narodowych i domowych, zniknie zarazem i pojęcie obowiązku, to straszne pojęcie, które w piersi ludzkie wkłada tę żmiję gryzącą, co dziś nazywa się sumieniem, które pomiędzy człowiekiem a szczęściem jego buduje ściany z granitu i wystawia szeregi przeróżnych postrachów.

Tym razem szczery zupełnie i namiętny zapał rozpłomieniał oczy i twarz mówiącego. Widać było, że przed pamięcią jego stanęły w téj chwili dnie dawno,

dawno minione, w których sumienie mieszkało jeszcze w jego piersi i z porywami instynktu staczało walki bolesne a męczące. Przypomniał on sobie teraz te walki i te męki, i pragnął-by miéć pod stopą swą zbiorowe sumienie ludzkości całéj, aby w uczuciu zemsty zdeptać je i zniweczyć na wieki. I przypomniał sobie jeszcze owe chwile, w których widok czoła ludzkiego, czystego i czystością swą dumnego, widok czci, oddawanéj i przyjmowanéj, napełniał mu serce jadem zazdrości i usta poił żółcią upokorzeń. Przypomniał sobie to wszystko i zapragnął ujrzéć dokoła siebie zgromadzonych wszystkich łotrów i bohaterów, zdrajców i wiernych, awanturników brudnych i czystych pracowników ludzkości, aby zmieszać ich razem i nad głowami ich raz na zawsze zagasić słońce obowiązku i cnoty, którego blaski oświecały na ich czołach znaki zaszczytne lub hańbiące.

Gorącym, ciemnym żarem paliły się oczy jego, a wargi, żółtawe zwykle, krwawą purpurą nabiegły, i czoło, kilku bruzdami zrysowane, powlokło się groźnym a ponurym wyrazem, gdy powtórzył raz jeszcze:

— Tak, Lilo, nie będzie kiedyś na ziemi ani własności, ani ojczyzny, ani rodziny, ani obowiązku, ani samolubstwa, ani poświęcenia, ani cnoty, ani występku, ani bohaterstwa, ani podłości. Ludzkość rozbije się na jednostki, równe sobie we wszystkiém i wolne bez granic, a jednostki te zgromadzać się będą w jednéj tylko wielkiéj świątyni i czołem uderzać

przed jednym tylko wspólnym ołtarzem,—w świątyni i przed ołtarzem osobistego szczęścia.

Umilkł i patrzył na śliczną postać kobiecą, która pochylała się ku niemu z coraz głębszą a płomienniejszą zadumą na białéj twarzy, z coraz śpieszniejszym oddechem w piersi, migocącéj ozdobami ze złota i pereł.

We wnętrzu Lili dokonywał się akt psychiczny dziwny, a jednak naturalny zupełnie, niezłomnie logiczny, nieuchronnie konieczny. Umysłowe władze kobiety téj nie były z natury ograniczonemi, ani zupełnie bezsilnemi. Więziły je tylko i obezsilały niewiadomość głęboka, powszedniość otoczenia, błahość przyzwyczajeń. Od kolebki okuta w twardy dla niéj i uciążliwy pancerz suchych, pustych form i formułek, kołysana do snu próżniactwem rąk i głowy, olśniewana i truta błyskotkami zbytku i miodem pochlebstwa, myśl Lili, dość żywa i bujna z natury—spała. Aż oto zjawił się człowiek, który, niby rycerz zaczarowaną księżniczkę bajeczną, obudził ją i wywiódł z na-poły ciemnego, na-poły tęczowemi blaski umalowanego jéj pałacu. Wywiódł on ją z pomiędzy czterech ścian salonu i garderoby na świat szeroki, napełniony niezliczoném mnóztwem zjawisk, zawrotnie, chaotycznie ze sobą pokrzyżowanych. On piérwszy to uczynił. Za słowem i za myślą jego szła myśl jéj, jak dziecko pokorne a ciekawe, zawstydzone ubóztwem swém, a nowych cacek chciwe. Spotykanym

po drodze zjawiskom przypatrywała się z radością istoty znudzonéj, która uczuwa, że ją coś nakoniec zajmuje, zaciekawia, pociąga, z nadzieją istoty, ze świata i życia swego niezadowolonéj, która spostrzega, że są na ziemi drogi inne jeszcze, niż te, któremi postępowała dotąd, i że na drogach tych znaléźć może to, czego pożądała, lecz posiąść nie śmiała, despotyczna a bezsilna, namiętna i lękliwa, jéj wola. Nikt nigdy nie niósł przed nią kierowniczéj pochodni wiedzy, nikt nigdy nie wkładał w nią klejnotów uczuć wielkich, nikt jéj nie zbroił w możne oręże woli i wiary. Dusza jéj, pozostawiona w niemowlęctwie, błądziła samopas w pustce bez granic, aż znalazła mistrza swego. Dłonią zręczną, tém zręczniejszą, że tym razem szczerą, ustawiał on przed nią zjawiska świata w porządku takim, w jakim miéć je sam chciał, układając z nich obraz, którego barwy i linie najsilniéj i najponętniéj własną jego wabiły fantazyą.

Ona patrzyła i zachwycała się, — słuchała i wierzyła. W przedstawionym jéj obrazie drgały tętna, szumiały odgłosy, ognistemi głoskami płonęły pozwolenia, rady, rozkazy niemal, które tak doskonale odpowiadały tajemnym marzeniom jéj i pożądaniom, tęsknotom i nadziejom. Jakże miała nie uwierzyć? jakże miała nie nawrócić się na tę tak swobodną i uswobodniającą, tak ponurą i zimną w głębi, lecz tak drażniącą i płomienną z pozoru—religią nicości? Mogłaż ona pojąć naturę owego płomienia, który pa-

lił się na dnie otchłani? Mogłaż dostrzedz, że to otchłań, skoro kuszący głos mistrza i własnych jéj pożądań mówił jéj, że to raj? Posiadałaż ona w sobie wiedzę, wolę i miłość? Byłyż w niéj i strzegłyż ją te trzy anioły-stróże ludzkich myśli i czynów? Nie byłaż ona, nakoniec, wprzód już, nim tknęło ją ponure a palące słowo jéj mistrza, nie byłaż ona, nie wiedząc sama o tém—nihilistką? Nihilizm jéj bierny i bezmyślny, zasadzający się na braku wszelkiéj czci i miłości, wszelkiego czynu dobrego i uczucia wysokiego— zmienił teraz tylko swą formę, otrzymał podstawę, przyoblókł się w ciało słowa i teoryi. Brak wiary wszelkiéj zastąpionym został wiarą — w nicość.

Biedna Lila!

Teraz za krzesłem, na którém siedziała, stał mistrz jéj i kusiciel. Ramieniem wsparty o poręcz, na któréj ona także ramię swe opierała, pochylał się nad nią i spojrzenie długie, uparte, rozgorzałe, zatapiał w podniesionych ku sobie jéj oczach.

— Cóż, śliczna pani moja? — mówił z cicha i z uśmiechem,—podoba ci się świat ten przyszły, po którym ludzie przechadzać się będą, jak po raju, wolni i szczęśliwi? My sami, ja i ty, Lilo — gdyby nam daném było żyć w świecie takim, czyliż-byśmy, tak jak dziś, kochając się wzajem, pozostawali dla siebie obcymi? czyliż-by cudną twarz twoję odwracały ode mnie trwogi i skrupuły dziecinne? a ja, czyliż-bym, stojąc tu, obok ciebie, zmuszony był zarazem tęsknić

za tobą i błagać cię daremnie, abyś, czyniąc mię szczęśliwym, zgodzić się chciała na własne swe szczęście? Nie! nie! W świecie, o którym mówiliśmy, ty-byś nie była słabém, przesądném, lękliwém dzieckiem, nie była-byś naśladowczynią cudzych postępków, lecz była-byś odważnym i rozumnym człowiekiem, była-byś samą sobą!...

— Ildefonsie! — szeptała kobieta,—ja dzieckiem już być przestałam, odkąd tyś mi oczy na prawdę otworzył.

Trzymał w obu dłoniach swych jéj białą rękę, o ściągłych, delikatnych kształtach, i niżéj jeszcze pochylił się nad śliczną jéj głową.

— Więc poszła-byś ze mną w ten świat nasz upragniony, gdyby on istniał?

— Świat ten, Ildefonsie, dziwny jest jakiś! ale tak piękny!... piękny!... bez walk i tęsknoty... bez kajdan i rozłączeń!...

— A więc jedyna! pójdziemy razem w ten świat czarowny... Chcesz? podaj mi rękę! ja cię tam zaprowadzę!

Słowa te wymówił szeptem gorącym, a usta jego dotykały prawie jéj włosów.

Kobieta rozmarzona, upojona, westchnęła i oczy przysłoniła dłonią.

— Ach! gdzież jest teraz świat taki? Stworzą go chyba kiedyś ludzie tacy, jak ty!

Porycki wyprostował się i rzekł uroczystym nieledwie głosem:

— Dla ludzi rozumnych i odważnych świat ten i dziś istnieć już może. Stwarzają go oni dla siebie samych, własnemi siłami, wbrew wszystkiemu, co ich otacza. Ludzie tacy, jak ja i ty, Lilo, gardzą zdaniami i krzykami motłochu, torują sobie drogi nowe, uprzedzają dzieło wieków przyszłych. Pomyśl tylko, co to za zaszczyt i jakie szczęście wyosobnić się z pomiędzy tłumów, stanąć wysoko ponad niemi! Prawda, dla dosięgnięcia wysokości takiéj odwagi trzeba: ale ty będziesz odważną, Lilo, nie prawdaż?

— Co mam czynić?— zapytała kobieta, w któréj twarzy i postawie malowała się w istocie gotowość do wszystkiego.

Porycki pochylił się znowu nad nią.

— Opuść dom ten... — szepnął, nie *z nim*, ale... ze mną!...

Zadrżała. On dostrzegł drżenie to. Brwi jego zbiegły się i usta drgnęły.

— Lękasz się, biedne dziecię?

Wyprostowała znowu kibić swą. W mowie jego powtarzały się słowa, które miłość własną jéj i miłość jéj dla niego chłostały biczem przygany i zachęty.

— Nie lękam się, Ildefonsie! nie lękam się niczego.

— O! dziękuję ci, dziękuję! Zresztą... posłuchaj. Nie narażę cię, bogini moja, na wrzaski i poniewierkę

motłochu. Przez miłość dla ciebie ugnę głowę przed wymaganiami głupiego świata... Wolny jestem... rozwiodę cię z tym głupcem... pojmę cię za żonę, wedle wszelkich form ich zabobonnych i...

Tu umilkł nagle i zdawał się wsłuchywać w odgłos jakiś z natężeniem. Odgłosem tym był turkot bryczki, dudniący czas jakiś gdzieś za folwarcznym dziedzińcem i milknący w oddaleniu. Ale Lila nie słyszała nic. Ostatnie słowa Ildefonsa opromieniły twarz jéj radością.

— Uczynisz to? Ildefonsie! — zawołała.

Zwrócił się znowu ku niéj i miał odpowiedzieć; ale w sąsiednim, pustym dotąd salonie, ozwały się liczne stąpania i głosy, drzwi rozwarły się z trzaskiem i do pokoju tłumnie, z głośnemi rozmowami, wtoczyło się kilku mężczyzn i jedna kobieta.

Kobieta miała na sobie czarną wełnianą suknią i białą muślinową chusteczkę na głowie. Twarz jéj drobną i chudą, o cerze żółtawéj, ożywiały małe, czarne, bardzo ruchliwe oczy. Szła przodem i widocznem było, że odgrywała rolę dowódczyni w tym dziwnym, napastniczym orszaku. Za nią wtłoczyło się we drzwi i stanęło u progu kilku mężczyzn w szarych ubraniach, zwyczajnych zagrodowym szlachcicom i zamożnym chłopom.

Lila, zdumiona i przelękniona nagłém tém a krzykliwém wtargnięciem, przykro rażona przeciwieństwem, jakie gwar ten tworzył z poprzedzającą go ci-

chą we dwoje rozmową, porwała się z krzesła i, zwracając wzrok ku towarzyszowi swemu, zawołała z uczuciem niewymownéj przykrości:

— Panie Ildefonsie! co to wszystko znaczy?

— Co znaczy to tłumne wejście wasze tutaj, moi państwo? — zapytał Agent Główny, zwracając się z brwią ściągniętą ku przybyłéj gromadzie.

Kobieta w muślinowéj chusteczce na głowie wystąpiła na środek pokoju i piérwsza mówić zaczęła. Z dźwięku jéj głosu i z wyrazu twarzy poznać można było, że z trudnością miarkowała przejmujące ją gniewne rozdraźnienie.

— Pani mię nie poznaje?—mówić zaczęła, zwrócona ku Lili, a mówiła tak prędko, że słowa zdawały się niknąć i topnieć na ustach jéj wprzód jeszcze, nim wymówić je zdołała; — pani mię nie poznaje? a jednak widywałam panią, gdy byłaś jeszcze niezamężną i z panią Ręczycową przyjeżdżałaś do Łozowéj. Jestem Antoniną Szyłłową, z domu Łojwiczówną. Mąż pani pożyczył u mego męża 19 lat temu pieniądze i dotąd jeszcze ich nie oddał. Sprzedał teraz majątek, a dobrzy ludzie ostrzegli mię, że państwo się ztąd jutro wynosicie. Więc przyjechałam upomnieć się o naszę własność. Całe życie rezydentką byłam i własności żadnéj nie miałam, to teraz wiem, jaka ona miła i droga, i nie ustąpię ztąd kroku, póki mi państwo co do grosza wszystkiego nie zapłacicie...

Niech pani będzie łaskawa powié, gdzie jest mąż pani, albo każe go tu poprosić...

Mówiła tak bez odetchnienia, szybko i coraz donośniejszym głosem, i mówiła-by, Bóg wié jak długo jeszcze, gdyby nie odezwały się za nią inne głosy:

— Ja także przyjechałem tu po własność moję.

— I ja także!

— I ja!

— Służyłem u pana Ręczyca lat kilka, pensyi mi nie płacono, a gdy wydalałem się, karteczkę tylko prostą dano, zamiast pieniędzy... Cierpliwy byłem... nie dokuczałem zbytecznie, ale teraz...

— I ja niebardzo widać dokuczałem, kiedy ot już lat ośm, jak pani Ręczycowa wzięła ode mnie grosz ostatni i karteczkę dała, a teraz dowiaduję się, że karteczka nic niewarta, bo majątek nie jéj był, ale syna...

— Ja ekonom z Białowoli. W zaprzeszłym roku pan Konrad wziął ode mnie tysiąc rubli, jak pani do Warszawy jechać miała...

I zbliżali się coraz bardziéj wszyscy, ze zmiętemi i zżółkłemi od starości kartkami w rękach, ku kominkowi, przy którym Lila, blada i z osłupiałym wzrokiem, zawiesiła się na ramieniu Ildefonsa, jak gdyby u niego szukać chciała opieki i obrony. Pani Antonina tuż prawie obok niéj stała i, błyskając czarnemi oczkami, raz po raz powtarzała:

— Gdzież jest pan Ręczyc? czy chowa się przed nami? Tak, tak, zapewne! pałac wielki!... Ale przede mną nie schowa się, nie! Znajdę go, choćby pod ziemią!

Mężczyzni, powściągliwsi nieco, niemniéj jednak niespokojni i gniewni, objawili téż chórem żądanie widzenia się z byłym dziedzicem Ręczyna.

— Gdzież jest Konrad? — cicho, bezprzytomnie prawie, szepnęła Lila.

Porycki obejrzał się dokoła, postąpił parę kroków i głośno, z głębokiém jakby zdziwieniem, zapytał:

— Gdzie jest pan Ręczyc? Hej, służba, — zawołał, zwrócony ku drzwiom od dalszych pokojów, — gdzie jest pan Ręczyc? poszukać pana Ręczyca!

Służby w pałacu opuszczonym, prócz dwóch czy trzech kobiet, nieodprawionych jeszcze, nie było wcale! Ale na wołanie Ildefonsa, jakby na słowo tajemniczego zaklęcia, wysunęła się z kąta wysoka, barczysta postać Efroima. Efroim wyszedł na środek pokoju i, wyprostowany, szydersko uśmiechniony, wiodąc dłonią po brodzie, wymówił z wolna a głośno:

— Jasny pan Ręczyc nie chciał widzieć się ze swymi kredytorami i pół godziny temu do N. wyjechał. On kazał prosić Wielmożnego Pana Agenta, żeby jasną panią jutro do N. odwiózł.

Słowa te rzuciły na twarz Lili szkarłatny rumieniec wstydu i oburzenia, a w gromadzie zawiedzio-

nych wierzycieli wywołały jeden chóralny okrzyk zdziwienia, przestrachu i gniewu. Nad wszystkiemi jednak głosami podniósł się i zapanował cienki, przeszywający głosik pani Antoniny.

— Tak! — mówiła, a raczéj krzyczała ex-rezydentka łozowskiego dworu — uciekł! uciekł od nas! powiózł ze sobą dobro nasze! majątek sprzedał, pieniądze wziął, a nas oszukał, okradł!

Załamała ręce i rzęsistemi zalała się łzami.

Nagle płakać przestała i suche już oczy a rozognioną twarz ku Lili zwróciła.

— Wstydźcie się państwo,—krzyknęła,—wstydźcie się! padnijcie na kolana i Boga przeproście, bo grzech wielki na sumieniach swoich i wstyd wielki na czołach swych macie! Mąż pani stado koni na stajniach swych trzymał, matka jego w mieście jak królowa jaka żyła, pani chodzisz, złotem, perłami i atłasami obwieszona, a biedni ludzie, którzy wam wierzyli, którzy ostatni kęs chleba w ręce wasze oddali...

— Kęs chleba swój i dzieci swoich... — przerwał jéj szlachcic w siermiędze i łapciach, który najmniéj dotąd krzyczał, ale teraz grubą dłonią ocierał łzę z oczu, utkwionych w twarz Lili z wyrazem gorzkiego wyrzutu.

— Ho! ho! co to wszystko tym państwu znaczy? — zawołał jednocześnie ekonom z Białowoli. — Pani bardzo wesoło bawiłaś się w Warszawie za moje pie-

niądze; teraz mnie za to smutno, a do żony i do dzieci z pustemi rękoma powracać wstyd.

— Pojedziemy za nim! — krzyknął chłop, z wioski sąsiedniéj przybyły.

— Goń-że wiatr w polu!

— Do sądu skargę podamy.

— I nic nie wskóramy! Pieniądze nasze ulokowane były na majątku, którego już niéma!

Na tle grubych tych, męzkich, podniesionych głosów, wznosił się wciąż i dyszkantowo dzwonił głos żony Pawła Szyłły.

— Sumienie! — wołała rozjątrzona kobieta. — Oni nietylko sumienia nie mają, ale je w drugich jeszcze zabijają! Gdzie teraz będzie sumienie moje i Pawła, gdy z pustemi rękoma przed panem Fabianem, przed tym dobroczyńcą naszym, staniemy? Wstyd wam, państwo moi, wstyd i niebłogosławieństwo! Własnego dobra swojego szanować nie umiecie i innym jeszcze z pod serca krew wypijacie. Sami nieuczciwi jesteście, i innym uczciwie żyć przeszkadzacie.

Lila stała teraz, z twarzą ukrytą w obu dłoniach. Bolesna ta scena, całą mocą zawartych w niéj upokarzających żywiołów, uderzyła w kobietę tę, która dotąd, przy najlżejszéj wzmiance o interesach, zwykła była dostawać migreny.

Ildefons, ze spuszczonemi oczyma i ściętemi usty, stał milczący i nie wdawał się w perswazye i pośre-

dnictwa, jakby to z położenia jego czynić mu było wypadało. Teraz dopiéro, gdy burza wzrosła do stopnia najwyższego i niemal już groźnego dla kobiety, ku któréj zwracały się wszystkie te gniewne głosy, gwałtowne gesty i rozjątrzone spojrzenia, Agent Główny podniósł powieki, postąpił na przód, zasłaniając sobą Lilę, i przemówił krótko, zwięźle, rozsądnie, zimno, a jednak uprzejmie, grzecznie i nakazująco. Kończąc, mrugnął na Efroima, który stał dotąd w cieniu, teraz zaś, na znak sobie dany, wmieszał się pomiędzy huczącą gromadę, z tonem mowy i gestami człowieka, wpływ swój czującego,—a sam, ująwszy ramię Lili, szepcąc z cicha, nad schyloną jéj i dłońmi przysłonioną twarzą, słowa naprzemian surowe i czułe, uprowadził ją do przyległego salonu. Tam, ze świecą w ręku, stała Brygisia, blada, wylękła i spłakana.

— Futro i kapelusz dla pani, panno Brygido! conajprędzéj! — rzekł do niéj z cicha, ale głosem stanowczym, Porycki.

W kilka sekund potém wszyscy troje znaleźli się w pokoju Lili, pustym prawie, wpół ciemnym, bo jedną tylko świecą, którą Brygisia na stole postawiła, oświeconym.

Lila stała, jak posąg przestrachu, zdumienia, wstydu, z rumieńcami na twarzy, z załamanemi rękoma.

Porycki, który oddalił się był na chwilę dla wydania rozporządzeń jakichś, zbliżył się ku niéj.

— Lilo! — rzekł surowo,—gdzież odwaga twoja? gdzie moc charakteru? Długoż jeszcze stać tu będziesz nieruchomo, jak dziecię, pozbawione myśli i sił?

Podniosła na niego wzrok łzami oszklony.

— O, jakżem ci wdzięczna, Ildefonsie! Tyś mię obronił! tyś mię osłonił przed tymi okropnymi ludźmi! O, ten Konrad! jakiż on niedobry! Opuścił mię wtedy... wtedy...

Twarz Poryckiego rozjaśniła się.

— Daj pokój Konradowi, — rzekł. — Jest-to głupiec, który sam nie wié, co czyni.

— O, Ildefonsie! ty jesteś innym, innym wcale człowiekiem!

— Pochlebiam sobie, że jest tak rzeczywiście. Ale nie traćmy czasu! Jedźmy!

— Dokąd? — trwożnie i z cicha szepnęła kobieta.

— Do twego mieszkania w N. Przewidziałem wiele, Lilo, i urządziłem w N. dwa mieszkania, jedno dla siebie, drugie dla ciebie. Moje znajduje się na drugiém piętrze domu, twoje na piérwszém... Będziesz teraz potrzebowała opieki i obrony, więcéj niż kiedykolwiek, biedne, ukochane dziecię! Trzeba, abym był blizko ciebie.

Lila zakryła znowu twarz rękoma i wybuchnęła płaczem.

Ildefons patrzył na nią zachmurzony.

— Płaczesz? — rzekł, — drżysz? Nic dziwnego; nie urosłaś snadź jeszcze do téj wysokości, na jakiéj pragnął-bym cię widzieć.

— O, drogi mój! — szepnęła śród łez i łkania,— cóż świat o mnie powié?... ludzie mną pogardzą!

— Tak! — wyrzekł Ildefons przeciągle, — a więc chciéj pani wsiąść do powozu z pokojową swą i odjechać do męża. Ja oddalę się, aby nie sprowadzić na panią téj klęski straszliwéj, dla któréj uniknięcia gotową jesteś zdeptać szczęście swoje i moje!

Mówiąc to, uczynił krok na przód, aby się oddalić. Ale Lila podniosła głowę, krzyknęła i, w mgnieniu oka, dłońmi wsparta na jego ramionach, przylgnęła do jego piersi.

— Nie, Ildefonsie! — mówiła szeptem gwałtownym, a oczy jéj płonęły tym samym namiętnym ogniem, jak wtedy, gdy dzieckiem prawie rozłączono ją z ukochaną panną Julią — nie! ty mię nie opuścisz i ja cię nie opuszczę, za nic! za nic! Ciebie jednego kocham na ziemi; więcéj nic i nikogo! Kocham cię na śmierć i życie! Jadę... idę z tobą, kiedy zechcesz, dokąd zechcesz!...

I bez łez już, wyprostowana, silna gorączką uczuć, owijała się futrem, podawaném jéj przez Brygisię, świadka całéj téj sceny. Brygisia pełném przywiązania i litości okiem patrzyła na nią. Zapinając haftki aksamitem powleczonego futra, szepnęła pani

swojéj słów kilka. Lila zwiesiła znowu ręce, jakby nowym niepokojem tknięta.

— Prawda! — rzekła — a Konradek?

— Jaki Konradek? — niecierpliwie zapytał Porycki.

Widać było, że sam ton mowy jego onieśmielił już Lilę. Z trwożném więc spójrzeniem i cicho bardzo odpowiedziała:

— Mój syn!

— Gdzież on jest?

— Tam, na górze z piastunką i boną — w zastępstwie pani swéj — rzekła Brygisia.

— A więc niech tam zostanie; bona odwiezie go do ojca...

— Niech zostanie?... — zawołała Lila.

Okrzyk ten wydarł się z jéj piersi, ale urwał się niedokończony nawet, bo oczy jéj spotkały wzrok Ildefonsa, pełen surowego, ironicznego wyrzutu.

— Jeżeli nie dla opinii ludzkiéj, to wyrzekniesz się mnie może dla tego dzieciaka! — szepnął schylony nad nią.

Słowa jego były ostre, ale głos, którym je wymówił, dźwięczał w głębi żalem głębokim, namiętnym. O! był to mistrz! a ona... czy miała broń jaką? Za całą odpowiedź złożyła rękę na jego ramieniu i wraz z nim postąpiła na przód. Przed progiem jednak stanęli oboje. Ona zwróciła się ku dawnéj swéj służącéj.

— Czy pojedziesz ze mną. Brygisiu! — zapytała nieśmiało, jakby czując, że chwila ta pomiędzy nią a innymi ludźmi tworzy przedział ogromny.

— Alboż pani nie widzi, że ubraną już jestem do drogi? — z prostotą odparła sługa.

Porycki zwrócił się z pytaniem ku Lili:

— Czy wzięłaś ze sobą swoje papiery?

Spójrzała na niego wielkiemi oczyma.

— Alboż dbam teraz o te szpargały? — wyrzekła zdumiona i uśmiechnęła się z za łez niezupełnie jeszcze oschłych.

Wyraz papiery przywiódł jéj na pamięć owe leciuchne papierki z dat różnych, w szkatułce pamiątek zawarte. Ale on nie o pamiątki zapytywał.

— Mówiłem ci nieraz, Lilo — rzekł z powagą — że człowiek dojrzały i rozumny dbać powinien o wszystko, co użytecznem mu być może. Czy wzięłaś ze sobą oblig, wydany ci przez brata na posagową twą sumę?

Oczy Lili otworzyły się jeszcze szerzéj.

— Ildefonsie! — szepnęła z wyrzutem — jak możesz w téj chwili myśléć o podobnych rzeczach.

— Kiedyś — odparł Porycki — nauczę cię, droga moja, obyś sama myślała *o podobnych rzeczach*, teraz myślę o nich za ciebie. Czy masz przy sobie ten oblig?...

Lila, onieśmielona już i zawstydzona, pytający wzrok zwróciła na swą służącą.

— Ten papier ze stemplami, który pan Konrad oddał pani niedawno? — rzekła Brygisia. — Jest on tu w téj szkatułce, którą niosę właśnie.

Porycki wziął z rąk służącéj szkatułkę i umieścił ją sam w powozie, który, zaprzężony końmi jego i powożony przez jego woźnicę, stał przed gankiem pałacu.

Gdy Lila nogę postawiła na stopniu powozu, obejmujące kibić jéj ramię Ildefonsa uczuło, że drżenie przebiegło znowu po całém jéj ciele. Objaw ten gwałtownego wzruszenia ustał jednak w chwili, gdy, schylony nad nią, szepnął jéj do ucha:

— Za trzy miesiące najdaléj, biedne, drogie dziecię moje, będziesz miała rozwód i zostaniesz żoną moją, według praw świata tego, którego tak się lękasz.

* * *

Tu, czytelnicy, zawieszam na króciuchną chwilę bieg opowiadania i zatrzymuję się na punkcie, na którym i wy zapewne zatrzymaliście swą uwagę. Niejeden z was może, czytając kartę poprzedzającą, pełen niedowierzania i oburzenia zawołał: „Jakto! Matka opuściła dziecię swoje? pozostawiła je rękom i sercom cudzym? Ależ to niemożebne, naturze i prawdzie przeciwne! Lwice i niedźwiedzice nawet posiadają możny instynkt macierzyński, a kobieta... miałaż-by być go pozbawioną?"

Owóż tu, czytelnicy moi, w wypadku tym, jak w wielu innych, ukazuje się niebezpieczeństwo całe absolutnie czynionych paralel i porównań, które, będąc wprawdzie bardzo starożytnemi, bywają przecież nieraz zupełnie nieprawdziwemi. Tak, lwice, niedźwiedzice posiadają w istocie instynkt macierzyństwa i dokazują przez niego często rzeczy nadzwyczajnych i rozrzewniających; ale zważyć należy, że mieszkanki te leśnych i dzikich ustroni nie ubierają się w atłasy, nie obwieszają ciał swych złotem i perłami, nie spotykają na drodze swéj lwów ani niedźwiedzi takich, którzy-by w piersi ich wdmuchywali płomienie despotycznych, wszystkie inne pożerających namiętności. Instynktu ich nie przytłumia żadna próżność, nie zatapia żadne marzenie, nie zabija żadna, w innym kierunku dążąca, namiętność. I oto dlaczego lwice i niedźwiedzice kochają potomstwo swe silnie a wiernie. Silnie a wiernie kochają téż dzieci swe kobiety, wówczas gdy są one — ludźmi, a instynkt ich macierzyński nie jest już instynktem, ale — uczuciem.

Czy Lila była człowiekiem i czy przyrodzony macierzyński jéj instynkt mógł dosięgnąć stopnia uczucia, na które tyle, tyle składa się żywiołów i dźwigni moralnych, że wyliczać je było-by tu zadługo?... na to zapewne odpowiedzieliście sobie już sami. Tymczasem obejrzyjcie się po świecie i poszukajcie na nim matek, którym próżnostki, zazdrostki, małe lub wiel-

kie namiętności odjęły tę nawet właściwość, jaką szczycą się lwice i niedźwiedzice. — Znajdziecie je, niestety, znajdziecie, i opowiadania mego za nieprawdopodobne już nie uznacie!...

A teraz idźmy daléj, idźmy raczéj w inną stronę.

II.

Wejdźmy do orchowskiego dworu, do tego poważnego, starego dworu, który, zamieszkiwany przez dwoje ludzi kochających się, mężnych i wytrwałych, powoli i z trudnością podnosi się z wieloletnich swych ruin.

Teraz nad wysokim, świeżo nowemi gontami połatanym, dachem, długiego, nizkiego domu, szumią z cicha rozłożyste, ośnieżone wierzchołki starych lip i kasztanów. Obszerny dworski podwórzec zapada w mrok zimowego wieczora; na mniejszym, folwarcznym dziedzińcu z wolna milknie gwar dziennych robót, zamykają się wrota gumien i obór, kryją się pod przysłoną ciemnych spichrzów gospodarskie narzędzia, a przez okna szaréj oficyny buchać zaczyna jaskrawy blask rozpalonego ogniska, dokoła którego zasiadła spracowana czeladź dworska.

W dawnym pokoju pana Kajetana pali się także na staroświeckim kominie ogień suty, a połyski jego

rozniecają, jak dawniéj, w szybach szaf, napełnionych książkami, czerwone i złociste iskry.

Przy wielkim, okrągłym stole siedzi z robotą w ręku stara matka Michaliny, a białe światło niewielkiéj lampy łagodnie spływa na twarz jéj zwiędłą, pomarszczoną, rozjaśnioną łagodnym, wesołym prawie uśmiechem. Z uśmiechem tym na bladych wargach słucha ona gwarnego szczebiotu dwojga dzieci, które, po obu jéj stronach, wpół siedząc, a wpół klęcząc na krzesłach, opierają o stół drobne, pulchne swe ramiona, a wychylając pod różowe światło ogniska złotowłose głowy, zaglądać usiłują w ukochane lice staréj babki figlarnemi oczyma.

Do komnaty téj, tchnącéj ciszą i spokojem, a jednak rozweselonéj brzmiącemi w niéj wiosennemi głosami dziatwy, weszła po chwili kobieta w dużéj ciepłéj chustce, zarzuconéj na głowę i ramiona, z wielkim pękiem kluczy w drobnéj ręce. Dzieci zeskoczyły z krzeseł i rzuciły się ku niéj z radośnemi wykrzykami. Kobieta zdjęła z głowy chustkę i zbliżyła się do stołu.

— Czyś się tylko nie przeziębiła, Michasiu? tak dziś mroźno na dworze! — zapytała stara niewiasta, troskliwie spoglądając na zarumienioną od zimowego chłodu twarz córki.

— Albcż ja się kiedy przeziębiam, mateczko? alboż nie przywykłam w zupełnéj żyć zgodzie z naturą naszą surową ale piękną? — wesoło uśmiechając

się odparła Michalina.—Zimno dziś, to prawda, ale zarazem jak pięknie na świecie! Słońce zachodziło za ogniste obłoki, od których na naszym dziedzińcu śnieg porożowiał, a teraz niebo przezroczyste jest, jak błękitny kryształ i za kasztanową aleją księżyc wschodzi. Noc będzie mroźna, lecz pogodna i jasna.

Usiadła i, rozpromienionym wzrokiem patrząc dokoła siebie, zawołała:

— Jaki piękny ten nasz Orchów, mateczko! jak miły, cichy, wesoły i kochany ten nasz dom stary!

— Błogosławiony dom, w którym mieszkają miłość i zgoda! — szepnęła stara matka.

— W którym urodziły się i szczebiocą jak ptaszki, te małe aniołki! — śmiejąc się, dokończyła Michalina i dwa pocałunki długie złożyła na białych czołach swych dzieci, które, szyję jéj oplatając drobnemi ramiony i, nic a nic na toczącą się rozmowę nie zważając, szczebiotały wciąż, śmiały się, pytały i same sobie odpowiadały. Nagle przecież wesołość, okrywająca twarz Michaliny, zniknęła. Z wyrazem troski podniosła oczy na matkę.

— Mieczysław nie wraca! — rzekła. — Wczoraj jeszcze wrócić miał z N., a dziś go jeszcze niéma.

— Alboż nie wiész, ile miał tam do załatwienia spraw różnych? Najtrudniéj zapewne idzie mu...

Teraz smutek już wyraźny napełnił oczy Michaliny.

— Wiem! wiem! — przerwała z cicha, jakby

o bolesnéj tajemnicy jakiéjś mówić miała — z Lilą! O Boże! gdyby Mieczysław ją tu przywiózł! gdyby wyrwał ją z téj przepaści... uratował...

Pomarszczone czoło staréj kobiety okryło się niezwyczajną jéj wcale surowością.

— Czy sądzisz — zapytała córki po chwilowém milczeniu — czy sądzisz, że wróciła-by ona do męża swego?

— Wątpię... — namyślając się, odparła Michalina — a nawet nie wiem, czy ja i Mieczysław moglibyśmy jéj to doradzać... Znasz, mateczko, pana Konrada, znasz Lilę i wiész także, czém jest małżeństwo, w którém, nie mówiąc już o miłości, wzajemnego szacunku, ani téż odrobiny choćby przyjaźni niéma...

— A więc cóż-byście tu z kobietą tą uczynili?

Tym razem Michalina nie namyślała się ani chwili, lecz odpowiedziała z zapałem:

— Starali-byśmy się, matko, ciepłém naszego domowego ogniska, ciszą naszego życia uciszyć trochę, uspokoić jéj wiecznie wzburzone i niespokojne serce; starali-byśmy się powoli i stopniowo wlać w umysł jéj choć trochę zdrowych i dobrych wyobrażeń o życiu, wzmocnić węzeł uczucia pomiędzy nią a dzieckiem jéj, które zaniedbywała zawsze, a opuściła teraz... Potém odkryli-byśmy dla niéj drogę jaką prostą i widną, na któréj, choćby nawet nie znalazła

zupełnego szczęścia, zachować-by mogła cześć swoję i zapewnić sobie spokojną, bezpieczną przyszłość...

Stara kobieta smutnie wstrząsnęła głową. Miała ona zapewne na pełne zapału słowa córki odpowiedzieć słowem wątpliwości głębokiéj, gdy na dziedzińcu ozwał się szelest sanek, sunących szybko po śniegu, i głos woźnicy, wołającego na konie.

— Mieczysław! — z radością krzyknęła Michalina i rzuciła się ku drzwiom.

Z gwarnemi też okrzykami rzuciły się ku nim dzieci i stara matka powstała także, aby u progu powitać wracającego do domu ukochanego męża swéj córki.

Mieczysław wszedł do pokoju w podróżném ubraniu, pełen uszanowania pocałunek złożył na ręku matki i, przeciw zwyczajowi swemu, przelotną tylko pieszczotą powitał garnącą się do niego dziatwę. Długo natomiast, dłużéj niż zwykle w podobnych razach bywało, zatrzymał on w objęciu swém Michalinę, a ona też, podnosząc w milczeniu twarz swą ku jego twarzy, długiém, baczném spójrzeniem zatonęła w jego oczach. W oczach tych wyczytała wrzącą w nim burzę bolesnych uczuć; na bladém, schmurzoném czole jego ujrzała dolegliwą, gryzącą troskę.

Po chwili stara niewiasta krzątała się w drugim końcu pokoju około przyrządzania herbaty; dzieci pobiegły w głąb' domu, aby przyprowadzić do ojca śpiącą dotąd, najmłodszą, dwuletnią siostrzyczkę;

małżonkowie zaś usiedli obok siebie, w pobliżu ciepłego kominka. Chwilowe ich milczenie kobieta piérwsza przerwała.

— Cóż, najdroższy mój — szepnęła — czy widziałeś *ją?*

Dłoń Mieczysława objęła rękę jéj, drżącym od wewnętrznego wzburzenia, uściskiem.

— Nie — odparł krótko, jak człowiek, który z całéj siły powstrzymywać usiłuje wybuch głosu i uczuć; — nie widziałem téj...

Tu wymówić miał wyraz jakiś straszny, piorunujący; ale powstrzymał mu go na ustach błagalny, o litość i przebaczenie wołający, wzrok Michaliny.

— Téj... nieszczęśliwéj! — dokończyl Mieczysław, a z całéj siły panując nad uczuciami i słowami swemi, mówił daléj. — Drzwi jéj mieszkania zamknięte są szczelnie przed wszystkimi, a najbardziéj przede mną... Zdobyć-bym je musiał chyba przemocą, co było-by szaleństwem i nie doprowadziło-by zresztą do niczego... Człowiek ten trzyma ją w żelaznych szponach, strzeże jak niewolnicy, znanemi sobie sposobami oddziela ją od ludzi, od téj małéj zresztą liczby osób, które-by teraz chciały jeszcze wejść z nią w jakąkolwiek styczność...

— A *jego* widziałeś? — z uczuciem odrazy i obawy zapytała Michalina.

— I on także krył się przede mną. Przez dni kilka nadaremnie szukałem widzenia się z nim i roz-

mowy. Gdy doścignąłem go nakoniec, gdy miałem go już przed sobą, ogarnął mię szał gniewu i bólu. W żywe oczy rzuciłem mu wszystkie słowa te, które cisnęły mi się do ust wtedy, gdym go tu, w domu moim, przyjmować musiał, a których, mając obraz zhańbionéj siostry swojéj przed oczyma, powstrzymać już nie mogłem. Powiedziałem mu, że jest odstępcą, oszustem, uwodzicielem...

— A! — z mimowolnym przestrachem w pobladłéj twarzy, zawołała Michalina — wszak to obraza śmiertelna... Drogi mój... ty może kryjesz co przede mną. On cię wyzwał...

Mieczysław uśmiechnął się z goryczą.

— Uspokój się, Michasiu, i przebacz mi. Na chwilę, po raz piérwszy od dnia, w którym cię pokochałem, zapomniałem o tobie... zapomniałem o dzieciach naszych i o przekonaniach moich, które rozkazują mi uważać jako smutną pozostałość barbarzyństwa te boje niedorzeczne, wystawiające nieraz pierś uczciwych ludzi na ciosy głupców lub łotrów. Pragnąłem przez chwilę wyzwać go, albo być przez niego wyzwanym. Ale słowa moje odbijały się o miedziane czoło jego bez odgłosu i pozornie bez wpływu... pozornie tylko... widziałem bowiem dobrze, iż wewnątrz człowiek ten wrzał cały od gniewu i nienawiści. Żadném słowem jednak, żadnym giestem nie zdradził uczuć swych, które instynkt jego zachowawczy trzymał na wodzy. Odpowiadał mi tylko szyderskiemi uśmie-

chami, albo sofizmatami, cynicznemi zdaniami, wygłaszanemi zuchwale a zimno...

— A jednak — podchwyciła Michalina — zdawało ci się, że nie był on tak zimnym i obojętnym, jak okazywać się usiłował?

— Jestem tego pewnym. W człowieku tym, obok zimnego wyrachowania, istnieją burzliwe namiętności.

— Mieczysławie! — szepnęła Michalina, bo niepokój, wolą jeszcze nieopanowany, głos jéj przytłumiał, — człowiek ten mścić się będzie na tobie... na nas...

— Nieinaczéj — chmurnie odparł mąż. — Rachuba i nienawiść czynią go zarówno wrogiem moim. Z razu godził on na dobro nasze, aby z niego otrzymać korzyści; teraz idzie mu już nietylko o zysk, ale i o zemstę. Pragnąć będzie upadku i poniżenia mego, tak, jak wszyscy źli i zbrudzeni pragną upadku i poniżenia uczciwych i czystych. Zgubne te dla nas chęci jego nie są płonnemi. Posiada on wspólników i pomocników, którzy, jakkolwiek nie podzielają wszystkich jego celów, wkładają mu jednak do rąk dzielne przeciw nam oręże.

— Jednym z pomocników tych — rzekła Michalina — jest Makower, nie prawdaż?

— Nieinaczéj.

Tu Mieczysław silniéj uścisnął dłoń żony i dodał z cicha:

— O droga moja! mamże przypuszczać, że je-

dném z narzędzi, któremi ku zgubie naszéj posłuży się niecna ta ręka, będzie i własna siostra moja?

Michalina podniosła głowę i szyję jego otoczyła ramieniem, jakby i jego czoło, chylące się pod brzemieniem smutku i wstydu, podnieść chciała.

— Nie przypuszczajmy rzeczy tak smutnych i strasznych — rzekła: — wierzmy raczéj w dobroć Lili, bo ta istnieć w niéj może obok wszelkich wad i zboczeń, w moc przywiązań rodzinnych, które odzywają się w sercu kobiety wtedy nawet, gdy się ich najmniéj spodziewać można. Powiedz mi teraz — dodała, chcąc widocznie zmienić przedmiot rozmowy, — czyś znalazł kupca na las nasz?

Mieczysław przecząco wstrząsnął głową.

— Widziałem niejednego — rzekł — a z żadnym interes ten do końca przyjść nie mógł. Od kilku miesięcy żaden z Izraelitów w N. albo w okolicy nic u mnie nie kupuje i nie wydzierżawia. Wprawdzie, nie objawiają mi oni otwarcie niechęci swéj, i owszem, chętnie na pozór przyjmują przedstawienia moje; ale potém stawiają trudności, przeszkody, najmniéj przewidziane, a według nich nieprzezwyciężone, wahają się, namyślają i... zrywają układy. Gdziekolwiek ukażę się, z kimkolwiek rozmawiam, widzę za sobą i dokoła siebie rój faktorów, którzy szepcą, biegają, radzą, odradzają, pełnią bowiem wiernie służbę zaleconą im przez kogoś, posiadającego nad nimi wpływ i władzę. Wszystkie sprawy rwą mi się w ręku, jak

pajęczyna, wszystkie najściślejsze obrachowania moje pełzną na niczém. Jest to robota tajemna, podziemna, ale zręczną i możną ręką prowadzona. Jakie będą jéj skutki? do czego nas ona doprowadzi? Kto wié? Ja walczę dotąd, ale punktu wyjścia, środków obrony nie widzę; potrzeby są ogromne, gwałtowne, a środków niéma żadnych. Odbiera mi je silne postanowienie tych ludzi, którzy sięgają po dobro moje, po spokój i szczęście życia mego...

Długie milczenie zapanowało pomiędzy małżonkami. Od dawna już stara matka postawiła przed nimi ciepły napój i posiłek, a widząc ich pogrążonych w poufnéj rozmowie, oddaliła się z dziećmi do przyległéj komnaty. Siedzieli z połączonemi dłońmi i ze spójrzeniami wbitemi w ziemię, nieruchomi i milczący.

Michalina piérwsza znowu podniosła głowę.

— Mieczysiu — rzekła z cicha i z wahaniem się — może-byśmy na ten raz w gwałtownéj téj potrzebie znaleźć mogli ratunek w pożyczce jakiéj?... Orchów jest już prawie oczyszczony z długów... z wyjątkiem tego jednego... przytém znają wszyscy prawość twą i uczciwość...

Mieczysław wstrząsnął przecząco głową,

— Myślałem już o tém, ale gdzież znaleźć źródło ratunku tego, o którym mówisz? W kredycie publicznym? niéma go u nas wcale. W prywatnym? spoczywa on cały w ręku tych samych ludzi, którzy osnuć nas pragną i osnuwają siecią przerozmaitych pęt

i utrudnień. Oni-to kupują, wydzierżawiają i... pożyczają. Na inne warstwy społeczne nic a nic liczyć nie można. Są one ubogie, a po mnogich doświadczeniach przebytych i zawodach przeniesionych, słusznie niedowierzające...

Umilkli znowu; ale milczenie, dokoła nich panujące, przerwał po kilku minutach odgłos dzwonków pocztowych na dziedzińcu i lekki stuk sań, wjeżdżających na brukowaną przestrzeń u stóp głównego ganku. Wśród cichego, pracowitego życia, które wiedli mieszkańcy Orchowa, gość nie był tam zjawiskiem częstém. To też małżonkowie, na odgłos dzwonków, z niepokojem ludzi, którzy spodziewają się co chwila złych dla siebie wieści i wypadków, zwrócili twarze ku drzwiom. Drzwi te otworzyły się i zjawił się w nich gość, najmniéj może w téj chwili oczekiwany.

— Konrad! — zawołał Mieczysław, zrywając się z krzesła.

— Pan Konrad! — powstając także, powtórzyła Michalina.

Był to w istocie Konrad Ręczyc, który o parę kroków od progu zatrzymał się w postawie wahającéj się, nieśmiałéj, bardzo niezgrabnéj, ale w niezgrabności téj mającéj coś, o litość proszącego. Twarz jego w ostatnich czasach schudła znacznie, czoło pomarszczyło się silnie, w oczach przebijał się niepokój i żal głęboki.

Mieczysław postąpił ku szwagrowi z wyciągniętą

na powitanie ręką. Ruch ten i giest uczyniły snadź na przybyłym wrażenie silne, bo, nie wyrzekłszy ani słowa, zarzucił Mieczysławowi ramiona na szyję i rozpłakał się na głos. W płaczu tym dorosłego mężczyzny, głośnym i spazmatycznym, było coś dziecięcego, coś, co nie współczucie wprawdzie i nie szacunek, ale litość nad boleścią jego, zarówno jak nad słabością, budziło.

— Panie Konradzie! uspokój się pan, na Boga!— mówiła, zbliżając się do rozszlochanego gościa, Michalina.

Gość obie jéj ręce ucałował w milczeniu.

— Przyjechałem — ozwał się nakoniec, prostując się i łzy ocierając — przyjechałem prosić łaski waszéj.. dla mego dziecka!

Mówiąc to, wyciągnął rękę w stronę drzwi.

Teraz dopiéro Mieczysław i Michalina spostrzegli, że do pokoju weszła także i zatrzymała się u progu kobieta, na piastunkę wyglądająca, a w objęciu swém trzymająca trzyletnie dziecię. Michalina wydała okrzyk, w którym smutek mieszał się z radością, poskoczyła i wzięła dziecię z rąk niosącéj je kobiety.

— Biedna! biedna, niewinna istoto! — szeptała, niosąc je ku ciepłemu kominkowi i usiłując rozwinąć chustki, które zakrywały mu twarzyczkę.

Konrad tymczasem, stojąc na środku pokoju, mówił daléj:

— Opuściła je matka rodzona... porzuciła i mnie,

i dziecko... Cóż z niém uczynię?... Myślałem, że weźmie je moja matka, ale i ona teraz dachu nad sobą nie ma... Odwiozłem ją dziś właśnie do Białowoli, a dziecko wam oddaję. Zlitujcie się nad niém, przytulcie je, dopóki ja sobie nie upatrzę czegoś... nie zamieszkam stale gdziekolwiek... Nie wiem teraz sam, gdzie się podziać i co z sobą robić! Oszukały mię te łotry... obdarły... i z kilku groszami zaledwie w świat puściły.

— Jakto? — ze zdumieniem pytał Mieczysław.

Ale Michalina nie słyszała nawet ostatnich słów Konrada; była już ona w ciepłym, czystym pokoju, w którym stały łóżeczka dwojga starszych jéj dzieci i kolebka najmłodszego. Tam także nad kolebką siedziała teraz jéj matka, a starsze dzieci bawiły się przy lampie książką z obrazkami. Do pokoju tego żona Mieczysława weszła z wolna i w zamyśleniu, ze wzrokiem utkwionym w drobną, bladą twarzyczkę dziecka, które, spoczywając w jéj objęciu, wlepiało w nią wielkie swe, czarne, zdziwione i przelęknione oczy.

— Mateczko! — rzekła Michalina, zbliżając się do matki — patrz, oto jedno jeszcze dziecię nasze...

Matka spójrzała na nią i na dziecię pytającym wzrokiem.

— Dziecię Lili! — szepnęła kobieta.

Stara kobieta zrozumiała wszystko. Na twarzy

jéj, zoranéj latami i cierpieniem, zajaśniał wyraz dobroci i litości bez granic.

— Dobrze, Michasiu! — rzekła — położymy je dziś na łóżeczku Paulinki, a jutro przysposobimy mu w tym samym pokoju inne... Teraz pójdę, przyniosę mu ciepłego mleka...

Nie odeszła jednak, lecz, miękko składając dłoń swą pomarszczoną na głowie dziecka, ciemnemi włoskami okrytéj, wyrzekła z cicha:

— Biedactwo!

— Biedactwo! — szepnęła i Michalina, składając długi pocałunek na tych czarnych wielkich oczach, które patrzyły na nią z niemą skargą bezsilnéj, przelęknionéj, opuszczonéj istoty.

— Biedactwo! — powtórzyły dzieci nawet, które, ciekawością wiedzione, przybiegły z razu, aby oglądać to *coś*, co w ramionach trzymała ich matka; ale teraz stanęły zamyślone, poważne, tknięte bezwiedném odczuciem nieznanego im samym sieroctwa.

Po chwili dziecię Lili leżało rozebrane w bielutchnéj pościeli, ciepłą kołderką otulone, a Michalina brała z rąk matki szklankę z ciepłym napojem, aby powoli wlewać go w zziębłe, milczące, lecz samém milczeniem swém skarżące się usteczka.

Klęczała przy łóżku dopóty, dopóki znużone oczy dziecięcia nie okryły się powiekami. Z pod powiek tych wypłynęło kilka łez bujnych i cichych. Michalina łzy te zcałowała z bladéj, chudéj twarzyczki

i, patrząc na usypiające dziecię wzrokiem omglonym zadumą, szepnęła:

— Biedna! biedna istoto! Gdyby niegdyś matki twéj nie rozłączono ze mną, nie była-byś może opuszczoną, nie była-byś tutaj...

Tu i owdzie na świecie bywają domy ciche i święte, domy pełne miłości, zgody, pracy i miłosierdzia, domy błogosławione, ku którym kroki swe zwracają wszyscy, pociechy i dobréj rady szukający, których dachy gotowe są zawsze przysłonić opuszczone sieroctwo, a drzwi otworzyć się przed samym nawet, byle żałującym, błędem, przed samą nawet, byle oczyszczenia pragnącą, hańbą... Jednym z domów takich był dom Mieczysława i Michaliny. Przyjął on w ściany swe opuszczone dziecię Lili, tak, jakby przyjął matkę jego, gdyby do niego zapukała... Fundamenta domu tego przegryzane były i podkopywane; dokoła niego w cieniach i posępnéj ciemności krążyły groźby i niebezpieczeństwa... zagłada, wiedziona chciwemi lub mściwemi dłońmi, pełzła ku ścianom jego z blizka... coraz bliżéj... Tymczasem jednak stał on jeszcze poważny, śród igrającéj dokoła płochości, cichy pomiędzy gwarami bezładu, wyniosły zda się śród otaczających go nizkich, bardzo nizkich upadków i ruin. Stał on ze swém jasném i ciepłém ogniskiem rodzinném, z gorącemi sercami i szlachetnemi myślami, które go zamieszkiwały, ze złożonemi w nim

zadatkami lepszéj, rozumniejszéj, cnotliwszéj przyszłości ogółu i jednostek...

Konrad tymczasem, popijając gorącą herbatę i kolejno to gniewem wybuchając, to łzy z oczu ocierając, rozwodził żale swe przed Mieczysławem.

— Tak — mówił — oszukali mię najniegodziwiéj, jak Boga kocham, oszukali! Dowiedziałem się o tém wypadkiem. Spotkałem w N. u znajomych prawnika, tego Dzierkowskiego, co to wiész, Mieczysiu, mówią o nim, że taki uczciwy i taki rozumny.

— Wiem! wiem! — przerwał Mieczysław, niespokojny i ciekawy.

— Ot, mówiąc z nim o tém, że sprzedałem Ręczyn, pokazałem mu obligi, które mi ten... łotr Porycki w imieniu barona wydał... Dzierkowski patrzył i głową kiwał, aż nakoniec powiedział, że obligi te trzech groszy nie warte, bo...

— Czy to być może? — zawołał Mieczysław. — Chyba Dzierkowski mylił się...

— Oh, mylił się! — z rozpaczą zawołał Konrad. — I ja tak myślałem z początku, ale potém niespokojność mię zjęła. Cały dzień chodziłem do wszystkich prawników, jacy tylko są w N., i do sądu chodziłem... urzędników wypytywałem... Jedni mówili, że obligi nic niewarte, drudzy radzili natychmiast proces rozpoczynać.

Mieczysław słuchał z razu z osłupieniem. Wkrótce jednak uczynił ręką gest taki, jak gdyby pomyślał,

że wszystkiego spodziewać się można było po ludziach, którzy nowe to urządzili oszustwo.

— A ciotka Malwina? — zapytał po chwili.

— Matka, biedna moja matka! — wyrzekł Konrad i utkwił w ziemię wzrok, bardziéj jeszcze posępny i stroskany, niż dotąd.

Starczyło to za odpowiedź. Pani Malwina została widocznie, tak jak i jéj syn, w pole wyprowadzoną i ze środków do życia ogołoconą.

— Ale jakże się to stać mogło, Konradzie? — po chwili zamyślenia rzekł Mieczysław. — Przecież całemu przebiegowi sprawy téj obecnym był Augustyn Szyłło... Nie sądzę, żeby mógł on być tak niedoświadczonym i nieumiejętnym...

W téj chwili do pokoju wchodziła Michalina; Mieczysław umilkł, a Konrad szepnął mu do ucha:

— Mówią ludzie, że Szyłło wziął od *nich* pieniądze... Nie wiem, czy to prawda, i wątpię nawet... Niech mu tam zresztą Bóg nie pamięta, jeśli i on skrzywdził mię także... Ot, jak Boga kocham, i ja względem człowieka tego czystego sumienia nie mam... Należało mu się od nas, należało od dawna; prosił, dopominał się... zwlekałem... to może i wypłacił sam sobie... Cóż robić? przyrzeka mi teraz, że proces wygra...

Przy ostatnich słowach Konrad zerwał się z krzesła, jakby sobie o czémś przypomniał.

— Gdzie ja téż mam głowę! — zawołał — sie-

dzę tu u was, a jutro trzeba mi prośbę do sądu podpisać, którą pan Augustyn już przygotował.

— Myślisz więc na seryo o procesie? — zapytał Mieczysław.

— Jakto! czy myślę o procesie? A to, jak Boga kocham, zabawne pytanie, Mieczysiu! Ja im wszystkim procesa powytaczam: i baronowi, i Makowerowi, i Poryckiemu. Choć-bym miał te kilka groszy, które mi w kieszeni pozostały, utracić co do jednego, choćbym miał pieszo iść do stolicy, procesować się będę, i... wygram. Zabaczycie, że jeszcze sprzedaż unieważnię i do Ręczyna wrócę...

Gdy Konrad mówił, a raczéj wykrzykiwał te słowa, szerokiemi krokami po pokoju chodząc i rękoma rozmachując, ciemne rumieńce pokryły twarz jego i wyraz szczególnéj zaciętości błyszczał mu w oczach. Daremne były przedstawienia Mieczysława, że lepiéjby uczynił, gdyby za pozostałe mu pieniądze dzierżawę wziął jaką, a pracą i oszczędnością nowéj dobijał się fortuny; daremnie Michalina uprzejmemi słowy zapraszała go, aby w domu ich przenocował: Konrad ściskał szwagra i całował ręce jego żony, dziękował, płakał, polecał im swe dziecię, uderzał się pięścią w piersi, przysięgając, że jest najnieszczęśliwszym na kuli ziemskiéj człowiekiem; ale zarazem objawiał stanowczo przekonanie, że kiedyś będzie jeszcze inaczéj, gdy procesa powygrywa, i albo do Ręczyna wróci, albo kapitał utracony odzyska. Mó-

wiąc tak, zaklinając się, gestykulując i łzy ocierając z oczu, opuścił Orchów.

We dwie godziny po odjeździe nieszczęśliwego syna pani Malwiny, Mieczysław siedział przy wielkim stole u komina, na którym dogorywał ogień, i z brwią zsuniętą przeglądał nagromadzone tam w czasie nieobecności jego papiery. Były to pozwy urzędowe o wypłacenie podatków i innych należności publicznych, regestra i zapiski, wykazujące potrzeby przeróżnych gospodarskich napraw, ulepszeń i wydatków. Jakkolwiek Mieczysław każdy z papierów tych, przypominających mu groźne i kłopotliwe jego położenie, czytał z chmurném i uważném skupieniem, jednakże piérwsze słowo, które wymówił po skończoném czytaniu, nie tyczyło się wcale ich treści. Usuwając od siebie przeczytany papier, powstał z krzesła i rzekł:

— Jutro jadę do Białowoli...

Michalina siedziała przy stole, z robotą w ręku, ale wzrok jéj z miłością i niepokojem tkwił w nachmurzonéj twarzy męża.

— Do Białowoli? — powtórzyła — tak, rozumiem cię...

— Może — mówił Mieczysław, rękę po czole przesuwając — może drzwi, zamknięte przed bratem, otworzą się przed matką... Może też upomnienie i prośba matki przemówią tam, gdzie umilkły: wstyd niewieści, sumienie i rozum...

— Tak — rzekła Michalina — ale czy matka twoja zechce?

— Czy zechce pojechać? — przerwał Mieczysław — widzieć się ze zbłąkaném swém dzieckiem... przemówić do niéj głosem macierzyńskiego uczucia i macierzyńskiéj powagi! Ha, nie wiem! ręczyć za to nie mogę! Zawsze jednak obowiązkiem jest moim nie opuszczać i tego jeszcze środka ratunku dla niéj! Kto wié? sprobuję! pojadę!...

* * *

Dom białowolski, mały, lecz ładnie zbudowany i niegdyś tak świeżo bielejący wśród ciemnéj zieleni, przybrał, od czasu zamieszkania w nim pani Leontyny, pozór na zewnątrz szary i opuszczony, wewnątrz dziwaczny i ponury. Każdy z niewielkich pokojów domu tego wyglądał jak trumna. Nizkie, opylone sufity zdawały się tam przygniatać i w ziemię wciskać pociemniałe od kurzu ściany. Pod ścianami stały sprzęty z ciemnego drzewa, obite grubém, niebielonem płótném, żałobnie przybraném czarnemi taśmami. Takież firanki wisiały u okien i żółtawém, posępném światłem napełniały pokoje, w których panowała atmosfera duszna i wilgotna, właściwa mieszkaniom wiecznie zamkniętym, zaniedbanym, prawie pustym. Fantastyczny przystrój ten domu wymyśliła i uskuteczniła pani Leontyna wtedy jeszcze, gdy

po śmierci męża przenosiła się z Orchowa do Białowoli, na własność jéj przez synów oddanéj.

Pani Malwina Ręczycowa, jak domyślać się można, różniła się zupełnie z krewną swą i wychowanicą w zdaniu o urządzeniu domu jéj i sposobu życia. Radziła jéj ona pozbyć się melancholii za pomocą rozrywek światowych.

Pani Leontyna rad tych słuchała z gorzkim uśmiechem na ustach i w odpowiedzi, dom swój, według obmyślanego z góry planu, urządziwszy, hermetycznie go przed światem zewnętrznym zamknęła. Odtąd pani Malwina lękała się białowolskiego dworu i nigdy do niego nie przyjeżdżała, stosunki z posępną krewną swą ograniczając do listownéj korespondencyi, rzadko bardzo zamienianéj.

Teraz przecież matka Konrada przybyła do Białowoli, jako do jedynego portu ucieczki, który pozostał jéj na świecie. Przybyła tam w towarzystwie jednéj tylko ze swych córek, bladéj i smutnéj Flory, ale wraz z nią zawitały do posępnych pokojów pokutniczego domu głośne wykrzyki, żwawe a nieustanne bieganiny, szelesty i fruwania barwnych, bombiastych sukien.

Pani Leontyna, po piérwszych zamienionych powitaniach, w których nie okazała ani radości, ani niezadowolenia, tylko przelęknienie jakieś i osłupienie, usunęła się do jednego z pokojów i krótkiemi, cicho wyrzeczonemi słowy zaprosiwszy ciotkę, aby według

woli swéj urządzała się i żyła w jéj domu, pozostała już w schronieniu swém, które, wchodząc, na klucz zamknęła.

Pani Malwina usiadła na kanapie w bawialnym pokoju, opuściła ręce na kolana, przymknęła oczy, i tak już pozostała noc całą. Daremnie Florka, która krzątała się około rozpakowania tłomoków i urządzania herbaty, prosiła matkę, aby rozebrała się i do łóżka położyła; przerażona wszystkiém, co ją otaczało, kobieta wstrząsała przecząco głową i, oczu nie otwierając, mówiła:

— Lękam się spać w téj trumnie, bo zdaje mi się, że zasnęła-bym w niéj na wieki... Nie odchodź, Florko! zdrzémnę się trochę... Ach! te firanki! te firanki! Zobacz, duszo moja, czy tam za niemi niéma czego...

Z rana, gdy z-za żółtawo-żałobnych firanek błysnęło parę promieni zimowego słońca, otworzyła wprawdzie oczy, wypiła herbatę, przyrządzoną jéj przez Florę, poprawiła na głowie loki i wstążki, ale miejsca zajmowanego nie opuściła i, niewyspana, wybladła, drżąca od zimna i przykrych wrażeń, kurczyła się pomiędzy żałobnemi poduszkami kanapy, wyrzekając na nieoględność syna, który stracił majątek, na dziwactwo pani Leontyny, która w tak okropny sposób dom swój urządziła, i na głupotę swych córek, które za mąż nie wyszły, i teraz matce swéj

innego, przyjemniejszego schronienia ofiarować nie mogą.

W takim stanie znalazł ją Mieczysław, który w parę godzin po południu do Białowoli przyjechał. Na widok jego, pani Malwina obie ręce wyciągnęła ku krewnemu, wołając:

— A niech ci, kochaneczku, Pan Bóg da zdrowie za to, żeś tu dziś przyjechał! Przynajmniéj głos ludzki posłyszę i twarz czyjąś w téj trumnie zobaczę! Przyjechał tu wprawdzie, pół godziny temu, brat twój Kamil, ale nie mogłam o niego dopytać się... Poszedł z Florą rozmawiać... Ach! bieda na świecie, kochaneczku, bieda wielka! Ale i ty, kochanku, coś mi blado i mizernie wyglądasz! Zdaje się, doprawdy, że cały świat zmizerniał i melancholii dostał... Przyjdzie mi już chyba, jak téj biednéj Leontynie, od królestwa niebieskiego rozrywek oczekiwać...

Mieczysław, na którego obliczu malowały się w istocie powaga i smutek, po wyrzeczeniu kilku obojętnych słów powitania, obejrzał się dokoła i zapytał:

— Gdzie jest moja matka? Przyjechałem tu po to, aby z nią o bardzo ważnéj sprawie pomówić.

— Ach! te wasze ważne sprawy! — wykrzyknęła pani Malwina. — Nigdy do nich najmniejszéj inklinacyi nie miałam, i ot, figuruj sobie, moja duszo, jakie to było trafne przeczucie... wszystkie moje biedy z tych

ważnych spraw wynikły. Twoja matka, kochanku, jest bardzo osobliwą osobą. Siedzi zamknięta w tamtym pokoju.

Tu zniżyła głos i szeptem zapytała:

— Czy wchodziłeś kiedy, kuzynie, do tego pokoju?

Ale Mieczysława nie było już przy niéj. Stanął on u zamkniętych drzwi pokoju swéj matki i z lekka zapukał.

— Kto tam? — ozwał się z wewnątrz głos stłumiony i słaby.

Mieczysław odpowiedział.

— Czy nie mogła-bym zobaczyć cię późniéj? — zapytał znowu głos, z pokoju wychodzący.

— Pragnął-bym bardzo widzieć cię, mamo, dziś, zaraz...

Za drzwiami ozwał się szept, smutną lecz głęboką rezygnacyą nabrzmiały: „Dziej się wola Twoja, Panie, tak na ziemi, jako i w niebie!", poczém z wolna, bez szelestu, otworzyły się drzwi i stanęła w nich matka Lili.

Szczególna to była postać, tak szczególna, że gdyby pojawiła się w inném miejscu i o innéj porze, wydać-by się mogła jakiémś legendowém zjawiskiem. Wysoka zawsze, pani Leontyna, wyglądała teraz na jeszcze wyższą; wrażenie to sprawiało nadmierne wychudnięcie jéj ciała, obok wązkości i powłoczystości okrywającéj ją czarnéj szaty. Włosy, w większéj

połowie posiwiałe i nieokryte niczém, w bezładnych, gęstych zwojach opadały na jéj ramiona, na długą, wychudłą szyję, i przysłaniały z lekka czoło, powleczone skórą żółtawą, w mnóztwo bruzd zmarszczoną. Pod czołem tém świeciły oczy wklęsłe, z wielkiemi, czarnemi źrenicami. Powieki jéj były zaczerwienione, policzki zapadłe, z dwoma, wypieczonemi na nich, gorączkowemi rumieńcami; usta blade i zaciśnięte, ręce białe, chude, przezroczyste, na czarną szatę bezwładnie zwieszone. Było to uosobienie gorączki ducha i wyniszczenia ciała.

Suche, sztywne spójrzenie zatrzymała na głowie syna, chylącéj się nad ręką jéj, którą niósł do ust; suchy i zimny także był dźwięk jéj głosu, gdy pytała go, po co przybył.

— Moja matko! — z łagodną powagą zaczął Mieczysław — smutnym będzie przedmiot dzisiejszéj méj z tobą rozmowy...

Usta pani Leontyny poruszyły się z wolna.

— Smutek nasz i wesele są w ręku Boga! — wymówiła powolnym, monotonnym głosem.

Mieczysław skinął głową.

— Tak, matko — rzekł. — Są jednak wypadki, w których obowiązek i serce rozkazują nam biedz z pomocą nieszczęśliwym i upadłym. Wiész o tém, matko moja, jakiemu nieszczęściu uległa, jak nizko upadła Lila.

Na dźwięk imienia tego, twarz pani Leontyny

drgnęła, rumieńce jéj powiększyły się, oczy silniéj błysnęły.

— Grzesznica! — wymówiła.

Nie powiedziała nic więcéj nad ten jeden wyraz, ale wyszedł on z ust jéj z ostrym sykiem, zdradzającym oburzenie zacięte i nieubłagane.

— Niestety! — wyrzekł syn — nazwa, którą dałaś biednéj, zbłąkanéj siostrze mojéj, jest prawdziwą. Ja jednak przyłączam do niéj w myśli inną jeszcze: nieszczęśliwa!

Ledwie dojrzany cień gorzkiego uśmiechu przesunął się po ustach pani Leontyny.

— Nieszczęśliwa? — powtórzyła i zwróciła na twarz syna źrenice swe, tkwiące dotąd w górze, a teraz ostrém, przeszywającém światłem napełnione. — Ona nieszczęśliwa... A ja... czy byłam szczęśliwą? czy nie miałam w życiu swojém zawodów, bólów, rozczarowań? Któż litował się nade mną w czarnych godzinach mego życia? kto przychodził mi w pomoc?... nikt. Nikt mnie nie kochał, świat i ludzie opuścili mnie! Teraz w głębi serca składam im dzięki za to, bo nauczyło mnie to pokory i wzgardy dla poziomej, smutnéj, nędznéj téj ziemi!...

Mieczysław słuchał z pochyloną głową. Po chwili milczenia mówić znów zaczął:

— Smutki i walki, matko moja, znajdują się w życiu i pamięci każdego człowieka; ale burze, po-

dobne téj, która pochłonęła cnotę i może szczęście całego życia Lili...

— Burze? — przerwała matka — a w mojém życiu czyż nie było burz srogich i bolesnych?

— Jeżeli były one — odrzekł syn — to oparłaś się im, matko moja, skuteczniéj, niż ta biedna ofiara własnych namiętności i nikczemności ludzkiéj...

— Ścieżki moje były w ręku Pana; wiódł On mnie niemi według świętéj Swéj woli.

To ciągłe zwracanie się ku sobie pani Leontyny przykrém snadź echem odbijało się w sercu jéj syna, bo czoło jego stawało się coraz chmurniejszém, a oczy mimowoli spuszczały się ku ziemi.

Milczeli znowu chwilę. Mieczysław piérwszy mówić zaczął głosem, który przytłumiało głębokie wzruszenie.

— Lila zsunęła się w przepaść straszną. Jeśli nikt i nic zatrzymać jéj nie zdoła, runie ona na samo jéj dno, niwecząc szczęście i spokój całego życia swego, tak, jak zniweczyła już dobre swe imię. Probowałem podać jéj dłoń braterską i, pomimo wszystkiego, co zaszło, otworzyć przed nią schronienie w sercu i w domu swoim. Nie przyjęła ofiary mojéj, nie chciała mnie nawet widzieć. Pomyślałem więc, że gdyby twój głos, matko, zawołał na nią, głos, któryby przypomniał jéj najlepiéj czyste lata dzieciństwa, powagę i świętość domowego ogniska, rzuciła-by się może w objęcia twoje, a ty-byś ją dźwignęła z poniże-

nia, i oddała w moje ramiona, gotowe zawsze wyciągnąć się ku niéj z przebaczeniem i pomocą... Myślałem, matko...

Głos jego drżał lekko, ale powieki podniosły się i ukazały źrenice, napełnione światłem gorącego uczucia. Na twarzy jego była prośba serdeczna, w postawie powaga męzkiego, głębokiego smutku.

Przerwał mu mowę gest pani Leontyny, żywszy, ostrzejszy, niż wszystkie poprzednie. Podniosła rękę, jakby poruszeniem tém nakazać chciała synowi milczenie, a wzrokiem błądząc znowu po wysokościach, mówić zaczęła:

— Wiem! o, wiem, jak łatwém jest dla was przebaczenie, dla was, zepsutych dzieci świata i próżności jego! Przebaczacie wszystko, bo własne serca wasze tajemny zawarły sojusz z duchem zła i ciemności, bo zniknęła w was święta bojaźń Boża, bo sprzeciwianie się rozkazom Pana nic już dla was nie znaczy. Przebaczajcie! przebaczajcie bluźniercom, niedowiarkom, jawnogrzesznikom! nurzajcie się wraz z nimi w otchłani złości i nieprawości, aż można prawica Pana ześle na was Swoje gromy, aż pod siarczystym deszczem Jéj pomsty spłonie i spopieleje obrzydły świat wasz, jak spłonęły niegdyś Sodoma i Gomora.

Słowa te wymawiała z razu głosem cichym i słabym, który jednak wzmagał się coraz więcéj, rósł w siłę i nabrał dźwięków ostrych, syczących. Zara-

zem obie ręce jéj podnosiły się w górę gestem groźby i złorzeczenia, oczy ciskały błyskawice, a cała postać i twarz jéj przyoblokły się ponurym zapałem fanatyzmu.

Mieczysław stał nieruchomy, jakby skamieniały od bólu i zdumienia. Po chwili dopiéro, nie patrząc na matkę, wymówił z cicha:

— Matko moja! pobożne uczucia twe szanowałem zawsze i nie sprzeciwiałem się im nigdy żadném słowem, ni postępkiem. Ale racz sobie przypomnieć teraz, gdy idzie o uratowanie dziecięcia twego, słowa Chrystusa, który na jawnogrzesznicę kamieniem rzucić wzbronił i litować się nad nią rozkazał.

— „Nie będziesz wzywał imienia Boga twego nadaremno!" — przerwała pani Leontyna głosem podniesionym, i uczyniła poruszenie takie, jakby odejść chciała.

Ale Mieczysław podniósł rękę gestem prośby, a w źrenicach jego po raz piérwszy, odkąd z matką rozmawiał, przebiegła błyskawica gorzkiego wyrzutu.

— Matko! — zawołał — przypomnij sobie Lilę! postaw sobie przed oczyma postać i rysy twego dziecka! Przypomnienie to wzruszy cię może i rozkaże śpieszyć ku niéj z ratunkiem...

— „Nie będziesz krzyżował ścieżek Pańskich, ani sprzeciwiał się woli Jego świętéj!" — brzmiała znowu odpowiedź, cichym i uroczystym głosem wymówiona.

— Lila znajduje się w rękach człowieka złego, sumienia i skrupułów wszelkich pozbawionego. Przygotuje on jéj zgubę zupełną, wtrąci ją w najsroższe nieszczęścia.

— „Niezbadane są drogi, któremi Pan przywodzi ku sobie dusze zbłąkane!" Lila była zawsze dzieckiem niesfornem i samolubném, dla wiary świętéj obojętném, do marnych blasków ziemskich rwącém się, jak motyl do ognia. Niech więc dotknie ją ogień gniewu Pańskiego i duszę jéj oczyści, niech podźwignie ona na grzesznych ramionach swych krzyż kary Bożéj, a uczyni on ją pokorną i ku zbawiennéj pokucie zawiedzie! Ja nic dla niéj uczynić nie mogę, tylko w pokutniczéj szacie méj, z głową osypaną prochem, modlić się będę do Pana, aby kiedyś, przebaczywszy jéj winy, połączyć ją raczył ze mną w niebieskiéj Swéj światłości.

Mówiąc ostatnie słowa, skinęła głową synowi i zwróciła się znowu ku drzwiom. Ale tym razem ciemny rumieniec oblał bladą dotąd twarz Mieczysława. Męzka cierpliwość jego wyczerpała się. Zawrzały w nim gorzkie przypomnienia i oskarżenia.

— Matko! — wyrzekł, z całą mocą powstrzymując wybuch głosu swego i uczuć — przebacz mi to, co powiem... Lili należy się coś od ciebie... Dziecięce i młodzieńcze lata jéj nie upłynęły tak, jak upłynąć były powinny... Nie zaznała ona uczuć poważnych i uszlachetniających, nie przyjęła w siebie myśli

wielkich i obrończych... nie była należycie przygotowaną do trudów i prób życia; nie wszystko téż teraz na karb własnéj jéj winy składać należy...

Pani Leontyna stała przed synem w postawie pełnéj głębokiego zdumienia, z twarzą, którą opływały rumieńce gniewu.

— Któż więc zawinił tu, prócz niéj? — zapytała. — Ja może?... ja?

Śmiech cichy, lecz gorzki, szyderczy, wstrząsnął zapadłą jéj piersią.

— Mnie więc obwiniasz, Mieczysławie, o grzechy i nieszczęścia płochéj téj, występnéj istoty? Nie dziwię się temu i Bóg widzi, że obraza za to w sercu mém nie istnieje. Oddawna już świat i ludzie nauczyli mnie pokory. Gdybyś był sprawiedliwym, przypomniał-byś sobie, jak troskliwie, jak starannie pielęgnowałam w Lili pokorę, pobożność i pogardę dla ziemskich, światowych próżności. Ale synowie moi nie rozumieli mnie nigdy, serca ich i myśli pozostawały zawsze z dala ode mnie... Kamil nie kochał nikogo; ty, Mieczysławie, kochałeś bardzo ojca; wiem o tém... ale nie mnie! nie mnie! Któż mnie zresztą kochał na ziemi?... nikt. Co znaczyłam na świecie i komu potrzebną tam byłam?... nic i nikomu. A więc odeszłam od was w milczeniu i z pokorą, zamknęłam się w téj trumnie swojéj, ciało swe przyodziałam szatą pustelniczą, i sam-na-sam z Panem żyć zaczęłam. Ale wy i tu pokoju mi nie dajecie, wy i tu

w ciszę moję wrzucić usiłujecie obrzydłe echa światowych wrzaw i namiętności. O! precz, precz ode mnie, obrzydłe mary świata tego, które przypominacie grzeszną i nędzną przeszłość moję! Precz ode mnie, wy pokuszenia duchów ciemności, które, pragnąc odwieść mnie od stóp Pana i samotnych z Nim rozmów, oblekacie na siebie postacie dzieci moich! Nie chcę was słuchać! „Przyjdź! przyjdź, Panie, królestwo Twoje, i bądź wola Twoja na ziemi, jako..."

Dalszy ciąg mowy jéj przycichał stopniowo i umilkł zupełnie za drzwiami, które bez szelestu zamknęły się za matką Lili i Mieczysława. Nie można było mylić się. Kobieta ta, z przeszłością burzliwą i z wielu względów występną, z samolubném sercem, przerażoném sumieniem a ognistą wyobraźnią—była już na-pół obłąkaną. Z dźwięków głosu jéj, słabych i ostrych z kolei, z wiecznego podnoszenia w górę jéj źrenic, z gorączkowych rumieńców i febrycznych drgań, które wstrząsały jéj ciałem, gdy mówiła o piekle i duchach ciemności, odgadnąć można było wszystkie zabobonne przestrachy, wszystkie czarujące i naprzemian straszliwe wizye, otaczające ją w komnacie jéj samotnéj; odgadnąć można było niezbadane żale jéj za szczęściem ziemskiém, które ją opuściło, i extatyczne tęsknoty, porywające ją ku zaziemskim krainom. Choroba ducha, źle i krzywo ukształconego, boleści serca, pozbawionego jedynych

trwałych rozkoszy ziemskich, z uczuć szlachetnych i myśli światłéj płynących, wywołały w niéj chorobę ciała, któréj piérwsze objawy ujrzały teraz przerażone oczy Mieczysława.

Z bladém téż i chmurném czołem, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, wszedł on do pokoju, w którym śród żałobnych poduszek kanapy świeciła i szeleściła barwista, jedwabna suknia pani Malwiny.

Przy stole stał tam Kamil, a Flora, blada od znużenia i tuląca się w fałdy grubego szalu, siedziała w cieniu żałobnéj firanki i kryła za nią twarz, po któréj łzy ciche spływały.

Bracia powitali się dość obojętnym uściśnieniem rąk.

— Dawno nie widziałem cię, Kamilu — rzekł Mieczysław, ale znać było, że słowa te wymówił machinalnie prawie, bo myśl jego nie ochłonęła jeszcze po strasznym widoku, który przed chwilą uderzył ją i w bolesne wprawił osłupienie.

— Tak — odparł Kamil swobodnym, obojętnym tonem. — Ty się tam porasz ze swém gospodarstwem w Orchowie, jak najemnik jaki, i czasu nie masz na odwiedziny. Ja także w ostatnich tygodniach zajęty byłem bardzo. Sprzedawałem Rydlówkę.

Ostatnie słowa obudziły Mieczysława z zadumy. Szybko podniósł powieki i spójrzał na brata.

— Słyszałem o tém — rzekł — alem sądził

zawsze i teraz jeszcze sądzę, iż namyślisz się i ostatecznego kroku nie uczynisz.

— Owszem — odparł Kamil, śmiejąc się — krok ten uczyniłem już. Sprzedałem Rydlówkę.

— Sprzedałeś ją już, Kamilu, stanowczo?

W głosie, którym Mieczysław zadawał to pytanie, lekkie było drżenie. Kamil spójrzał na niego oczyma, w których zimna tkwiła ironia.

— Najbardziéj stanowczo — odparł. — I dlaczegóż nie miałem tego uczynić? Alboż Rydlówka nie była moją własnością?

— Nie będę tłómaczył ci tego, co sam równie dobrze, jak ja, rozumiesz — rzekł Mieczysław. — Wiem tylko, iż żadna przykra konieczność, żadna nawet najlżejsza potrzeba nie zmuszała cię do tego

— Przeciwnie — odparł Kamil — zmusiły mnie potrzeby mego umysłu i wymagania mego smaku. Żyjąc na wsi, wyrzekać się musiałem wielu przyjemności, które teraz, posiadając w ręku odpowiedni kapitał, będę mógł zapewnić sobie z łatwością. Nie jestem stworzony do życia na wsi. Lubię miasto, naturalnie wielkie miasto, swobodę, towarzyskie i artystyczne rozrywki, których dostarczyć ono może. Za tydzień opuszczę Rydlówkę. Na wiosnę wyjadę za granicę, zwiedzę Włochy, Szwajcaryą i nadreńskie strony, potém zaś zamieszkam stale w Warszawie, gdzie znajdę miłe towarzystwo, koncerta, operę...

— Więc dla towarzystwa miłych dam miejskich

i dla słuchania opery sprzedałeś Rydlówkę? — przerwał mu Mieczysław.

— Uczyniłem to dlatego także — ciągnął Kamil — aby umysłu swego nie zamykać w zbyt ciasnych ramach parafialnego bytu. Człowiek powinien być zawsze panem położenia swego, módz zmieniać je według woli, nie wrastać, jak grzyb, w miejsce jedno, ale szukać sobie po świecie dróg różnych, takich, na których najwygodniéj i najszerzéj mogłyby rozwijać się właściwe mu usposobienia, zdolności i gusta. Sprzedając Rydlówkę — dodał Kamil z uśmiechem głębokiego zadowolenia — wcieliłem tylko w czyn tę filozofią życia, którą wyznaję. Z jakiegoż wreszcie innego powodu mógł-bym to uczynić? Do wojny z wiatrakami nie porywałem się nigdy... długów nie miałem.

W ostatnich wyrazach była już wyraźna, do Mieczysława skierowana, ironia. Ale Mieczysław przed pociskiem tym nie spuścił oczu.

— Ale miałeś obowiązki — rzekł krótko i z powagą.

Kamil wzruszył ramionami i zaśmiał się głośno.

— Jakie? — zawołał — gdzie? nic nie wiem o nich. Nie słyszałem i nie czytałem nigdy o tém, aby w jakichbądź krajach lub czasach istniało prawo, wzbraniające komukolwiek rozrządzać własnością swą według woli i chęci. Ziemia jest kapitałem tak dobrym, jak każdy inny, a ruch ciągły, ciągłe

przechodzenie z rąk do rąk kapitałów, stanowi prawo bytu i warunek rozwoju gospodarstwa społecznego. Monopol wszelki szkodliwym jest dla publicznego bogactwa i przemysłu, a uparte utrzymywanie się właścicieli ziemskich przy odziedziczonéj glebie wytwarza monopol, którego najdobitniejszy przykład przedstawia nam Anglia...

Wywód ten, nabrzmiały szumnemi nazwami i frazesami, prowadzony był-by przez Kamila dłużéj jeszcze, ale Mieczysław już go nie słuchał. Podszedł do Flory i rozmawiał z nią półgłosem.

— Gdzie jest Róża? — zapytał.

— Pozostała w N.

— Spełniła więc zamiar swój?

— O! spełniła... szczęśliwa!

— Żona moja dawno już od niéj listu nie miała?

— Róża jest teraz tak pilna, tak zawsze zajęta!

— Mówicie o Róży? — zawołała z kanapy pani Malwina. — Figuruj sobie, kuzynku, że téj dziewczynie pomieszało się w głowie: została guwernantką... Róża Ręczycówna guwernantką! Daje lekcye na jakiéjś pensyi, a potém gryzmoli po całych wieczorach i rankach. Dziwna, doprawdy, destynacya moja, żebym na nieszczęście dziewczyny téj patrzéć musiała.

Mieczysław, słuchając słów tych, uśmiechał się dziwnie. Promień miłego, radosnego niemal uczucia rozświecił chmurną twarz jego.

— Moja ciociu! — rzekł — to, co ciocia nazywa nieszczęściem Róży, jest dla niéj przeciwnie szczęściem wielkiém.

— Piękne szczęście, kochanku! to dziewczyna zgubiona... Gdybym wiedziała, kto nakładł jéj do głowy wszystkich tych głupstw, to-bym mu pięknie podziękowała.

— Mam nadzieję — rzekł Mieczysław — że kiedyś, gdy Róża imieniem swém zrobi chlubę swéj matce, a pracą stanie się jéj podporą, podziękowanie cioci odbierze naprawdę moja żona, która, widując się z Różą niekiedy, a pisując do niéj często, kierowała naukowemi jéj pracami, zachęcała ją do wytrwania, odkryła w niéj zdolności pisarskie, a teraz otrzymała dla niéj zajęcie nauczycielskie na pensyi, z któréj przełożoną łączą ją dawne i dobre stosunki. Dziś żona moja poleciła mi, abym prosił ciocię o chwilową cierpliwość i pobłażliwość dla Róży... Gniew cioci boli Różę, ale jéj z drogi, którą sobie wybrała, nie sprowadzi...

— A niech sobie idzie, kochanku, drogą tą, niech sobie idzie! — odparła pani Malwina, a policzki jéj zarumieniły się silnie i głos zadrżał. — Ja jéj nie przeszkadzam, ale i znać jéj nie chcę.

Zwróciła się do Kamila i mówiła daléj:

— Figuruj sobie: w czarnéj sukni chodzi, jak zakonnica... po pensyach za lekcyami lata... androny głupie gryzmoli i ze szwaczką jakąś w dwóch po-

koikach pod dachem zamieszkała... Remarkuj sobie sam, kochanku, czy mogę ją za swoję córkę uważać?

— Panna Róża miała zawsze pociąg do książek — z odcieniem ironii zauważył Kamil, i z lekka a zimno dotknął ręki brata, który przez nikogo niezatrzymywany, żegnał obecnych.

Zaledwie drzwi przedpokoju zamknęły się za odjeżdżającym, Kamil wziął także czapkę i z pożegnalnym ukłonem zbliżył się do ciotki. Ale pani Malwina ręki mu nie podała i, patrząc na niego żartobliwie niby, lecz w istocie z niepokojem ukrywanym, zawołała:

— Jakto, kuzynie! odjeżdżasz już?

— Muszę — odparł Kamil. — Tydzień tylko mam czasu do przygotowania wszystkiego, aby wyjazd mój z Rydlówki obszedł się bez strat i niewygód.

— I nic nie masz mi do powiedzenia, kochanku? — zagadnęła pani Malwina, żwawo przebierając drżącemi rękoma fałdy swego szala i patrząc w twarz krewnego wzrokiem, w którym wzrastał niepokój.

Kamil skłonił się grzecznie i odpowiedział z uśmiechem:

— Pozostaje mi tylko życzyć szanownéj cioci dobrego zdrowia i polecić się jéj pamięci.

— A Florze, kochanku? a Florze czy żadnych nie złożysz życzeń?

Zadając pytanie to, pani Malwina usiłowała zaśmiać się po swojemu, to jest figlarnie i trzpiotowato; ale usta jéj zadrżały, a zarumienione od bezsenności powieki kilka razy nerwowo mrugnęły.

Kamil skłonił się powtórnie i, zwrócony na-pół ku ciotce, na-pół ku jéj córce, wyrzekł:

— Kuzynce Florze życzę wszelkich powodzeń i jak najświetniejszego wyjścia za mąż.

Na te słowa, Flora wysunęła się szybkim ruchem z-za ocieniającéj ją dotąd żałobnéj firanki i, z chustką przyłożoną do twarzy, nie patrząc na nikogo, wybiegła do przyległego pokoju. Pani Malwina wyprostowała się, jak struna, rozpostarła obie ręce gestem zdumienia i zawołała:

— Ależ figuruj sobie, moja duszo, że ona już teraz wyjść za mąż nie może... w żaden sposób nie może! Cały świat wié o tém, że kochaliście się przez lat tyle. Teraz, młode to jeszcze wprawdzie... bardzo młode... ale nie to już, co było... Gryzło się biedne dziecko i płakało często, więc postarzało téż przed czasem.

Przy ostatnich wyrazach głos pani Malwiny, tak dźwięczny i swobodny zawsze, zcichł i osłabł; w piersi płochéj téj kobiety i matki zabolało coś i jęknęło.

Kamil stał z czapką w ręku, ze spuszczonemi oczyma, lecz z jednostajnym wciąż uśmiechem na ustach. Po chwili ozwał się z wolna i zimno:

— Uważałem to sam, że kuzynka Flora zmie-

niła się bardzo od pewnego czasu i zmizerniała. Sądzę, że najlepszém dla niéj lekarstwem były-by rozrywki.

W słowach tych tkwiła gryząca i nielitościwa parodya rad, których pani Malwina na wszystkie choroby ciała i duszy udzielała, na-pół z przekonania, na-pół z nałogu. Teraz jednak uczuła ona, o ile rada ta w wypadkach pewnych nietrafną bywa, uczuła, ile w niéj mieścić się może gorzkiego szyderstwa. Podniosła na twarz kuzyna oczy z takim wyrazem, jakby własnym nie dowierzała uszom i, prostując się jeszcze bardziéj, wyrzekła:

— Żartujesz, kuzynie. Ale pomówmy na seryo

Ostatni wyraz szczególnie brzmiał w ustach téj, wiecznie śmiejącéj się i o nic niedbającéj, sześćdziesięcioletniéj wietrznicy.

— Pomówmy na seryo — powtórzyła. — Może zresztą nie wypada mi o tém mówić i nie mówiła-bym z pewnością, gdybym zostawała w dawnéj swéj pozycyi... Ale jestem teraz w pozycyi zupełnie innéj, niż dawniéj... Cóż uczynię? gdzie się podzieję? Myślałam, że jedno z dzieci moich przynajmniéj będzie miało dom swój i podzieli się nim ze mną... Remarkuj sam, kuzynie, czy mogę całe życie mieszkać w téj trumnie? wszak to okropieństwo, nie prawdaż? A z Florą co będzie? ona za mąż nie pójdzie za nikogo, prócz za ciebie, kuzynie. To romantyczka! kilka partyi wcale dobrych odrzuciła... Prosiłam, namawiałam, gnie-

wałam się, ale nic nie pomogło. Tyle lat, figuruj sobie tylko, kochanku, tyle lat! co za stałość! Będziesz z niéj miał żonę... perfekcyą!

Kamil stał wciąż przed mówiącą tak kobietą w jednostajnéj postawie. Ręką tylko o stół się oparł i oczy ku ziemi spuścił. Przez chwilę zdawać się mogło, że w oczach tych mignęło zakłopotanie, czy inne jakieś uczucie, ale była to tylko przelotna chwila. Kamil podniósł głowę i powoli, zimno, z rozwagą mówić zaczął:

— Przykro mi bardzo, iż zawieść muszę położone we mnie nadzieje cioci; ale ja żenić się nie myślę i nie mogę...

— Nie możesz, kochanku! dlaczego nie możesz? — wykrzyknęła pani Malwina, kurczowym ruchem pulchne dłonie swe splatając.

— Ożenienie się bowiem — ciągnął daléj Kamil — sprzeciwiało-by się wszystkim gustom moim i planom, jakie sobie ułożyłem na przyszłość. Jestem dość majętnym na to, aby zabezpieczyć własne życie od przykrych niewygód, braków i katastrof, ale nie dość, aby brać na siebie ciężar utrzymania rodziny. Rodzinne życie zresztą nie odpowiada wyobrażeniu, jakie mam o exystencyi człowieka, pragnącego w każdéj okoliczności być panem swego losu. Zdaje mi się, że nazawsze pozostanę bezżennym.

Gdy Kamil to mówił, z twarzy pani Malwiny zniknęły bez śladu rumieńce, a zastąpiła je bladość żół-

tawa. Zaczerwienione powieki jéj mrugały szybko i nerwowo. W głowie nie było wyrazów, a w piersi głosu, któremi-by odpowiedzieć mogła. Wargi jéj poruszyły się tylko kilka razy i wydały z siebie szept, w którym dosłyszéć można było słowa:

— Tyle lat! imainuj sobie tylko, tyle lat!

Kamil złożył jéj ukłon głęboki i wyszedł. Wtedy we drzwiach przeciwległych, do sąsiedniego pokoju wiodących, stanęła Flora, blada bardzo, z nabrzękłemi od płaczu oczyma, z piersią drżącą od łkań tłumionych.

— Nadaremnie, mamo... — zaczęła — mówiłaś z nim o tém... Ja wiedziałam... on mi to sam powiedział...

Umilkła znowu i stała we drzwiach, nie płacząc już, bez poruszenia żadnego, jak posąg wstydu i rozpaczy. Pani Malwina wpatrywała się w nią osłupiałemi oczyma, i nagle, nie wymawiając słowa, wyciągnęła ku niéj obie ręce. Flora poskoczyła i, osuwając się na ziemi u nóg matki, ukryła twarz na jéj kolanach. Oczy pani Malwiny mrugały i z szybkością nadzwyczajną obiegały pokój, aż napełniły je łzy. W kobiecie téj, po raz piérwszy może w życiu, ozwały się uczucia poważne i bolesne, po raz piérwszy pierś jéj wezbrała płaczem głośnym i gwałtownym. Otoczyła zgiętą u kolan jéj szyję córki trzęsącemi się rękoma i, głosem przez łkania przerywanym, zawołała:

— Figuruj sobie, duszo moja... że wszystkie... wszystkie dzieci moje są... zgubione!

* * *

Wieczór był blizki, gdy Mieczysław wrócił do domu. Michalina, jak zwykle bywało, wyszła na ganek, aby go spotkać. Mieczysław śpiesznie zbliżył się do niéj i, biorąc ją za rękę, z niepokojem zapytał:

— Co ci jest, Michasiu? czy stało się w domu co złego?

Pytanie to spowodowaném było niezwykłym wyrazem twarzy młodéj kobiety, która, w udawanie nie wprawna, zdradzała się z silném, a przykrém wzruszeniem.

— Nic się nie stało — z wahaniem się w głosie odpowiedziała Michalina — późniéj ci zresztą powiem... — dodała, rumieniąc się mimowoli, jak ktoś, komu ciężko jest popełniać kłamstwo, w celu choćby najlepszym. — Idź teraz do pokoju naszego... czeka tam na ciebie Makower, który tu przed godziną przyjechał.

Rzekłszy to, odwróciła się szybko od męża i zniknęła w głębi domu. Odchodząc, dotknęła dłonią stanika sukni, za którym ukryty zaszeleściał papier jakiś; potém, znalazłszy się samą, splotła ręce, podniosła je nieco w górę i szepnęła do siebie:

— Jakże ja mu to powiem? jak zdołam cios ten mu zadać? O! gdybyż w sercu mojém otworzyły się

na ten raz źródła pociechy, któremi mogła-bym mu chwilę tę uczynić mniéj gorzką! Gdybym w mowie swéj znalazła dość wyrazów miłości i męztwa, które-by go osłoniły i ukrzepiły!

Z wolna i z pochyloną w zamyśleniu głową udała się do pokoju, w którym, otoczona dziećmi, siedziała jéj matka. Usiadła przy niéj blizko i długo mówiła jéj o czémś zniżonym głosem. Stara niewiasta słuchała słów jéj ze splecionemi, jak do modlitwy, rękoma, z oczyma błagalnie wzniesionemi w górę. Długo dwie kobiety rozmawiały w ten sposób, a po twarzach ich, zbliżonych ku sobie, bladych i smutnych, spływały łzy, szybko ocierane.

Mieczysław tymczasem, wszedłszy do pokoju, będącego zwykłém miejscem rodzinnych posiedzeń, znalazł tam, siedzącego w pobliżu drzwi, Elego Makowera. Na widok wchodzącego gospodarza domu, Izraelita powstał i grzeczny złożył mu ukłon. Mieczysław powitał go także grzecznie, acz zimno, i wskazał mu miejsce w głębi pokoju, przy stole, przed kominem stojącym.

Wiedział on aż nadto dobrze, jakie cele i starania przywiodły do niego tego gościa. Były to cele i starania téż same, które przed kilku miesiącami sprowadziły mu odwiedziny głównego Agenta Domu pośrednictwa. A jednak, pomimo wspólności, pomiędzy dwoma tymi ludźmi zachodzącéj, Mieczysław mniéj chmurnie i zimno przyjął Makowera, niż przyj-

mował Poryckiego. Owszem, w obejściu się jego z Izraelitą był, obok chłodu i powagi, pewien odcień życzliwości. Ale też nawzajem, ktokolwiek znał dobrze Makowera, z łatwością mógł poznać, że nie był on w téj chwili zupełnie takim, jakim bywał zwykle. W postawie jego i ruchach zdradzało się wcale mu niezwyczajne wahanie jakieś, prawie nieśmiałość; w oczach pojawiał się niekiedy błysk cieplejszego, sympatycznego uczucia. Widać było od razu, że w usposobieniu obu tych ludzi nie było niezbłaganéj konieczności wzajemnego gardzenia sobą, nienawidzenia się i szkodzenia sobie, że traf tylko i plątanina, wynikła z kolei, któremi kroczyły plemienne i jednostkowe ich dzieje, postawiły ich w nieprzyjaznym względem siebie stosunku.

Eli, siedząc na krześle, z obu dłońmi na kolanach złożonemi, z grubym swym, złotym łańcuchem od zegarka, który połyskiwał na tle atłasowéj kamizelki, piérwszy zaczął rozmowę:

— Mnie się zdaje — rzekł — że nie potrzebuję mówić panu, w jakim interesie tu przyjechałem. Pan to sam odgadł.

— W istocie — odparł Mieczysław — łatwo mi domyślić się celu pańskiego przybycia do mnie. Wybacz téż, panie Makower, jeśli ci powiem, że trudziłeś się daremnie. Ja postanowienia swego bynajmniéj nie zmieniłem: Orchowa sprzedać nie myślę.

Odpowiedź ta zdziwiła nieco Elego. Po tylu trud-

nościach i niebezpieczeństwach, któremi otoczył był człowieka tego, spodziewał się usłyszéć inną, mniéj przynajmniéj spokojną i stanowczą.

— Proszę pana — rzekł po chwilce namysłu — niech się pan na mnie nie obraża za to, że mówić będę tak, jakbym tego powiedzenia pańskiego wcale nie słyszał. Proszę téż, żeby pan nie myślał, że ja z panem gadać będę tak, jak z innymi ludźmi gadam. Ja wiem, że pan od razu pozna, co prawda, a co nieprawda, że panu nie trzeba niczyjego rozumu, aby własne korzyści obrachować. Tylko że u pana są różne myśli w głowie, które przeszkadzają mu czasem dobrze liczyć. Jeżeli pan pozwoli, to ja te myśli pańskie na stronę usunę, tak, jakby ich nie było, i same tylko cyfry tylko przed pańskiemi oczyma postawię.

Mieczysław uśmiechnął się mimowoli.

— Dlaczego, panie Makower — zapytał — chcesz sobie tyle trudów zadawać, skoro wiész z góry, że nie doprowadzą cię one do celu?

— Może nie doprowadzą, a może i doprowadzą — wyrzekł żyd. — U nas jest przysłowie: „Kupić, nie kupić, potargować można". I ja jeszcze jednę rzecz panu powiem...

Tu zawahał się. W oczach jego, które tkwiły w twarzy Mieczysława, błysnął w téj chwili cieplejszy, sympatyczny promyk.

— No! — wymówił — dlaczego ja nie mam powiedzieć panu o tém? albo to co złego? Mnie pana żal!

— Dziękuję ci, panie Makower, za życzliwe dla mnie uczucia — z powagą rzekł Mieczysław — ale wybacz też, jeśli powiem, że dowodów ich nie widzę. Przeciwnie, postępujesz pan ze mną jak nieprzyjaciel, który przeciwnika swego otacza podstępnemi sieciami.

Słowa te wywarły na Elego widoczne wrażenie.

— Nie rozumiem, o czém pan mówi — rzekł z trochą zmieszania w głosie.

— Powiedziałeś pan sam przed chwilą, że jestem zdolny rozróżnić prawdę i nieprawdę. Nie mylisz się pan, w obecnym przynajmniéj wypadku. Wiem dobrze, iż większa część trudności i niepowodzeń, które spotkały mnie w ostatnich czasach, pańskiém jest dziełem. Posiadasz pan liczne i woli swéj posłuszne narzędzia działania; ale pozwól powiedzieć sobie, że używasz ich na złe, i że człowiek, obdarzony takiemi, jak pan, zdolnościami umysłu, mógł-by wcale inną, zaszczytniejszą spełniać rolę.

Słowa te powiedziane były z otwartością, właściwą charakterowi człowieka, który je wymawiał. Elego, widocznie, przykro one dotknęły. Przez chwilę miał postawę i wyraz twarzy człowieka, czującego się w sprzeczności z samym sobą. Parę sekund oczy jego, pojętne i błyszczące, tonęły w spokojnych i lekko tylko przyćmionych smutkiem oczach Mieczysława. Uczynił potém żywe poruszenie, i rzekł stanowczym głosem:

— Przepraszam pana; pan się myli. Ja nieprzyjacielem pańskim nie jestem.

Umilkł, spuścił oczy, i zdawało się, że w myśli zapytywał o coś sam siebie, że we wnętrzu swém godzić usiłował coś, co pogodzić się w żaden sposób nie dawało. Podniósł nakoniec głowę i rzekł znowu:

— Pan mówił, że ja wiele złego panu zrobiłem. Nu, ja robił, to prawda. A dlaczego ja robił? bo mnie to miało przynieść wielkie korzyści, a człowiek sam sobie zawsze najlepiéj życzy. Ale ja i panu źle nie życzę; a żeby pana o tém przekonać, wyjmę z kieszeni ten papier i ten ołówek, i cyframi panu pokażę, jaki pan może być bogaty i szczęśliwy, jeżeli pan zrobi tak, jak ja panu radzę.

Mówiąc to, wydobył z kieszeni gruby pugilares, wydarł z niego kartę czystego papieru i, pochylony nad stołem, zaczął kreślić na niéj cyfry ołówkiem. Przedstawiał Mieczysławowi wartość Orchowa, którą znał wybornie, i nieliczne, obciążające go należności; obrachowywał kapitał, jaki, po sprzedaniu majątku, pozostać miał w ręku sprzedawcy, i jakie kapitał ten przynosić mógł procenta. W rachunku swoim nie rozminął się ani na źdźbło z rzeczywistym stanem rzeczy, nie omylił się ani o grosz jeden, nie uczynił ani jednego, fałszem lub próżném łudzeniem trącącego, przypuszczenia. Dotrzymywał danego słowa. Mówił z Mieczysławem wcale inaczéj, niż zwykł był mówić z innymi dziedzicami dóbr ziemskich; mówił mu

czystą, wierną prawdę. Z prawdy téj okazywało się widocznie, że Mieczysław, jeśli-by zgodził się oddać dziedzictwo swe w obce ręce, nietylko uwolnił-by się od wszelkich kłopotów, trudów i niebezpieczeństw, które dotąd napełniały byt jego, ale posiadł-by w kapitale fortunę czystą, niezależną a znaczną. Pogrążony w dokonywanych rachunkach, Eli pozbył się uprzedniego zmieszania swego i tego ludzkiego, cieplejszego promienia, który przed kwadransem rozświecał mu oko. Był on znowu kupcem, spekulantem, na-pół chłodnym i stanowczym, na-pół namiętnym i pożądliwym. Znać było, że niczego więcéj nie pragnął w téj chwili, jak skłonienia dziedzica Orchowa do pozbycia się dziedzictwa swego; o niczém nie myślał, jak o zyskach własnych, które z interesu tego, jeśli-by doprowadzonym był do skutku, wyniknąć mogły.

Skreśliwszy na papierze ostatnią cyfrę i wymówiwszy ostatni rezultat swych obrachowań, Eli podniósł głowę, i z błyskiem tryumfu w oczach, rzekł:

— No! co pan na to powié?

Mieczysław uśmiechnął się.

— Czy sądzisz, panie Eli — odpowiedział — że wszystko, coś mi tu napisał i powiedział, jest dla mnie nowością? Czyniłem już sam nieraz obrachowania podobne...

— Nu, a jak pan *ich* robił, to co pan sobie myślał?

— Że nie sprzedam Orchowa.

Po odpowiedzi téj, żyd spuścił oczy i patrzył w ziemię. Po chwili podniósł powieki i z wolna, poważnie zapytał:

— Pan może rozgniewa się na mnie... ale ja pana zapytam: dlaczego pan taki uparty? dlaczego pan szczęścia nie chwyta, kiedy ono w ręce panu samo lézie? dlaczego pan, mając taki bystry rozum i takie jasne oczy, idzie do zguby swojéj, jak człowiek ślepy?

Mieczysław powstał i, zbliżając się do Izraelity, życzliwym acz poważnym gestem położył dłoń na jego ramieniu:

— Źle myślałeś o mnie, panie Makower — rzekł — jeżeli mniemać mogłeś, że pytanie twoje mnie rozgniewa. I owszem, rad mu jestem. Gdyby zadał mi je wspólnik twój, pan Ildefons Porycki, nie chciałbym mu na nie odpowiedzieć, ale tobie... odpowiem. Wiedziałem dobrze i od dawna, że, gdybym sprzedał Orchów, stał-bym się człowiekiem niezależnym i zamożnym, wolnym od trosk wszelkich, spokojny o byt dostatni dla siebie i swéj rodziny. Ani na chwilę przecież perspektywa ta nie zachwiała postanowieniem mojém. Powód zaś téj stałości mojéj jest bardzo prosty. Leży on w przekonaniach moich i najgłębszych uczuciach, które mi mówią, że chociaż niezależność materyalna cenną jest i pożądaną, chociaż spokój i bezpieczeństwo bytu przyjemnemi być mogą,

wyższą jednak od wszystkich dóbr tych jest zasada, z którą rozminąwszy się, człowiek pozostać nie może ani uczciwym, ani szczęśliwym.

— Przepraszam pana — przerwał Eli — a co to takiego ta zasada?

— Zasadą tą — odparł Mieczysław — jest trwanie przy tém, co całą siłą serca i umysłu swego człowiek uznaje za dobre i potrzebne...

— Nu — zawołał żyd — a czy to potrzebne panu, żeby pan kłopotał się i jak parobek pracował na tym kawałku ziemi, kiedy pan może być gdzieindziéj bogatym i swobodnym, jak ptak?

— Potrzebném to jest nie dla mnie, ale dla kogoś czy dla czegoś, o co idzie mi tyleż, a może i więcéj, niż o siebie.

W oczach Elego malowało się wytężenie myśli. Po raz piérwszy w życiu prowadził on rozmowę o rzeczach, oddalających się od spraw materyalnych i zjawisk powszednich. Widać jednak było, że umysłem swym bystrym i otwartym przenikał znaczenie słów, które pochwytywał ciekawém uchem.

— A kto to panu każe pilnować się téj zasady, która pana i pańskie dzieci do torby przyprowadzić może? — zapytał raz jeszcze.

— Obowiązek — krótko odpowiedział Mieczysław.

— A zkąd ten obowiązek wychodzi? — zapalając się coraz bardziéj, wykrzyknął jeszcze Eli.

— Obowiązek ten wychodzi z serca, które kocha, i z sumienia, które rozróżniać umié dobro od zła.

Tym razem Eli powstał i stanął naprzeciw Mieczysława.

— Ja pana zrozumiałem — rzekł. — Ja zawsze wiedział trochę, jakie są pańskie myśli, a teraz wiem już dobrze. Ale przepraszam pana, że powiem: myśli pańskie piękne, honorowe, tylko niepraktyczne. Żeby to tak dawniéj jeszcze... no; ale teraz, proszę pana, taki czas, że ludzie z wiatrem wojować przestali, bo przekonali się, że wiatr to wielka siła... tych, co jemu sprzeciwiają się, powali na ziemię, a sam jak dmie, tak dmie. A jak ludzie o tém przekonali się, to i zrozumieli, że przeciw wiatrowi iść nie trzeba, tylko być z nim w zgodzie i schodzić przed nim z drogi. Czy ja nie prawdę mówię, proszę pana, że teraz nadszedł taki czas?

Mieczysław poważnie i przecząco wstrząsnął głową.

— Nie, panie Eli — rzekł — czas taki nie nadszedł i nie nadejdzie nigdy. Walka ze złem, jakkolwiek było-by ono silném, nie przestanie być obowiązkiem i potrzebą ludzi poczciwych, odważnych i rozumnych; każda tylko pora inne im do walki téj podaje narzędzia i bronie. Dawniéj ludzie walczyli mieczami, głośno, groźnie, burzliwie; dziś walczyć mogą i powinni tylko pracą, pracą serc swych, głów i rąk, cicho, skromnie, poprostu. Dziś uznaliśmy i wiemy o tém, że każdy, kto własne życie obroni od

wszelkiéj plamy i skazy, kto rozumnie i cnotliwie wychowa swe dzieci, myśl zacną pomiędzy ludzi rzuci, przykład z siebie da dobry, kawał nieurodzajnéj ziemi użyzni, jakikolwiek ruch, jakiekolwiek życie i bogactwo wywoła tam, kędy była przedtém jałowość, ruina i nędza,—ten jest dobrym rycerzem sprawy ludzkości, ten wedle siły spełnia swój obowiązek.

— Dlatego-to — po chwili milczenia dodał Mieczysław — dlatego-to i ja także nie chcę zejść ze stanowiska, na którém czuję się potrzebnym i użytecznym, nie chcę opuścić zadania, które umiłowałem sercem i za słuszne uznałem rozumem. Sposobiłem się do zawodu rolnika od młodości, i umiejętność zawodu tego posiadam. Na żadném inném miejscu, w żadném inném zajęciu nie mógłbym tak, jak w tém spożytkować sił swoich i zdolności. Sroga więc tylko, nieubłagana konieczność wytrącić-by mnie mogła z kolei mojéj: dobrowolnie nie ustąpię.

Mieczysław przestał mówić, a Eli stał wciąż przed nim i patrzał mu w twarz dziwnym wzrokiem. We wzroku tym jaśniéj, cieplėj, niż kiedykolwiek, świeciły promyki życzliwych, sympatycznych uczuć; ale oprócz tego był w nim podziw niby, niby głuche a nieokreślone cierpienie jakieś. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zawahał się i nie powiedział nic; spuścił oczy i myślał. Długo myślał. Na czole jego pogłębiały się rysujące je bruzdy. Wyprostował się

nakoniec, postąpił krok na przód i, nie patrząc na Mieczysława, rzekł:

— Dziękuję panu, że pan ze mną rozmawiał, jak z równym sobie człowiekiem. Ja nigdy o takich rzeczach nie rozmawiałem z nikim. Ja prosty żyd, nieuczony, i tylko własnym rozumem, co mi go Pan Bóg dał, wybiłem się z nędzy i wielkiéj ciemności. Ale ja pana zrozumiałem, i proszę, żeby pan nie myślał, że ja nieprzyjacielem pańskim jestem...

Przy ostatnich wyrazach podniósł znowu wzrok na Mieczysława i zdawało się, że chciał wyciągnąć do niego rękę. Nie uczynił jednak tego. Coś, jakby nieśmiałość, odmalowało się w jego postawie, coś jakby uczucie mimowolnego może, lecz głębokiego szacunku skłoniło mu głowę nizko. Wziął z krzesła czapkę i, nie rzekłszy już ani słowa, wyszedł z pokoju.

Mieczysław nie długo pozostał samotnym. Stara, poważna komnata napełniła się wkrótce wesołemi głosami dzieci, krokami kobiet, krzątających się około urządzania wieczornego posiłku. A jednak, wieczór ten nie upływał dla mieszkańców Orchowa tak zupełnie, jak upływały im inne wieczory. Na głowach i sercach ich spoczął widocznie ciężar tłoczący. Poufne i swobodne zawsze rozmowy rwały się co chwila i milkły. Mieczysław otwierał po kilka razy księgi swe gospodarskie i rachunkowe, ale, rzuciwszy zaledwie okiem na ich karty, zamykał je, zjęty jakby

nieprzezwyciężonem uczuciem zniechęcenia. Dzieci nawet, mniéj pieszczone, niż zazwyczaj, posmutniały i przycichły. Jedna tylko Michalina żwawo krzątała się wokoło rodzinnego stołu, nawiązywała rwącą się rozmowę i podsycała ogień na kominie, jakby głosem swym i blaskami domowego ogniska zagłuszyć chciała posępny szept wiszącego nad ukochanemi jéj głowami nieszczęścia jakiegoś, odegnać, choćby na chwilę, zbliżające się ku nim ciemności. Najczęściéj zaś brała ona w objęcia swe małego syna Lili, a usta jéj lgnęły do białego czoła dziecięcia z taką mocą, jakby lękała się, aby w domu jéj lub sercu nie stała mu się krzywda jakaś, aby gorzki wyraz narzekania i niechęci nie spłynął na niewinną jego głowę. Gdy nakoniec, przy schyłku wieczora stara babka, otoczona dziatwą, zniknęła w głębi domu, udając się na spoczynek, Michalina stanęła naprzeciw męża, z którym pozostała sam-na-sam, w nieruchoméj postawie, ze spuszczonemi oczyma. Potém dotknęła stanika sukni, za którym ozwał się szelest ukrytego tam papieru, a usiadłszy tuż przy Mieczysławie, z wolna zarzuciła mu ramię swe na szyję.

— Drogi mój! — zaczęła — mam z tobą do pomówienia.

Mieczysław, który, z czołem opartém na dłoni, siedział zamyślony i machinalnie, jak się zdawało, patrzał na długi szereg cyfr, wypisany w otwartéj, rachunkowéj księdze, podniósł głowę i spójrzał na żo-

nę. Ona bliżéj jeszcze przysunęła się do niego, i z cicha mówiła:

— Pamiętasz, drogi mój, że pora ta wieczorna, w któréj zostajemy zwykle sam-na-sam, była zawsze dla nas porą najpoufniejszych zwierzeń, najmilszych, samotnych rozmów. W godzinach tych obrachowywaliśmy z sobą zawsze wyniki prac naszych wspólnych, mówiliśmy o powodzeniu wspólnego dzieła naszego, roiliśmy najpiękniejsze nadzieje, dzieliliśmy się najswobodniéj uczuciami i myślami swojemi. Postaw sobie teraz przed oczy wszystkie te dobre, ciche, kochane wspomnienia nasze, ogarnij myślą całą miłość moję dla ciebie...

Teraz drugiém ramieniem szyję jego otoczyła i, piersią lgnąc do jego piersi, wymówiła ciszéj jeszcze:

— Dziś, najdroższy mój, ja w téj ukochanéj godzinie naszéj oznajmić ci muszę wieść smutną... gorzką...

Mieczysław pobladł lekko; w myśli jego błysnął domysł, dla niego straszny. Ale wierna, wielka miłość ukochanéj kobiety ogarniała go objęciem miękkiém i zarazem silném; przy piersi swéj czuł przyśpieszone uderzenia jéj serca, oczy jéj tonęły głęboko w jego źrenicach i zdawały się na promieniach swych nieść w umysł jego spokój i moc. Mimowolném poruszeniem pochylił głowę swą ku jéj głowie i, na go-

rącém, nieskalaném czole składając pocałunek długi, szepnął:

— Mów, Michasiu. Nie mogę być zupełnie nieszczęśliwym, mając ciebie.

Wtedy wyjęła ona z za stanika sukni gruby, żółty papier, we czworo złożony i urzędowemi napisami i pieczęciami poznaczony. Mieczysław wziął papier ten z jéj ręki, a gdy położył go pod światłem lampy i czytać zaczął, ona zbliżyła twarz swą do jego twarzy i kibicią przylgnęła tak do jego piersi, aby ani jedno mgnienie zapomnieć nie mógł o jéj obecności i uczuć się samotnym.

Twarz czytającego mężczyzny bladła i rumieniła się naprzemian, oczy jego błyskały to gniewem i oburzeniem, to bólem i rozżaleniem gorzkiém. Skończył czytać i, niosąc dłoń do czoła, wymówił cichym, lecz przenikającym szeptem:

— Siostra to więc moja... siostra!...

W wielkiém wzruszeniu swém nic więcéj powiedzieć nie mógł i, twarz ukrywszy w dłoniach, pozostał nieruchomym... Ale Michalina pochylała wciąż głowę swę nad jego głową.

— Spójrz na mnie, najdroższy mój! — szeptała z prośbą, z naleganiem — spójrz na mnie!

Podniósł głowę i wzrokiem spotkał się z jéj oczyma, i widział, jak zachodziły one z wolna łzą, nadaremnie wstrzymywaną, podczas gdy po ustach jéj, drgających od tłumionego płaczu, przewijał się

uśmiech bezgranicznéj miłości, uśmiech, który wśród boleści i trwogi téj chwili błyszczał pociechą i nadzieją, jak kwiat, wyrastający wśród wichrów i słot.

— Patrzyli na siebie długo, milcząc, aż z wolna, z wolna, z uśmiechu jéj, z uścisku jéj ciepłych, miękkich dłoni, z jéj łzy nawet, spłynęły w pierś jego wzburzoną pociecha i nadzieja. Powstał i, kładąc dłoń na złowrogim papierze, rzekł z mocą:

— Nie, nie ustąpię i teraz jeszcze. Pojadę wszędzie, zawołam do wszystkich, użyję całych sił swych, aby cios ten ostatni i stanowczy już, odeprzéć. Wszak formalności prawne zająć im będą musiały dwa lub trzy miesiące. Przez czas ten znajdę może gdziekolwiek kredyt, pożyczkę, ustąpią mi może z drogi intrygi i podstępy człowieka tego, w którym zdaje mi się, że ujrzałem dziś uczucia jakieś ludzkie i dobre... Kto wié?...

Przy ostatnich wyrazach zwrócił się znowu do żony.

— Dziękuję ci, Michasiu — rzekł cichym głosem — dziękuję ci!...

Chciał mówić więcéj, ale głos jego zadrżał i zmienił się w szept cichy:

— O, mój ty dobry, czysty aniele! mój ty aniele pociechy, miłości i męztwa!

Długo, długo w noc, czerwony blask dogasającego ogniska oświetlał ich postacie, złączone w uścisku,

ich twarze zbliżone ku sobie, a poufną, rozważną rozmowę przerywające pocałunkami miłości.

* * *

Urzędowy papier, leżący pod światłem dogorywającéj lampy, był pozwem sądowym, wzywającym Mieczysława o natychmiastową wypłatę 20,000 rubli. Lila prawo swe do téj sumy, ze wszelkiemi formalnościami przelała na Ildefonsa Poryckiego, który poszukiwał jéj teraz na Orchowie drogą prawną, jako osobistéj własności swojéj.

III.

Ildenfons Porycki przechadzał się po niewielkim, lecz ładnie umeblowanym pokoju. Pokój ten znajdował się na drugiém piętrze kamieniczki, która, stojąc wśród dziedzińców i ogrodów, przedstawiała schronienie samotne i ustronne, od gwaru ulic i wzroku miejskiéj ludności oddalone.

Twarz Głównego Agenta zdradzała żywy niepokój. Przed kilku dniami wysłał on był do Orchowa, za pośrednictwem władz miejscowych, pozew urzędowy o wypłacenie summy posagowéj Lili. Nie uspokajało go to jednak zupełnie. Młody dziedzic Orchowa, który dotąd niczém skusić ani zgnębić się nie dał, mógł i tym razem także zapobiedz grożącéj mu katastrofie, zapomocą jakichkolwiek obrotów gospodarsko-finansowych. Porycki czuł, że na samo przypuszczenie to krew mu nadbiegała do czoła. Zawzięcie-bo téż nienawidził on człowieka tego, który życiem swém i zasadami, postępka-

mi i słowami ranił śmiertelnie jego miłość własną. Dla pomyślnego przeprowadzenia planów, osnutych w celu ostatecznego zgnębienia nienawistnego sobie człowieka, Porycki potrzebował, koniecznie potrzebował pomocy i współdziałania Elego. Owóż właśnie kilka dni już minęło, odkąd Eli, po wspólnéj z nim naradzie, udał się do Orchowa, dla powzięcia na miejscu dokładnych informacyi, o położeniu i obecnych usposobieniach Mieczysława. Porycki wiedział dobrze, iż wycieczka ta Elego trwała bardzo krótko, że wrócił z niéj oddawna, że obecnie znajdował się w mieście i, zwykłym sobie spokojnym trybem, wiódł różne sprawy i sprawki, których liczne nici spoczywały w jego rękach. Przez czas ten mógł on już dziesięć razy być u wspólnika swego, a nie był ani razu. Co znaczyła zwłoka ta? dlaczego czynny i sprytny Izraelita, tak pilnie zazwyczaj chodzący około załatwianych przez się interesów, zaniedbał się tym razem w tak uderzający sposób? Byłaż to z jego strony niechęć jakaś, lub niewytłomaczone ostygnięcie dla rozpoczętéj tak pomyślnie, a tyle korzyści obiecującéj sprawy? Czy może spotkał się on z przeszkodami jakiemiś, które obalać i zwyciężać usiłował na własną rękę, bez porady i pomocy wspólnika swego? Pytania te i wątpliwości niepokoiły mocno Głównego Agenta, i teraz właśnie, przechadzając się po niewielkiéj swéj bawialni, myślał on nad tém,

czy należy mu udać się do mieszkania Elego, czy też oczekiwać zjawienia się Izraelity. Niecierpliwa i burzliwa strona charakteru jego zaczynała właśnie brać górę nad rozważną i przebiegłą; chwytał już za czapkę i miał wyjść na miasto, gdy otworzyły się drzwi przedpokoju i do bawialni wszedł Eli Makower.

Postawa żyda była, jak zawsze, obojętna, spokojna. Powitany przez Głównego Agenta z pospiechem i uprzejmością niezwykłą, rozpoczął on rozmowę o przeróżnych wspólnych im sprawach. Mówił zwolna i poważnie, ale w sposób tak stanowczy, że przez dobry kwadrans Porycki ani toku rozmowy zmieniać, ani pytań żadnych zadawać nie mógł. O wycieczce swéj do Orchowa i powziętych tam wiadomościach Eli najlżejszém słowem nie wspominał. Trzymał się on zdala od przedmiotu tego tak upornie, jakby o nim zupełnie zapomniał, jakby dlań nie istniał. Porycki zrozumiał taktykę Izraelity, ale powodów jéj odgadnąć nie mógł. Uczuł, że Eli nie chce z nim mówić o sprawie, która na teraz zajmowała go prawie wyłącznie, namiętnie, i... zadrżał w głębi. Hamował się długo; gdy jednak Makower powstał i zabierał się do wyjścia, zawrzał gniewem na człowieka tego, który nie rozumiał lub rozumieć nie chciał dręczących go uczuć, i żywiéj może, niżby sam pragnął tego, zapytał:

— A cóż pan zrobiłeś w Orchowie? Jakże tam dzieje się z naszym rycerzem niezłomnym? Czy podobało mu się bardzo to pisemko, któreśmy mu przed kilku dniami wysłali? Czy zawsze trwa w mniemaniu, że siebie i dzieci swoje karmić będzie cnotą, a odziewać ideałami?...

Byłby dłużéj jeszcze mówił w ten sposób, bo gwałtowne i złośliwe uczucia, z któremi oddawna nosił się w milczeniu, podniosły się mu w piersi falą wrzącą, bryzgając przez usta zjadliwemi wyrazami. Ale Eli przerwał mu mowę.

— Wié pan co? — rzekł zwyczajnym sobie obojętnym sposobem, — ja z tego interesu kwituję i mieszać się do niego nie chcę.

— A toż dlaczego? — wykrzyknął Agent Główny, rumieniąc się i przenikając Izraelitę ostrym wzrokiem.

— Niech już pan pozwoli, żebym ja panu nie mówił, dlaczego ja co chcę robić, a dla czego nie chcę.

Mówiąc to, wziął za czapkę i miał się znowu ku odejściu. Ale Porycki zatrzymał go gestem i wejrzeniem, w którém, z za gniewnego wzburzenia, przebijała się już chytra rozwaga.

— Panie Eli, — rzekł urywanym głosem, bo tłumił gwałtowne uczucia swe i pragnął okazać się zimnym, — nie czyń pan tego, nie porzucaj téj

sprawy. Pan wiesz jakiem jest położenie moje w Domu pośrednictwa. Jestem osobistym przyjacielem barona von R.; jedno słowo napiszę do niego, jako do prezesa stowarzyszenia naszego, a przestajesz pan być Agentem Domu pośrednictwa.

Groźba ta, która w istocie ważną była dla Elego, nie sprawiła jednak na nim wrażenia żadnego. Uśmiechnął się lekko i odpowiedział:

— Gdy-byś pan zrobił to, co pan powiedział, ja stracił-bym wiele, to prawda. Ale pan tego nie zrobi.

— Dlaczego nie zrobię?—zawołał Porycki.—Gdy tylko zechcę, zrobię...

— A ja mówię, że pan nie zrobi tego, bo i ja także mógłbym panu cokolwiek zrobić, coby dla pana bardzo nieprzyjemném było... Jabym tylko poszedł do jednego urzędnika, którego znam, — on zdaje się prokuratorem jest, — i powiedział-bym jemu...

— Dość już tego, dość — zawołał półgłosem Agent Główny i ze wzrokiem, wbitym w ziemię, z pobladłą trochę twarzą zaczął znowu przechadzać się po pokoju.

Żyd patrzył w niego wzrokiem obojętnym, na-pół szyderskim.

— No, — rzekł po chwili — dobranoc panu. A niech pan pamięta o tym majątku o którym ja panu mówił. To nowy szczupak, którego ja odkrył i zaraz do swego stawu prowadzę... Dobranoc!

Porycki postąpił śpiesznie ku zbliżającemu się do drzwi wspólnikowi.

— Panie Makower — rzekł — tu żartów niéma żadnych. Baron żąda koniecznie, aby Orchów nabytym dla niego został... Ja nie mogę narażać się baronowi, a i panu nie radzę, abyś to czynił. Nie wiem, jakie powody skłaniają cię do opuszczenia interesu tego, wiem tylko to, że jeżeli przerwiesz działalność swoję w téj mierze, Orchowski las swój sprzeda, albo pożyczkę jaką zaciągnie i dług siostry, który jest teraz moim, spłaci...

— To i cóż że spłaci?—zagadnął obojętnie żyd;— niech sobie spłaca.

— A jak go spłaci — ciągnął Agent Główny — to to żadna siła nie skłoni go wtedy do sprzedania majątku.

— A choć on nie sprzeda swego majątku, to co tak ważnego stanie się? Albo jego majątek jeden na świecie?

— Stanie się to, że pan, panie Eli, utracisz na tém sześć tysięcy rubli.

Żyd poraz piérwszy w ciągu téj rozmowy z wyrazem zajęcia, a nawet i zdziwienia, na wspólnika swego spójrzał.

— Jakto sześć tysięcy? Ja miałem wziąć za ten interes tylko dwa tysiące.

— Tak, ale inne dwa należéć miały do mnie.

Otóż panie Eli, jeżeli nikt od Orchowskiego lasu nie nabędzie, nikt mu nie pożyczy żadnéj sumy, nikt słowem żadnego finansowego obrotu dokonać mu nie pomoże, ja ci część zysku swego odstąpię, a oprócz tego obowiązuję się wydobyć od barona, mniejsza już jakim sposobem, jeszcze dwa tysiące rubli, które do pana należéć będą... Wiész pan dobrze, iż ani oszukać cię, ani nie dotrzymać ci słowa nie mogę... Ewikcyą najlepszą masz na bezpieczeństwie własnéj osoby mojéj, która do pewnego stopnia jest w twojéj mocy.

Mowy téj Izraelita słuchał z razu z obojętnością, która jednak była widocznie albo całkiem udaną, albo z trudnością wymuszoną. Stopniowo podnosiły się oczy jego na twarz Głównego Agenta i coraz żywiéj błyszczéć zaczynały. Bruzdy na czole jego pogłębiały się, jak bywało zwykle, gdy namyślał się nad czémś głęboko, lub uczuwał się silnie wzruszonym. Pochylił nakoniec głowę i pozostał przez parę minut nieruchomy, a tylko palce jego szybkim i niespokojnym ruchem uderzały o poręcz fotelu, przy którym stał. Porycki spoglądał na niego wzrokiem, w którym błyszczały tryumf i radość. Uśmiech napoły szyderski, napoły zadowolenie głębokie objawiający, przesuwuł się po wązkich jego wargach.

— Dobranoc panu — rzekł nakoniec Eli, głowę podnosząc i czapkę znowu ujmując. — Pomyślę nad tém, co mi pan powiedział... zobaczę, jak to będzie i jutro panu powiem. Dobranoc.

Ze słowami temi odszedł.

Przebywszy parę dziedzińców, dzielących ustronną kamieniczkę od ulicy, Eli kilka kroków zaledwie uszedł chodnikiem i spotkał się oko w oko ze śpiesznie biegnącym bratem swym Mendlem. *Wielki faktor* biegł tak szybko, że aż rękoma rozmachywał i głośno sapał. Spostrzegłszy brata, stanął i za ramię go pochwycił.

— Ja ciebie, Eli, od dwóch godzin po całém mieście szukam — rzekł, sapiąc — a teraz do pana Agenta biegłem, bo domyśliłem się, że ty do niego poszedł.

— No! a co tam takiego pilnego? czego ty ode mnie chcesz? — z odcieniem złego humoru w głosie zapytał brat starszy.

Mendel zwrócił się w stronę, w którą szedł Eli, zwalniając kroku, rzekł ciszéj z pewną tajemniczością?

— Orchowski przyjechał do N.

Wymówiwszy to, spójrzał na brata pytającym wzrokiem, ale odpowiedzi żadnéj nie otrzymał. Eli szedł z wolna, z rękoma w tył założonemi, i patrzył w ziemię. Mendel mówił daléj:

— Jak tylko on przyjechał, to zaraz do Rozembluma poszedł. Rozemblum dwa lata już o jego lesie mówi, że chciał-by go kupić. Jak oni teraz zaczną ze sobą na cztery oczy gadać, to może co z tego wyniknie. Mnie się zdaje, że ja powinienem zaraz do Rozenbluma iść i powiedzieć mu, żeby się bardzo nie

śpieszył, bo jak baron Orchów kupi, to mu ten las taniéj sprzeda.

Przestał mówić i znowu pytająco na brata swego, mistrza i dobroczyńcę patrzył. Eli szedł wciąż jednostajnym, powolnym, równym krokiem, spoglądał w ziemię i milczał.

Mendel znowu mówić zaczął.

— Jak on wrócił od Rozenbluma, to miał bardzo smutną twarz, bo Rozemblum to wielki i rozumny kupiec bez faktorów nic nie robi i pewności jemu żadnéj widać nie dał. On obiad zjadł i poszedł do Szwarca. A czego on mógł do Szwarca chodzić? czy to nie wiadomo kto to Szwarc i czém zajmuje się? On bogacz i panom na wielkie procenta pieniądze pożycza. A wiész ty, Eli, że jak Orchowski da naszemu *Szwarcu* wielkie procenta, to on jemu pożyczy. Mnie się zdaje, że trzeba, żebyś ty sam do Szwarca poszedł i pogadał z nim, jak ty umiész, a jeżeli-by on upierał się, to żebyś i do rabina jego poprowadził, i *cherym* jemu dał.

Umilkł i błyszczącemi swemi oczyma bystro i niespokojnie w twarz brata popatrzył. Ale i tym razem także odpowiedzi żadnéj nie było.

Mendel rzucił się niecierpliwie, aż mu płaszcz z ramion się osunął.

— Ny! — zawołał — co tobie stało się, Eli? Czego ty milczysz? Czy tobie kto gębę przypieczętował?

W téj chwili na wieży miejskiéj zegar donośnie i powoli wygłosił dość późną dzienną godzinę.

Mendel schwycił się za głowę.

— Gewałt! — zawołał. — Zaraz noc będzie. Rozenblum, odkąd zrobił się bogaczem, nikogo wieczorem widzieć nie chce i o żadnych interesach nie gada, tylko ze swoją *bałabostą* i z gośćmi w pokojach siedzi... I u Szwarca bramę zamykają, jak tylko zciemni się. Ny, Eli, czy *mnie iść* do Rozenbluma i do Szwarca, bo jak ja dziś do nich nie pójdę, to Orchowski jutro rano pójdzie i nasz wielki interes przepadnie.

Stanęli na rogu ulicy, u załomu muru. Z przeciwnéj strony otwierającego się w tém miejscu placu, na drugiem piętrze pokaźnéj kamienicy, błyskały zapaloném w téj właśnie chwili światłem okna kupca Rozenbluma, bogatego, drzewem handlującego Izraelity. Mendel rzucał na okna te niespokojne spójrzenia. Eli milczał jeszcze i patrzył w ziemię.

— Nu, Eli, ja idę! — nie mogąc, zda się, ustać na miejscu, zawołał wielki faktor.

Wtedy poraz piérwszy w ciągu rozmowy Eli oderwał wzrok od ziemi i zamyślonemi oczyma powiódł dokoła. Otworzył usta, aby na usilne pytania brata odpowiedzieć, ale i tym razem jeszcze nie rzekł nic. Placem przechodził mężczyzna wysoki i kształtny. W zmroku, który zapadał, twarzy jego nie by ło mo żna rozpoznać, ale wzrostem, postawą i ruchami

przypominał on Mieczysława. Eli wiódł spójrzeniem za przechodniem owym, dopóki nie zniknął za tą właśnie kamienicą, w któréj mieszkał Rozenblum, a potém zwrócił się do brata i wymówił z wolna:

— Może ty, Mendlu, jutro do Rozenbluma pójdziesz?

Faktor, który także zauważył przechodnia wybuchnął.

— Co tobie stało się, Eli? ty dziś zupełnie inny człowiek, jak zawsze. *Sieh!* — dodał, wyciągając rękę ku wysokiéj ścianie, za którą zniknął przechodzień — mnie się zdaje, że to Orchowski poszedł. A gdzie on poszedł? on poszedł z Rozenblumem targu dobijać! A ty mówisz, żebym ja tam jutro szedł? Pfu! jutro już tam będzie po wszystkiém!

— Eli spoglądał na oświetlone okna kamienicy i szeptał coś bardzo z cicha, jakby rachował sumy jakieś, bo w szepcie jego zabrzmiały głośniéj nieco wymawiane wyrazy; *sechs tausend und vierzig*, *sechs und vierzig*.

— *Sechs tausend!* — wymówił nakoniec głośno zupełnie, podniósł głowę, pogłaskał małą bródkę, a oczy zamigotały mu żywo i ostro.

— Idź do Rozenbluma — rzekł szybko, niezwykle szorstko, i odwróciwszy się od brata, w inną podążył stronę. Ale Mendel dopędził go.

— A co ze Szwarcem będzie? — zapytał.

— *Du dummes Geschöpf* — co tobie do tego? —

krzyknął niemal Eli. — Ja tobie mówię żebyś ty do Rozenbluma szedł, to ty idź. Ze Szwarcem już ja sobie dam radę bez ciebie.

Nigdy jeszcze w życiu Mendel nie słyszał brata swego, tak szorstko i gniewnie mówiącego. Bywał on zwykle dla rodzeństwa i dla wszystkich zresztą swych współwyznawców łagodnym, wyrozumiałym, przyjacielskim. „Aj aj, jaki *un* delikatny!" mawiali o nim Izraelici. Nagle delikatności téj zbrakło Elemu względem rodzonego brata, którego wykierował sam na wielkiego faktora naukami swemi i dobrodziejstwy, a to właśnie w chwili, w któréj brat ten oddawał mu ważną, żądaną przez niego usługę. Ale Mendel nie zastanawiał się bynajmniéj nad psychologicznemi przyczynami, które zmianę tę w obejściu się jego brata sprowadziły. Puścił się wielkim pędem przez plac mroczny i zniknął w bramie kamienicy, przez bogatego kupca Rozenbluma zamieszkiwanéj.

* * *

Gdy powyższe rozmowy toczyły się na ulicy pomiędzy izraelskimi braćmi, Ildefons Porycki, po odejściu Elego, lekkim krokiem i z uspokojoną zupełnie twarzą zbiegłszy ze schodów, wchodził do mieszkania, o jedno piętro niżéj położonego. Tam w pokoju z wdziękiem i wygodą przybranym, stała u okna, szarym już mrokiem przyćmionego, szczupła, wysoka

postać kobieca, otulona grubemi fałdami szala, z pod którego wypływała powłóczysta szeleszcząca suknia. Głowa jéj strojna w olbrzymie zwoje kruczych włosów i w przeplatające je sznury korali, chyliła się ku szybie, a oczy zapadłe nieco, znużone spójrzenia przesuwały po dość obszernym, lecz brzydkim, pustym dziedzińcu. Usłyszawszy stuk otwierających się drzwi, Lila głowę odwróciła i widząc wchodzącego Ildefonsa, z lekkim okrzykiem odskoczyła od okna. W okrzyku tym była bezsprzecznie radość, ale było téż w nim nieco zmieszania, obawy prawie.

Porycki wziął obie ręce kobiety i długo trzymał je przy swych ustach.

— Pani moja — zaczął — znowu przez okno na świat wyglądała?...

— W słowach tych brzmiała lekka, ironiczna nieco wymówka.

— Mój Boże — mówiła kobieta, głowę jakby pod ciężarem wymówki téj schylając — usłyszałam kroki czyjeś na dziedzińcu i spójrzałam w okno... tak... mimowoli prawie...

— Nudzisz się, Lilo, tęskno ci za ludźmi...—ciągnął Porycki, siadając obok niéj na kanapie i rękę jéj, któréj mu nie odbierała, zatrzymując w swéj dłoni.

W głosie jego brzmiał smutek. Kobieta uczuła się nim dotkniętą, bo szybko ku niemu twarz zwróciła i zawołała z pośpiechem.

— O nie! nie! Ildefonsie, nie nudzę się wcale! nie

tęskno mi za ludźmi, pomiędzy którymi nie znalazłam nikogo, nikogo podobnego do ciebie! Owszem, jestem bardzo szczęśliwa, tak szczęśliwa, jak nie byłam nigdy!

Głos jéj zabrzmiał przy ostatnich wyrazach tonem jakimś fałszywym, nie takim jednak, który zdradza kłamstwo. Kobieta-ta usiłowała widocznie wmówić w samę siebie, że jest szczęśliwą, i wyraz ten powtarzała zawzięcie z ogniem niezwyczajnym, jak gdyby pragnęła dźwiękiem jego zagłuszyć niepewności jakieś, bóle, trwogi, które, pomimo woli i wiedzy swéj, uczuwała.

Ale ucho Poryckiego zbyt wprawne było i czujne, aby tego fałszywego tonu w głosie Lili nie miało dosłyszéć.

— Dlaczegoż więc — zaczął — tak często, jak więzień jaki, wyglądasz przez okno? dlaczego tak uważném uchem ścigasz każdy szelest niezwyczajny w domu lub za domem? Masz więc w głowie swéj myśli jakieś, które nie należą do mnie, w sercu pragnienia, których ja zaspokoić nie mogę! Ale ja nie chcę tego, Lilo, ja nie chcę abyś choć na jedno mgnienie oka odwracała myśl swą lub wzrok ode mnie ku komu lub czemu innemu. Pragnę posiadać cię całą, z ciałem twém i duszą, z myślami i uczuciami, posiadać cię zupełnie, wyłącznie!

Mówił to z porywczością w głosie, z namiętną zazdrością w oku i na twarzy. O! jakże tém pragnieniem wyłącznego posiadania kobiety, któréj

piękność i sama uległość może, któréj bezgraniczne dziecięco-naiwne oddanie się mu wzbudziło w nim naprawdę uczucie gwałtowne i burzliwe, jakże pragnieniem tém zaprzeczał on zasadom, które wyznawał i w nią wpajał, zasadom bezwarunkowéj pomiędzy ludźmi wspólności dóbr wszelkich i swobodnéj miłości! Ale ona nie dostrzegła nawet przeciwieństwa pomiędzy słowami jego i uczuciami. Ją namiętna ta mowa, zachwycała, upajała. Wstrząsnęła przecząco śliczną swą strojną głową i szepnęła mu cicho, słodko:

— Nie, nie, Ildefonsie! ja za niczém nie tęsknie, niczego nie żałuję i nie mam żadnych uczuć, ni myśli, które-by nie należały do ciebie! Jednéj tylko rzeczy, jednéj jedynéj pragnę bardzo, ze wszystkich sił swoich... ty wiész, Ildefonsie, czego!

Ostatnie słowa wymówiła z wybuchem i wpatrzyła się w kochanka z błaganiem, z trwogą: On uśmiechnął się.

— Wiem — rzekł — pragniesz coprędzéj zostać uznaną przez świat żoną moją... Lękasz się, lękasz się zawsze, Lilo, świata i jego głupich krzyków.

Dla niéj nie było nic straszniejszego, nad jego przyganę, nad jego szyderstwo. To téż zawołała śpiesznie:

— Nie! nie! Ildefonsie, nie lękam się niczego! Jestem śmiałą, odważną, taką... jaką powinna być

kobieta w tym świecie naszym, o którym mówimy z sobą tak często... A jednak...

Zawahała się i, po chwili dopiéro, dodała niepewnym głosem:

— A jednak... chciała-bym abyś mi powiedział, czy uczyniłeś już kroki jakie...

— Względem czego? — zapytał Porycki, nie rozumiejąc niby, w gruncie zaś dla zyskania chwili czasu do namysłu nad odpowiedzią.

— Względem rozwodu mego — szepnęła kobieta.

On otoczył kibić jéj ramieniem.

— Cierpliwości — rzekł — najdroższa moja, cierpliwości i męztwa! Z czasem wszystko będzie zrobione. Niech tylko brat twój wypłaci nam należne pieniądze, a będziemy mieli stosowne środki...

— O! Mieczyś odda, zaraz odda najpewniéj tę bagatelną sumę! Dlaczegoż-by oddać nie miał? Jemu to wszystko jedno, prędzéj czy późniéj...

Mówiła to z rozjaśnioną twarzą i zupełnie swobodnym tonem. Ani jéj przez myśl nie przeszło, że drobna jéj ręka napisała przed kilku dniami wyrok na brata — wyrok... może zguby jego. Pieniądz?... alboż rozumiała wagę jego i znaczenie? Brat?... alboż znała w istocie brata swego? alboż rozumiéć mogła myśli jego i dążenia? alboż człowiek który stał się jéj mistrzem, nie uczył jéj gardzić ideą rodziny?

Teraz pochyliła ona na dłoń głowę i rozmarzona szepnęła:

— O Ildefonsie! gdyby to prędzéj nastąpić już mogło! gdyby prędzéj.

Porycki wstał i uśmiechając się, wyjął z kieszeni spore podługowate pudełko.

— Przyniosłem to dziś pani mojéj z wycieczki na miasto... Dość ładna to rzecz, a ty lubisz ładne rzeczy.

Gdy Lila otwierała pudełko, Brygisia wniosła na tacy dwie zapalone świece. Z pudełka błysnęła, na tle aksamitném złożona, para kolców, ładnych w istocie, misternéj roboty i modnego kształtu.

— Och! jakie ładne! — zawołała kobieta, zapominając o zmieszaniu, z jakiém z razu dar przyjmowała i aż do najlżejszego śladu otrząsając się z przedchwilowego rozmarzenia. Stanęła przed lustrem i włożyła w uszy, długie, perłami zdobne, kolce. Zamigotały one z dwóch stron jéj twarzy bladéj, schudłéj znacznie, noszącéj na sobie widoczne piętno wzrastającéj coraz chorobliwości.

Porycki z uśmiechem zapowolenia patrzył na zajętą nowym strojem kobietę i rozkochanym wzrokiem obejmował kibić jéj delikatną, wątłą, ale dziwnie kształtną i ponętną. Nagle jednak czoło jego rozjaśnione schmurzyło się i w oczach błysnęło posępne światło? Spójrzenie jego padło na list, pocztowym stemplem opatrzony, który, razem ze świecami przez służącą przyniesiony, leżał na tacy. Po adresie bystre oko jego poznać musiało, od kogo list ten przy-

bywa. Gwałtownem poruszeniem wziął z tacy zapieczętowane pismo, zgniótł je w dłoni i tak szybko opuścił pokój, że Lila, odwróciwszy się od zwierciadła, wydała okrzyk zdziwienia, spostrzegając, że jest samą.

Znalazłszy się w mieszkaniu swém na drugiém piętrze, Porycki zbliżył się do zapalonéj lampy, którą wniósł za nim służący, i rozdarłszy kopertę, przebiegł oczyma zawarte w niéj pismo, poczém zaraz zdarł je na drobne części, które dla większego zda się bezpieczeństwa rzucił jeszcze na dopalające się w piecu węgle. Uczyniwszy to, usiadł natychmiast za stołem i prędko bardzo pismem zamaszystém, gwałtowne uczucia zdradzającém, nakreślił na ćwiartce papieru następujące słowa:

„Moja droga! Gniew twój i niecierpliwość, gniewają mię i niecierpliwią nawzajem. Nie wiem doprawdy, czego chcesz ode mnie? Czy jestem milionerem, abym ci mógł posyłać wciąż sumy bajecznéj wielkości, albo z założonemi rękoma siedzieć przy tobie i bawić się patrzeniem w oczy twe, które powinny były dotychczas nauczyć się rozważniejszego i chłodniejszego spoglądania na świat i na wzajemne stosunki nasze? Zamiar, który mi w ostatnim liście swym objawiasz, uważam za szaleństwo i obawiał-bym się go w istocie, gdybym nie był pewny, że do wykonania go nie masz dość ani środków pieniężnych, ani odwagi. Pisałem ci już nieraz o tém, że robię tu świetne interesa i jestem na drodze do zebrania

znacznéj fortuny. Wiadomość ta powinna wystarczać ci do czasu, w którym sam uznam za potrzebne i możebne wezwać cię do siebie. Proszę być cierpliwą, rozsądną i nie przeszkadzać mi, wiész bowiem dobrze, iż byt twój, nietylko twój, ale i innych jeszcze osób, o które tak bardzo się troszczysz, znajduje się w moim ręku. Strzeż się więc, Julio i nie gniewaj mię zbytecznie, bo, gdy zechcę, będę mógł sprawić ci daleko więcéj złego, niż te drobne przykrości, które mi w listach swych tak gorzko wyrzucasz. Życzę ci dobréj pamięci, która by ci nieustannie przypominała słowa moje i przestrogi, a pewny jestem, że dla własnego interesu swego będziesz im posłuszną."

Podpisał list ten, zaadresował i, włożywszy go do kieszeni futrzanego paltota, który przywdział pośpiesznie, opuścił mieszkanie.

Schody ustronnéj kamieniczki słabo oświetlone były palącym się u ich szczytu płomykiem gazowym. Zaledwie Porycki, zstępując na dół, minął piérwsze piętro, gdy śród bladego oświetlenia tego, ujrzał wstępującą z wolna naprzeciw siebie postać męzką. Rozmijając się z Poryckim, mężczyzna w wytartym płaszczu uchylił czapki, przez co ukazał wielką łysinę, mocno siwiejącemi włosami otoczoną. Był to Fabian Łozowicz. Porycki oddał mu ukłon i, zstąpiwszy na kilka stopni niżéj, rzucił za nim podejrzliwe, niechętne spójrzenie.

— Zkąd on się wziął tutaj? — szepnął — i po co do Lili idzie? Czyż-by go sama przyzwała? W każdym razie — dodał, wychodząc na dziedziniec — nie jest to człowiek niebezpieczny dla mnie. Głupiec i mazgaj.

Lila tymczasem siedziała przy stole, z czołem na dłonie opartém. Pod światłem lampy błyszczały w otwartém pudełku ładne kolczyki, które tak bardzo ucieszyły ją przed chwilą: ale teraz nie patrzała już ona na nie. Twarz jéj blada, okryta była znowu wyrazem tęsknego zamyślenia, w zapadłych oczach palił się ogień niepokoju i tajemnéj jakiéjś żałości, prześliczne, jakkolwiek blado-różowe zaledwie usta, drgały tłumioném poziewaniem. Nagle, śród milczenia, zalegającego niewielkie, lecz wykwintne mieszkanie, otworzyły się drzwi. Lila odwróciła głowę, spójrzała, poskoczyła z krzesła, i z wykrzykiem zdumienia i radości wyciągnęła rękę ku Łozowiczowi, który, nieśmiało i smutnie jakoś, zatrzymał się w bliskości progu.

— Czy pani nie gniewasz się na mnie za to, że tu przyszedłem? — zapytał gość, całując podaną sobie rękę.

— Ja! ja miała-bym za to gniewać się na pana? — zawołała Lila. — Ależ ja nigdy nie spodziewałam się, abyś pan pamiętał jeszcze o mnie!...

Szkarłatny rumieniec oblał schudłe jéj policzki,

gdy to mówiła. Tłoczące uczucie jakieś pochyliło nizko jéj głowę.

— O, panie Fabianie! — szepnęła, ściskając z całéj siły dłoń starego znajomego swego — pan więc nie stronisz ode mnie, jak czynią to teraz wszyscy inni ludzie? pan mną...

— Nie kończ pani, proszę na wszystko, nie kończ strasznych słów tych — żywo i ze łzą, która nabiegała mu do oka, przerwał Łozowicz. — Cóż robić? — mówił daléj — różnie się plecie na tym tu Bożym świecie, a co się stało, odstać się jeszcze może. Ja jestem zawsze z jednostajną dla pani przyjaźnią. Mój Boże! znałem panią wtedy jeszcze, gdy byłaś małą, podrastającą dzieweczką... więcéj do anioła, niż do ziemskiéj istoty podobną... Myślałem nie raz, ale sto razy, żeby przyjść do pani, ale nie śmiałem: obawiałem się wyrządzić pani przykrość odwiedzinami swemi. Dziś jednak spotkałem na mieście służącą pani, tę poczciwą Brygisię, a gdy ona powiedziała, że bywasz pani często samą i smutną, gdy zaręczyła mi, że nie będziesz ze mnie bardzo nierada... przyszedłem!

— Dziękuję! o, dziękuję! — szepnęła Lila, i patrzała na starego przyjaciela dziecięcych i młodzieńczych lat swych, tak uparcie i z takim wyrazem, jakby wraz z nim stanęły przed jéj oczyma wszystkie owe ubiegłe lata, z całym szeregiem napełniających je postaci ludzkich, miejsc i wydarzeń, z tém wszyst-

kiém, słowem, z czém zerwała, czego wyparła się, a co jednak owiewało ją teraz, niby fala rodzinnego powietrza, niby echo oddalonéj jakiéjś, smętnéj melodyi. Ale i Łozowicz patrzał na nią łzawemi oczyma. Wziął znowu jéj rękę i rzekł:

— Przebacz pani pytanie moje. Czy przynajmniéj... jesteś pani szczęśliwą?

Lila uczyniła wysilenie, aby otrząść się z pochłaniającéj ją zadumy.

— O, tak! — odparła, siląc się widocznie na moc i swobodę głosu — jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą! tak szczęśliwą, jak nigdy jeszcze nie byłam!

Gdy domawiała ostatnich wyrazów, nagłe drżenie przebiegło po jéj obliczu. Szybkim, instynktowym ruchem zakryła twarz batystową chustką, a płacz gwałtowny, spazmatyczny, wstrząsnął całém jéj ciałem.

— O, mój Boże! — splatając żałośnie ręce, zawołał Łozowicz — pani płaczesz? Mam-że ztąd wnosić, że człowiek, dla którego poświęciłaś wszystko, nie zdołał...

Lila nie dała mu skończyć. Płacz jéj ustał nagle, a choć łez kilka płynęło jeszcze po jéj policzkach, siedziała wyprostowana, na bladych ustach miała uśmiech, a w wilgotnych oczach iskrę gorącą.

— O, nie! nie! — wyrzekła z mocą, tym razem nieudaną wcale — pan nie wiész, jaki to człowiek, i jak on mnie kocha! To mój ideał, panie Fabianie!

Jest on dla mnie tak dobry, że wypowiedzieć-bym tego nie potrafiła. To też kocham go, kocham nad życie, nad wszystko w świecie, z całych sił moich, i nic, nic na ziemi, żadna potęga, żadna wzgarda głupiego świata (tu głos jéj zadrżał znowu lekko) rozłączyć nas nie zdoła!

Łozowicz smutnie patrzał na mówiącą tak kobietę.

— Szczęśliwy! — szepnął i, westchnąwszy z cicha, dodał nieśmiało: — Ale dlaczegóż... dlaczegóż pani płakałaś?

— Tak jakoś... zdenerwowana trochę jestem — całkiem swobodnie już odparła Lila i, przybierając na sofie postawę, w któréj przebijała się dawna pieszczotliwość jéj i zalotność, dodała: — Powiédz mi pan, proszę, cokolwiek o świecie, o ludziach... Tak dawno już ich nie widziałam... Nie tęsknię wcale za nimi, dobrze mi bez nich... pogardzam nawet tym bezmyślnym, przesądnym tłumem, z którym zerwałam; ale pan, który żyjesz śród świata, powiédz mi co o nim!

* * *

Zaprawdę, Fabian Łozowicz nie mógł zbyt wesołych o świecie wieści udzielić téj, która go o nie zapytywała, położenie bowiem, w jakiém znajdował się obecnie, nic wcale wesołego w sobie nie zawierało i do wesołych na świat poglądów bynajmniéj nie uspo-

sabiało. Miesiące minęły, odkąd opuścił on Łozową, miejsce, w którém urodził się sam, w którém snem wiecznym usypiali dziadowie, a oczy swe do życia otworzyły dzieci jego.

Działo się to w jeden z tych dni jesiennych, suchych i pogodnych, w których słońce przesyłać się zdaje drętwiejącéj ziemi smętny, lecz promienny uśmiech pożegnania, srebrne pajęczyny polotne rozwieszają siecie nad polnemi krzakami, a drzewa, drżąc pod chłodnym powiewem, strącają pod stopy przechodnia purpurę i złoto.

W łozowskim domu panowały od wczesnego poranku ruch, gwar i krzątaniny wielkie. Pani Adela w podróżnym tołubku, przepasanym skórzanym paskiem, chodziła po domu i dworze całym, z pokoju do pokoju, od budynku jednego do drugiego przechodząc, niby układając coś do drogi, przyrządzając, porządkując, w gruncie jednak nic a nic nie czyniąc. Rysy twarzy jéj zwiędłe i, przez ostatnie szczególniéj lata, nad wiek zestarzałe, sztywne były i cerą żółtawéj bladości pokryte; wązkie usta zaciśnięte, oczy suche, z nieruchomą źrenicą. Z pozostałych we dworze rezydentów, dwaj ślad w ślad za dawną panią dworu tego chodzili, usiłując rozpoczynać z nią rozmowy różne, ale słowa wyrwać nie mogąc z ust jéj zaciśniętych.

Pani Eustachya, w opustoszałym salonie, ciche wyrzekania na pozbawiające ją chleba i dachu marno-

trawstwo i niedołęztwo Łozowiczów szeptała do ucha Wiktoryna Szczepalskiego, który, z pudełkiem flet zawierającém, w objęciu, tulił się do kąta, wzdychając i drzémiąc z kolei.

Dzieci młodsze, mało albo nic wcale nie rozumiejąc katastrofy, która rodzinny dom ich dotknęła, bawiły się wesoło, perspektywą blizkiéj podróży i zmiany miejsca ucieszone. Najstarszy syn państwa Fabianowstwa, Apolek, ów w dzieciństwie mianowany następcą Paganiniego, a od lat już kilku ciągły kandydat do wyższéj szkoły muzycznéj, przechadzał się po ogrodzie, z miną zadowoloną, pogwizdywał i zapuszczał wzrok w przestrzeń, jakby pragnął coprędzéj ujrzéć przed sobą miasto, tłumy i przyszłe swe śród nich powodzenia. Ludka, która urosła na piękną, wysoką pannę, sama jedna z pośród rodzeństwa oczy miała zapłakane i pilnie, wraz z niegdyś Łojwiczówną, a teraz już Szyłłową, krzątała się około układania i pakowania licznych, olbrzymich tłómoków.

Pana Fabiana nikt poranku tego w domu nie widział. Przez całą noc układał on ze starannością wielką i bardzo powoli instrumenta swe muzyczne, rękopisy i przyrządy do malowania; o świcie zaś nieledwie dwór opuścił, a wrócił, gdy było już dobrze po południu. Wrócił... zmieniony do niepoznania prawie. Zwykła, czerstwa rumianość twarzy jego zmieniła się w siność, dobroduszne i marzące oczy

podkrążone były ciemnemi kołami, a powieki nabrzękłe i wciąż mrugające, jak bywa zwykle po wielkiém zmordowaniu wzroku długiém wpatrywaniem się w przedmioty jakie... przez łzy.

Ręce jego widocznie drżały, gdy usiadł w pustym zupełnie gabinecie swoim, na jedynym stołku, jaki tam jeszcze pozostał, i powolném spójrzeniem wodził po ścianach, na których wisiały niegdyś ulubione jego malowidła, i po wężykowatéj ścieżce, która, żwirem usypana, wiła się od oszklonych, w téj chwili otwartych drzwi gabinetu w głębie ogrodu.

Na ścianach, po zdjętych obrazach, sterczały wielkie, czarne gwoździe; po obu stronach ścieżki pochylały się, ręką pana Fabiana zasiane niegdyś lub zasadzone, a teraz chłodem zwarzone łodygi zwiędłych georginii i astrów. Pan Fabian patrzał na gwoździe w ścianach i na łodygi nad krętą ścieżką, po któréj tyle razy, przez tyle lat kroczyły stopy jego, i zdawali się zapominać o całym świecie.

Ale wkrótce otworzyły się z cicha i ostrożnie drzwi gabinetu, a przez nie weszli: Józef Solski, były sztukmistrz nadworny pana Fabiana, i Hryhory Oroszczenko, były nadworny teorbanista. Z naładowanych kieszeni piérwszego wyglądały misterne jakieś, tajemniczego znaczenia narzędzia i talia kart; drugi postawił przy progu pudło, mające kształt wielkiego futerału, a cenny teorban w sobie zawierające. Obaj zbliżyli się do dawnego dobroczyńcy swego i sta-

nęli po obu jego stronach. Oroszczenko oseledca swego za ucho zawinął i piérwszy mówić zaczął.

Sens jego mowy był taki: że ten, od którego przez lat tyle doznawał dobrodziejstwa, i nadal także do pewnych względem niego obowiązków poczuwać się winien; że on, Oroszczenko, który państwu Fabianowstwu zawsze tak gorąco sprzyjał, i teraz ma prawo do jakiéjś z ich strony pomocy. W ten sam mniéj więcéj sposób przemówił i Solski. Obaj zarówno twierdzili, że jakkolwiek pana Fabiana spotkało nieszczęście wielkie, zawsze jednak los jego godnym był zazdrości, w porównaniu z ich losem.

Nie skończyli jeszcze mówić, gdy pan Fabian wyjął z kieszeni pugilares, w którym znajdowało się kilka tysięcy rubli, z sumy za Łozową otrzymanéj, i po chwili kilka asygnat znacznéj wartości przeszło z rąk jego do chciwie wyciągających się po nie rąk sztukmistrza i teorbanisty. Potém dwaj ci ludzie, z wielkim lamentem nad koniecznością rozstania się ze swym dobrodziejem, wzdychając i głowami żałośnie wstrząsając, wyszli z pokoju.

Pan Fabian przecież nie pozostał samotnym. Tuż za Solskim i Oroszczenką wsunął się do gabinetu Wiktoryn Szczepalski; ale zamiast zbliżyć się ku byłemu pryncypałowi swojemu, jak to uczynili dwaj piérwsi, i kołatać do jego kieszeni, stanął on w kącie pokoju, przyparł się plecami do ściany i, cisnąc pudełko z fletem do piersi, wpatrzył się w Łozowicza,

jak w tęczę. Nic nie mówił, o nic nie prosił, lecz w postawie jego tyle było zgnębienia i zniedołężnienia, a w oczach malował się żal tak rozdzierający, że, spostrzegłszy go, pan Fabian porwał się ze stołka, i do najstarszego z dawnych rezydentów pobiegłszy prawie, wetknął mu pomiędzy pudełko z fletem a trzymającą je dłoń, storublową asygnatę. Za całą odpowiedź Wiktoryn zaszlochał, rękę pana Fabiana pochwycił i, nie zważając na to, że darowana mu asygnata na ziemię upadła, z płaczem do ust tę rękę przycisnął.

Jednocześnie prawie ukazała się na progu gabinetu pani Eustachya Kunasewiczowa. Przymrużając oczy i poprawiając fałdy jedwabnéj, gęsto pocérowanéj sukni, ex-rezydentka z wolna i majestatycznie sunęła ku panu Fabianowi.

— Panie dobrodzieju! — zaczęła — jestem kuzyną pana, byłam niegdyś kobietą dostatnią. Czyż na starość przyjdzie mi zostać żebraczką? Spodziewam się, że pan dobrodziéj, dla własnego honoru swego, nie zechcesz dopuścić, aby kuzyna jego do ludzi o jałmużnę rękę wyciągała...

Pan Fabian sięgnął znowu do kieszeni pugilaresu.

Od kilku już minut, w pokoju sąsiednim krzątała się około zdejmowania i układania firanek, żwawa i czynna Antonina Szyłłowa, i sceny w gabinecie zaszłe przez otwarte drzwi widziała. Znać było, że niecierpliwiły ją one i gniewały niepospolicie; gdy je-

dnak ujrzała wchodzącą tam panią Eustachyą, dawną swą antagonistkę, i przemówienie jéj do pana Fabiana usłyszała, rzuciła firanki, i pędem strzały pobiegła na odszukanie pani Adeli.

— Święty Boże! święty, mocny! — wołała ze zwykłym swym pośpiechem. — Pani nic nie wiész, co się tam w gabinecie pana Fabiana dzieje! Obdzierają go, jak sami chcą, a on, poczciwota, wzdycha tylko i wszystkim pieniądze rozdaje, jakby to, Boże odpuść, plewy jakie były! Niech pani tam prędko idzie i od męża pieniądze odbierze, bo, jak Boga mego kocham, jeśli pani tego nie zrobi, to wyjedziecie państwo ztąd bez grosza przy duszy.

Mówiąc tak, targała za rękaw od tołubka panią Adelę, która, nad skrzynią drewnianą pochylona, opryskliwie odrzekła:

— A, moja pani Szyłłowo! dajże mi pokój z temi pieniędzmi! Pieniądze powinny być u mego męża, nie u mnie, bo to męzka rzecz chować je i rozrządzać niemi. Mam ja i bez tego dosyć zgryzoty!

Mówiąc to, z wielką starannością owijała w siano i bibułę różne garnuszki, miseczki i tym podobne gliniane gospodarskie rupiecie.

Pod oknami domu tymczasem zbierał się tłum osobliwie wyglądający, krzykliwy, odarty, brudny. Był to tłum okolicznych żebraków, którzy, dowiedziawszy się o dniu wyjazdu pana Fabiana z Łozowéj, zwlekli się tu ze stron różnych. Gwar ten żebraczy

przywołał do okna panią Adelę, a pana Fabiana sprowadził na ganek domu. Pani Adela, z dumą i zarazem z boleścią w oku, zwróciła się do osób w pokoju obecnych.

— Niech mi kto pokaże takiego, kogo-by ludzie biedni żegnali tak, jak nas żegnają!...

Pan Fabian, stojąc na ganku, każdemu z żebraków po dwa złote dawał; oni cisnęli się do rąk jego i kolan, całowali je, a odwróciwszy się, liczyli na dłoniach dar otrzymany.

Gdy nakoniec suto obdarzeni ex-rezydenci rozeszli się po dworze, szukając sobie furmanek do odjazdu, gdy gromada żebraków rozsypała się po okolicznych wsiach i karczmach, a dzieci państwa Fabianowstwa zostały posilone i do drogi ubrane; przed ganek zajechała ogromna, długa bryka, ze skórzaną budą, czterema włościańskiemi końmi zaprzężona. Za bryką stał jeszcze parokonny, wielki wóz drabiniasty, piętrzący się tłómokami i skrzyniami. Zjawienie się pod ścianą domu bryki i woza było hasłem do wyjazdu.

W jednym z bawialnych pokojów Antonina Szyłłowa, płacząc szczerze i rzewnie, ubierała młodsze dzieci w kapturki i ciepłe okrycia; na ganku Ludka, co moment oczy z łez ocierając, wkładała do bryki, z pomocą szesnastoletniego brata swego, Józia, różne pudełka i zawiniątka; oboje zaś państwo Fabianow-

stwo, zupełnie już do drogi przyodziani, zeszli się u drzwi jadalnéj sali, do sieni wiodących.

Przez kilka dni poprzednich małżonkowie nie wyrzekli do siebie ani słowa, i jakby za wspólną, tajemną umową, unikali się wzajem starannie. Dnia tego nie widzieli się nawet wcale. Teraz oboje, jedném, zda się, drgnieniem myśli i uczuć wiedzeni, stanęli u progu i wzrok zapuścili w głąb' domu. Źrenice pana Fabiana miały w téj chwili osobliwszy wyraz osłupienia; w suchych oczach pani Adeli palił się ogień posępny, rozpaczny niemal. Nagle, zwróciła się ku mężowi twarzą w twarz i zawołała:

— Patrz! patrz i dziw się, jaki koniec tych twoich sztuk pięknych, twojéj poezyi, twego niedbania o nic, twoich...

Zdawało się, że grad wyrzutów posypie się z ust jéj, które, od dawna zaciśnięte, trzęsły się teraz, jak w febrze. Pan Fabian pochylił już nawet głowę przed gromami temi z milczącą rezygnacyą i dłoń, drżącą trochę, niósł ku łysinie. Lecz nagle, najniespodziewaniéj w świecie, pani Adela mówić przestała. Głos jéj urwał się i umilkł wtedy właśnie, gdy dźwięki jego coraz ostrzejszemi stawać się zaczynały. Umilkła i patrzała na zgnębionego męża oczyma, które stawały się coraz mniéj suchemi i coraz mniéj ponuremi. Bóg tylko wié, jakie przypomnienia z lat dawnych, młodych, przebiegły w téj chwili stanowczéj przez głowę pani Adeli. Z człowiekiem tym przeżyła

lat tyle! dłoń swą podawała mu do ślubnego ołtarza wtedy, gdy oboje młodzi byli i radośni, gdy trosk i groźb życia jeszcze nie znali. Z nim razem wchodziła ona do domu tego, który z nim znowu opuścić teraz musiała! On był ojcem jéj dzieci!... Stała minut parę niema, sztywna, w oblicze męża wpatrzona, aż roztworzyła ramiona i, otaczając niemi szyję jego i przyciskając się do jego piersi, zapłakała głębokim, lecz cichym płaczem. Pan Fabian ogarnął ją także ramionami.

— Tyś zawsze miała złote serce, Adelko! — szepnął. — Cóż robić? ha! cóż robić?

— Cóż robić? — powtórzyła pani Adela, prostując się i łzy ocierając. — Czyniliśmy ludziom dobrze; Pan Bóg to może dzieciom naszym odda.

W ten sposób pocieszając się i krzepiąc, małżonkowie wyszli na ganek domu, a za nimi wysypała się gromadka ich dzieci... W kilka minut potém wielka bryka, napełniona siedzącemi w niéj osobami, a za nią wóz, wysoko pakunkami spiętrzony, ciągnęły przez dziedziniec, za bramę dworu, na drogę odwiecznemi lipami osadzoną, wiodącą ku licznym, pokrzyżowanym gościńcom szerokiego świata... Na ganku domu pozostał tylko, pogwizdując i laseczką machając, dwudziestoletni Apolek. Oczekiwał on na pocztowe konie, któremi, za pieniądze, otrzymane od ojca, udać się miał w drogę wygodnie i z szykiem.

Jeden z gościńców szerokiego świata wiódł do miasta N. Tam też udała się liczna ta gromada rozbitków. Udała się do najbliższego gubernialnego miasta i osiadła na bruku, w dwóch pokojach niewielkich, z ciemną sionką, z kuchenką i oknami, na wązką, zaśmieconą ulicę wychodzącemi. Zasoby pieniężne rodziny téj, niewielkie już po opłaceniu długów, a uszczuplone jeszcze znacznie udzielonemi przed odjazdem datkami, nie wystarczały na wyżywienie ust tylu, do obfitego wiejskiego pokarmu przywykłych, na przystojne przyodzianie dzieci młodszych, na wyprawienie Apolka do wyższéj szkoły muzycznéj i sprawienie mundurków szkolnych dwom młodszym chłopcom. To też w parę tygodni już po przybyciu do N., pan Fabian, za pomocą dawnych swych stosunków, wystarał się dla siebie o kilka lekcyj muzyki i rysunku; Ludka biegała po mieście, ucząc po domach drobne dzieci początków muzyki i francuzkiego języka; pani Adela zaś gospodarowała w dwóch miejskich pokoikach tak zupełnie, a może i energiczniéj jeszcze, niż niegdyś w Łozowéj, skąpiąc i zarazem trwoniąc. W miejskim bowiem domu państwa Fabianowstwa tryb życia niewiele, pod pewnym względem, różnił się od tego, który wiedli oni w Łozowéj. Nie było dnia, w którymby u stołu ich nie zasiadły do obiadu dwie lub trzy osoby, do rodziny nie należące, nie było wieczora, w którym-by malutka ich bawialnia nie napełniła się ludźmi, z ulicy przybyłymi.

Najczęstszymi jednak gośćmi małego mieszkanka przy wązkiéj uliczce, były osoby, składające rodzinę Szyłłów. Rodzinę tę pani Adela znała od dawna, teraz zaś zawarła z nią przyjaźń ścisłą. Drobiazgowo-gospodarskie jéj usposobienia pogodziły się prędko z mieszczańskim żywotem, i instynktowo szukały dokoła siebie istot, zajętych jednostajnemi z nią troskami. Lubiła ona teraz długie gawędy o lepszych dawnych czasach, o leniwstwie i nieuczciwości sług miejskich, o niepewnym losie swych dzieci. Do gawęd zaś podobnych niewyczerpaną nigdy sposobność znajdowała w towarzystwie żony Augustyna Szyłły i kilku innych kobiet, z któremi zaznajomiła się także.

Szyłłom wiodło się teraz gorzéj, niż kiedykolwiek.

Był dzień, w którym ojciec rodziny téj przyniósł do domu znaczną sumę pieniędzy, przedstawiającą dług Ręczyca, a z rąk Poryckiego, w zamian za uczestniczenie w niegodnéj szacherce otrzymaną. Rozdał pieniądze te: żonie na opłacenie dłużków drobnych, ale licznych, córkom na nowe suknie i buciki, synom na różne ich potrzeby—i późnym wieczorem, gdy pani Augustynowa już spała, on siedział jeszcze z czołem na dłoni wspartém i patrzał z kolei to na młode dziewczęta, które w przyległym pokoju, przy małéj lampce, szepcąc i chychocząc z cicha, strojne sobie szyły sukienki, to na syna młodszego, Ignasia, który zgięty nad stołem, z chudą, suchotniczą niemal twarzą, przepisywał urzędowe papiery.

Nazajutrz po dniu tym, wracając z miasta około południa, Augustyn Szyłło przedstawił się oczom rodziny swéj w usposobieniu szczególniéj wesołém i mównem. Ucieszyło to z razu żonę jego i córki; po godzinie jednak tuliły się one po kątach, szepcąc tajemniczo i popłakując, przekonały się bowiem, że mąż ich i ojciec dobrze był podpiły, a gdy go już wpływ trunku całkiem opanował, wymawiał słowa jakieś urywane, dziwnego lecz strasznego znaczenia, słowa o krzywdach doznanych, przeszłości swéj uczciwéj i sumieniu—sprzedaném.

Odtąd wypadki podobne powtarzały się często, coraz częściéj. Rodzina, któréj ojciec zarabiać przestał prawie, żyła w biedzie i ciągłéj trwodze. Trzy panny dorosłe, z których najstarsza trzydziestki już dosięgała, nudziły się, smuciły i więdły w domu, za domem udzielając mizernych lekcyi, za równie mizerną zapłatę. Ignaś dobijał się wciąż w swém biurze 20-rublowéj miesięcznéj pensyi, pisał w domu i w kancelaryi, żółkł, chudł i kaszlał; Klemens żył na swoję rękę, o nic i nikogo nie dbając, Bóg wié z czego i za co. Matka starzała się w oczach, chorzała coraz bardziéj, a jedyną rozrywkę i pociechę znajdowała w gawędzeniu z tuzinem kumoszek, które odwiedzały ją i do siebie z kolei zapraszały. Poczet ten kobiet, stękających i gawędzących, powiększyła teraz pani Adela. Córki jéj zaprzyjaźniły się z córkami Szyłły; Apolek, który wiecznie wyjeżdżał do wyższéj szkoły muzycznéj,

a wiecznie siedział w N., brał się do najmłodszéj córki Szyłły, Lucynki; wzajemnie zaś, na widok wysokiéj i ładnéj Ludki, rozjaśniły się zmęczone oczy i rumieniła się twarz wychudła Ignasia, cierpliwego, biednego biuralisty.

Było to życie mieszczańskie, ciasne, pełne trosk gryzących a uciech drobniutkich i poziomych, życie z teraźniejszością mroczną i chropowatą, jak te ulice, śród których upływało, z przyszłością ciemną, nieznaną i nieprzewidywaną...

VII.

Dwa miesiące z górą minęły, odkąd Fabian Łozowicz, parę razy na tydzień, a czasem i częściéj, odwiedzał młodą kobietę, kryjącą się, czy ukrytą przed światem w ustronnéj kamieniczce.

I teraz także, przy schyłku jednego z piérwszych dni wiosennych, były dziedzic Łozowéj siedział w ładnéj bawialni, tuż obok kanapy, na któréj, wsparta o miękkie poduszki, pół-siedziała, pół-leżała Lila. W postawie jéj malowało się głębokie znużenie, jakiś niby upadek sił fizycznych i moralnych; objawy te jednak mogły-by były uchodzić za zwyczajną jéj pieszczotliwość, gdyby nie widok twarzy pochmurnéj, ukazującéj tę bladość, to wychudnięcie i zesztywnienie niejako rysów, które u organizacyi nerwowych a ognistych następuje zwykle po długiém pasowaniu się z tajonemi cierpieniami, po gwałtownych wstrząśnieniach woli słabéj, a w różne kierunki targanéj. Pomimo jednak postawy swéj na-pół znużonéj, na-pół

znudzonéj, Lila prowadziła rozmowę ze starym swym przyjacielem w sposób niezmiernie ożywiony, a czarne oczy jéj, gorejące śród bladéj twarzy, wpatrywały się w twarz jego z wyrazem nerwowego rozdrażnienia i niecierpliwéj ciekawości.

— I cóż daléj? — pytała, podnosząc głowę z nad poduszki. — Dlaczego zamilkłeś pan tak nagle, panie Fabianie? Spotkałeś go pan więc kilka dni temu. Cóż on panu mówił? czy wspominał o mnie? czy bardzo nienawidzi mnie teraz? A żona jego musi mną pogardzać, nie prawdaż?

— Czyż jest na świecie człowiek, który-by mógł nienawidzieć pani? — z uniesieniem szczerém zupełnie odparł stary romantyk. — Co się zaś tyczy pana Mieczysława, nie wspomniał on przede mną o pani ani jedném słowem, raz dlatego zapewne, że to dla brata... rzecz drażliwa, a potém dlatego, że tam u nich...

Zająknął się Łozowicz, i po chwili sprobował zwrócić rozmowę na inny przedmiot. Ale Lila pochyliła ku niemu głowę i z niecierpliwością w głosie zawołała:

— Cóż tam u nich? co? Ciekawam bardzo, dlaczego pan mi wszystkiego o Mieczysiu nie mówisz? Czy pan sądzisz, że on mnie tak bardzo obchodzi? Jest to wprawdzie brat mój, ale cóż to znaczy? Wiem przecież dobrze, że te wszystkie pokrewieństwa i stosunki rodzinne, to przesąd, nic więcéj, a wypytuję się

pana o niego, ot, tak sobie, przez ciekawość. Cóż tam dzieje się u nich takiego, o czém pan dwa razy już zaczynałeś mówić i dokończyć nie chciałeś?

Łozowicz gładził dłonią łysinę, jak zwykle czynił, gdy czuł się zmieszanym. Po chwili jednak, nie mogąc oprzéć się pytaniom młodéj kobiety, cichym zaczął głosem:

— U nich tam, widzi pani, wielkie kłopoty teraz i zmartwienia. Podobno Orchów sądowo opisywać mają i na publiczną sprzedaż wystawiać.

Lila, pół-leżącą postać swą zmieniła na siedzącą i zawołała:

— Cóż znowu? Publiczna sprzedaż Orchowa? zkąd? jakim sposobem? Mieczyś przecież uchodził zawsze za doskonałego gospodarza i wiem, że od dwóch już lat żadnych długów nie miał.

— Żadnych, prócz tego, który się pani należał — szepnął Łozowicz.

— Cóż ztąd? — ze zdumieniem głębokiém zapytała kobieta — co znaczy ten dług bagatelny?... Zresztą, jeśli Mieczyś wypłacić go teraz nie może, któż go do tego zmusza?

— Exekucya sądowa — z cicha zauważył Łozowicz.

— Ach, mój Boże! — niecierpliwie dorzuciła Lila — jaki pan jesteś dziwny, panie Fabianie!

— Pan Porycki przedstawił do sądu oblig pani, który teraz do niego już prawnie należy.

Kobieta podniosła brwi i szeroko oczy roztworzyła.

— Ildefons? — zawołała — Ildefons?

W mgnieniu oka jednak wyraz głębokiego zdumienia zniknął z jéj twarzy.

— A prawda! — rzekła, składając znowu głowę na poduszce — mówił mi o tém, że pieniądze te potrzebne są koniecznie dla przeprowadzenia sprawy mojego rozwodu.

Przez parę minut milczała z przymkniętemi oczyma. Potém podniosła znowu głowę i, patrząc na Łozowicza, zapytała szybko:

— I pan nie wiész, co z tego wszystkiego ostatecznie dla nich wyniknąć może?

— Z czego? dla kogo? — lękliwie zapytał pan Fabian, bo tocząca się rozmowa była dla niego drażliwą i przykrą.

Kobieta uczyniła niecierpliwe, gwałtowne poruszenie.

— Mój Boże! jakże pan mnie dziś niecierpliwisz! Czyliż o antypodach mówimy, albo o królu Popielu? No... co z exekucyi téj wyniknie... dla Mieczysia?

— Sprzedadzą Orchów — gładząc łysinę, szepnął Łozowicz.

— Pocóż go ma sprzedawać kto inny? czyż Mieczyś sam sprzedać go nie może, nam te pieniądze oddać, a sam z kapitałem gdziekolwiek wyjechać?

— Zapewne... zapewne... że tak-by mogło być — bąkał Łozowicz — ale, widzi pani, pan Mieczysław

jest uparty... ma on to przekonanie, że Orchowa dobrowolnie sprzedać nie powinien.

Blade usta Lili złożyły się znowu do ironicznego uśmiechu.

— Biedny Mieczyś! — rzekła — on wierzy jeszcze w obowiązek, a nie wié, że to przesąd, i nawet najgorszy, najszkodliwszy ze wszystkich przesądów.

Milczała chwilę, z twarzą znowu ukrytą w poduszce, poczém, podnosząc głowę, dodała:

— No, ale ostatecznie, czy powiész mi pan kiedy, co z tego będzie?

Łozowicz, przyparty był do muru i odpowiadać musiał.

— Z téj sprzedaży — rzekł — będzie wielka bieda... Wiadomo wszystkim, że z licytacyi majątki sprzedają się za bezcen... więc bardzo być może, iż panu Mieczysławowi nie pozostanie nic, albo prawie nic.

Po tych słowach panowało między dwojgiem tych ludzi dość długie milczenie. Lila szklanemi oczyma wpatrywała się w przeciwległą ścianę. Po chwili, nie zmieniając kierunku wzroku, bardzo cicho wymówiła:

— Czy pan słyszałeś o tém, że Mieczyś i jego żona wzięli do siebie mego Konradka?

— Słyszałem, pani.

— Brygisia jeździła niedawno do Orchowa, do

swoich krewnych, i widziała tam *jego*... Mówiła mi, że hoduje się dobrze i jest bardzo ładny.

Łozowicz nie odpowiedział nic, i miał właśnie rozpocząć rozmowę o innym jakimś, piérwszym lepszym przedmiocie, gdy Lila poruszyła się gwałtownie i, zatapiając znowu twarz w poduszkę, zawołała głosem, w którego stłumionych dźwiękach czuć było gorączkę pragnienia i niecierpliwości:

— O, mój Boże! mój Boże! żeby to już prędzéj, prędzéj nastąpić mogło!

— Co takiego? — zapytał Fabian, przelękniony niemal gwałtownością ruchu i głosu kobiety.

Ona nie odpowiadała przez chwilę, pogrążoma w marzeniu. Wyprostowała się potém powoli i, ze skronią na dłoni opartą, ze spuszczonemi oczyma, z cicha mówić poczęła:

— Ja sama nie wiem, doprawdy, co się ze mną dzieje. Nigdy nie wyobrażałam sobie, aby w kimkolwiek istnieć mogły takie sprzeczności, jakie istnieją we mnie. Wiem dobrze, jestem najmocniéj przekonaną, że wszystkie formalności, które zwykle towarzyszą pobraniu się dwojga ludzi, są pustą formą tylko, przesądem, pozostałością dawnych, ciemnych czasów; wiem, że zwracanie uwagi na krzyki bezmyślnego tłumu, które ludzie nazywają opinią publiczną, jest niedorzecznością i także przesądem. A jednak... nie wiem, doprawdy, dlaczego, ale taki mi teraz strach przed ludźmi... tak mi trudno na nich patrzéć!... Czy

wié pan, panie Fabianie, że lękam się wyjść na ulicę, bo zdaje mi się, że wszyscy tam na mnie patrzéć będą z niechęcią i z pogardą... Och! a ja pogardy ludzkiéj znieść nie mogę!... nie mogę!...

Przysłoniła oczy dłonią i milczała chwilę. Nagle jednak podniosła głowę i zawołała z wybuchem:

— Któż-by się tego mógł spodziewać? Któż-by się mógł spodziewać, że kiedyś będzie ze mną tak, jak jest teraz? Gdy byłam dorastającą dziewczynką, myślałam... marzyłam, iż cały świat na kolana przede mną upadnie i hołdy mi złoży—a teraz cały świat mną gardzi!

Uśmiechnęła się gorzko i dodała:

— Dziwne pan miałeś przeczucie, panie Fabianie, gdy dawniéj, dawniéj jeszcze... nazywałeś mię czarną lilią.

Łozowicz zmieszany był temi zwierzeniami młodéj kobiety, a bardziéj jeszcze wzruszony.

— Mój Boże! — szepnął — niech pani tak nie rozpacza!...

Lila wyprostowała się.

— Ja rozpaczam? — zawołała z gniewem prawie. — Zkąd panu wyrażenie takie do myśli przyjść mogło? Ja jestem szczęśliwą, najszczęśliwszą w świecie kobietą, tylko czasem zanadto jeszcze słabą, lękliwą i trochę... przesądną... Nie dorosłam do wysokości prawdziwego odważnego człowieka, a Ildefons mówi, że to jest skutek przyzwyczajenia... Wiem

jednak, że wszystko będzie dobrze... Gdy tylko sprawa moja rozwodowa będzie ukończoną, pobierzemy się z Ildefonsem, według przesądnych wymagań świata... Wtedy wejdę znowu pomiędzy ludzi i śmiać się będę z ich niedorzecznych, przestarzałych przesądów... Pojadę wtedy zaraz do Mieczysia, Konradka wezmę do siebie i będę go ślicznie ubierała. Ildefons nie lubi życia na wsi, i ja go nie lubię. Zamieszkamy więc w stolicy, ale na zabawach bardzo rzadko bywać będę, bo najlepiéj mi z Ildefonsem sam-na-sam... To też nigdy, nigdy rozstawać się z sobą nie będziemy, ja-bym... bez niego ani jednego dnia przeżyć nie mogła!

W ten sposób kilka chwil jeszcze marzyła głośno. Łozowicz, słuchając, nizko pochylił głowę, a na twarzy jego malował się głęboki smutek. Wiedział on dobrze, iż sprawa rozwodowa, tak mocno młodą kobietę zajmująca, ani ro zpoczętą jeszcze nie była. Spójrzał na zegarek, a widząc, że pora mu wielka podążyć do jednego z domów, w których udzielał lekcyi muzyki, wstał z krzesła.

— Jak to, idziesz już pan? — zawołała Lila.

— Muszę — odpowiedział Łozowicz i, stając przed młodą kobietą, patrzył na nią wzrokiem przyjaznym, serdecznym, lecz poważniejszym, niż zwykle. — Muszę iść — powtórzył. — Od tych lekcyi, które daję, zależy teraz po większéj części byt mój i rodziny mojéj...

Wziął rękę jéj i zatrzymał ją w swéj dłoni.

— Mówiłaś pani dziś ze mną otwarciéj, niż zwykle—zaczął łagodnie i prawie nieśmiało—dziękuję pani za to... Przykro mi, bardzo przykro, że nateraz w niczém dopomódz jéj nie mogę. Jeżeli-byś pani jednak znalazła się kiedy w położeniu... w położeniu trudném... niech pani przypomni sobie o mnie, jako o szczerym starym swym przyjacielu. Wszak pani przyjaźni przynajmniéj nie nazywasz jeszcze *przesądem?*

Ostatnie wyrazy wymawiając, uśmiechnął się smutno jakoś. Można-by nawet było rzec, iż w uśmiechu tym zabłąkał się cień ironii, gdyby ironia, choćby najlżejsza, nie była niepodobną do tych ust łagodnych, dobrodusznych, które przez całe życie mówić umiały tylko o kwiatach, gwiazdach, poezyi i... litości.

W czasie gdy powyższa rozmowa toczyła się w salonie Lili, Ildefons Porycki szerokiemi krokami z pochyloną głową dążył do biura telegraficznego, niezbyt daleko od ustronnéj kamieniczki położonego. I znowu niepokój, gwałtowniejszy jeszcze, niż przed kilku miesiącami, malował się na twarzy Głównego Agenta. Wbiegł prawie do wielkiéj sali, telegraficznemi przyrządami napełnionéj, i oddał urzędnikowi depeszę, na kartce papieru nakreśloną, a zawierającą następujące słowa:

„Ostatni list twój uważam za wynik chwilowego uniesienia. Proszę i rozkazuję, abyś pozostała tam, gdzie jesteś. Jeżeli uczynisz to, o czém pisałaś, za-

szkodzisz najwięcéj saméj sobie. Ja wyjeżdżam ztąd jutro. Dokąd... uwiadomię cię o tém we właściwym czasie."

Następowały imię i nazwisko kobiece, jako téż nazwa zapadłéj jakiéjś miejscowości wołyńskiéj.

Opuściwszy biuro telegraficzne, w kilka minut potém wszedł do saloniku Lili. Młoda kobieta, siedząc przy stole, na którym paliła się już lampa, układała w hebanowéj szkatułce różne biżuterye, wstążki, i drobnostki. Jak zwykle bywało, tak i teraz twarz jéj na widok wchodzącego zajaśniała uśmiechem. Lekki rumieniec nawet przesunął się po bladém czole i schudłych policzkach.

— Od rana prawie nie widziałam cię dziś, Ildefonsie! — zawołała, podając mu rękę.

Ani w głosie jéj, ani na twarzy nie było śladu dawnéj jéj, pieszczotliwéj i wabnéj zalotności. Gdy czyniła lekką tę wymówkę, czarne oczy jéj okryły twarz stojącego przed nią mężczyzny spójrzeniem pełném gorącego uczucia. Kochała!... kochała tym razem prawdziwie... i do miłości téj przywiązała całą swą istotę, jak rozbitek przywiązuje się do ostatniéj pozostałéj mu deski ocalenia! Nie był to już tym razem kaprys ognistéj wyobraźni, wyskok zalotności, chwilowe uniesienie zmysłów.... była to tkliwość głęboka, wiara niezachwiana, namiętność, ogarniająca wszystkie władze ducha. Ale i on także, stojąc przed nią i rękę jéj w swéj dłoni trzyma-

jąc, patrzał na nią dziwnie, niezwykle. W spójrzeniu tém było coś palącego i aż do głębi młodą kobietę przenikającego, była w niém wyraźna gwałtowna trwoga jakaś.

Usiadł i przyciągnął ją z lekka ku sobie.

— Lilo — zaczął cichszym niż zwykle głosem — mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Z oczu kobiety strzelił promień radości.

— Rozwód mój... zapewne kończy się... może jest już skończony... — zawołała.

Ciężka chmura przesunęła się na słowa te po czole Głównego Agenta.

— Nie—odparł porywczo, opryskliwie niemal— nie o tém mówić chciałem teraz; chciałem ci powiedzieć, że musimy ztąd wyjechać.

Kobieta patrzyła na niego zdziwiona, ale i ucieszona czegoś zarazem.

— Dokąd? czy na długo? — zapytała.

— Nie wiem jeszcze ani dokąd, ani na jak długo — odpowiedział Porycki — prawdopodobnie na parę tygodni tylko, na miesiąc najdłużéj. Mam tu interesa, których nie mogę opuścić zupełnie, dla których wrócić będę musiał. Tymczasem jednak wyjadę na czas jakiś, bo kto wié, do jakich ostateczności dojść, na co ważyć się może ta exaltowana, bezrozumna kobieta.

— O jakiéj kobiecie mówisz, Ildefonsie? — ze

zdumieniem, ale zarazem z płomienną błyskawicą w oku wykrzyknęła Lila.

On obudził się jakby z zadumy głębokiéj, śród któréj wymówił to, czego za nic w świecie wymówićby nie chciał. Na krzyk kobiety odpowiedział przymuszonym uśmiechem.

— Mówiłem — rzekł o osobie, z którą miałem niegdyś interesa prawne, a któréj przybycie było-by teraz dla mnie bardzo niemiłém.

— Czy ci to szkody i przykrości jakie przynieśćby mogło? — z niezwykłą sobie troskliwością o innych zapytała Lila.

— Wielkie szkody, a większe jeszcze przykrości — odpowiedział mężczyzna.

— A więc jedźmy! jedźmy! dziś! zaraz — mówiła kobieta. — Ja nie chcę, żeby ci kto przykrości wyrządzał... I bez tego cierpiałeś już wiele. Jedźmy! jedźmy!

Nagle pochyliła się ku niemu. Ciemna błyskawica przebiegła znowu po rozpromienionych jéj źrenicach.

— Kto to taki ta kobieta? — zapytała ciszéj.

— Mówiłem ci już... — zaczął Porycki...

Ale ona nie dała mu skończyć.

— Może ty ją kochałeś kiedy? — szeptała — może ona ciebie kocha? Dlaczego jéj unikasz? powiedz mi wszystko...

Obie dłonie splecione złożyła na jego ramieniu

i, śliczną głowę swą w tył nieco odrzuciwszy, mówiła daléj:

— Musisz mi to przebaczyć, Ildefonsie, że jestem o ciebie, o miłość twoję zazdrosną... Wiem, bo mówiłeś mi nieraz o tém, że miłość powinna być wolną, jak ptak, i że nikt nie ma prawa zabierać jéj sobie na wyłączną własność... Ale ja, drogi mój, nie dorosłam jeszcze do wysokości téj, na któréj ty sam stoisz... nie mogę żadnym sposobem przypuścić, aby to, com ja ukochała, należéć mogło nie do mnie jednéj, ale jeszcze i do kogoś innego... Wszak upewniałeś mię nieraz, że nigdy żadnéj w świecie kobiety nie kochałeś, tak jak mnie kochasz.

— Nigdy — potwierdził mężczyzna, a z wyrazu oczu jego, które z wolna i z rozkoszą przesuwały się po ożywionych w téj chwili, cudnie pięknych rysach kobiety, poznać można było,że mówił prawdę.

— I nikogo nigdy kochać nie będziesz, prócz mnie? — pytała daléj.

— Nikogo! — potwierdził mężczyzna.

— O, jak to dobrze! dobrze! — mówiła daléj Lila, białe, delikatne dłonie swe silniéj zaciskając na jego ramieniu;— bo i cóż-by się ze mną stało, gdybyś ty mnie opuścił, gdybym wierzyć przestała w uczucie twe dla mnie, w przyszłość naszę wspólną, nierozdzielną, wierzyć bez granic we wszystkie słowa twoje? Gdybym utraciła ciebie, wszystko-bym utraciła! bo i cóż-by mi na ziemi zostało? Wyrzekłam się

wszystkiego... wzgardziłam wszystkiém: opinią świata, rodziną moją, dzieckiem. Ale nie żałuję tego, nie, nie żałuję, gdy jestem przy tobie, gdy na ciebie patrzę, gdy wiem, że tak ze sobą, kochający się, szczęśliwi, pozostaniemy już nazawsze!

Uśmiech nieopisany przesuwał się po blado-różowych jéj ustach i zarazem łza srebrzyła czarne jéj źrenice, gdy, szepcąc wyrazy bezgranicznéj w istocie tkliwości i ufności, pochyliła nieco głowę i czoło swe na rękach splecionych złożyla. On palącym się wzrokiem ogarniał przez chwilę głowę tę przedziwnie kształtną, strojną, tak niegdyś płochą, lecz teraz tak ufną, ognistą i zarazem korną. Na twarzy jego malowała się męka jakaś wewnętrzna. Znać było, że człowiek ten dotknięty także został płomiennym mieczem pięknego, acz posępnego ducha, który po świecie całym, śród złych i dobrych zarówno, sieje iskry i żuzle wielkich namiętności....

— Lilo! śliczna moja pani! Lilio, ty, moja biała!

Szept ten płynął nad splotami czarnych jéj warkoczy, jak powiew cichy a gorący.

— Biała? — odrzekła kobieta, podnosząc na niego oczy upojone i uśmiechając się, jak się uśmiecha dziecię, we śnie marzące. — Nie, nazywano mię niegdyś Czarną lilią... i jestem teraz w oczach świata czarną. Ale ty zdejmiesz ze mnie tę barwę ponurą, nie prawdaż? przed całym światem powiész, że mię kochasz i że nigdy nikogo, prócz mnie, kochać nie bę-

dziesz. Wtedy, mój jedyny, śmiało i dumnie patrzéć będę na ludzi i powiem wszystkim: „jestem jego żoną.“ O! jaką ja będę wtedy wesołą, szczęśliwą!

Ciemne, głębokie rumieńce przesuwały się po twarzy Głównego Agenta, a wzrok jego, z tajemném jakiémś wytężeniem myśli, tkwił w przestrzeni, gdy ona podniosła znowu głowę szybkim ruchem i, patrząc mu w twarz, zapytała wpół żartobliwym, wpół gwałtownym tonem:

— Kto to taki ta kobieta?

Ildefons uczynił nagłe poruszenie, jakby chciał powstać; ale białe, delikatne dłonie Lili zacisnęły się wkoło jego ramienia.

— O! — zawołała z wyrazem przestrachu i błagania w oczach — nie gniewaj się tylko na mnie, proszę cię, nie gniewaj się na mnie. Nie będę już ciekawą i o panią tę nie zapytam nigdy, tylko.... nie odchodź!

Miłość téj kapryśnéj, gwałtownéj kobiety dziwnie pokorną była i niewolniczą. Ale tak bywa zwykle: nikt łacniéj nie podpada panowaniu innych, jak ten, który nad sobą samym panować nie umié.

Na dziedzińcu zaturkotały koła miejskiéj dorożki. Był to w mieście dość dużém i ludném odgłos tak pospolity, że w zwyczajnych okolicznościach nie zwróciłby z pewnością niczyjéj uwagi. Ale Porycki zdawał się być mocno przez odgłos ten uderzonym. Podniósł żywo głowę i wsłuchywał się w niego.

Przez parę minut panowała znowu cisza zupełna. Nagle dał się słyszéć na schodach szmer kroków i niewyraźnych rozmów, śród których wyróżniał się cienki, na jękliwą nutę nastrojony głosik dziecięcy.

Kroki i głosy minęły drzwi przedpokoju Lili i wstępowały wyżéj, na drugie piętro, posiadające jedno tylko mieszkanie, przez Poryckiego zajmowane. Lila, która, zaciekawiona, jak zawsze, każdym niezwyczajnym trochę szelestem w domu, z wytężoném uchem na drzwi patrzyła, zwróciła się nagle ku towarzyszowi swemu. Ale obojętne i tylko ciekawością obudzone pytanie, które miała na ustach, znikło z jéj myśli, gdy ujrzała teraz twarz jego, dziwnie zmienioną i wzburzoną.

— Co to jest? Ildefonsie! co ci się stało? — zawołała i w nagłym przystępie niewytłómaczonéj obawy pochwyciła go za rękę.

Ale on usunął ją od siebie ruchem gwałtownym niemal i, porwawszy się z siedzenia, z wyprężonemi na czole żyłami, z zaciśniętemi usty, biegł ku drzwiom. Zdawać się mogło, że śpieszył, aby zapobiedz grożącemu niebezpieczeństwu jakiemuś. Zaledwie jednak zdołał przebyć bawialnią, gdy otworzyły się drzwi przedpokoju i wszedł przez nie jego służący.

— Proszę pana — rzekł — pani jakaś przyjechała i chce widziéć się z panem.

— Kto? jaka pani? zkąd? — wykrzyknął Porycki,

po którym znać było, że, w nadzwyczajném wzburzeniu swém nie wiedział sam dobrze, co mówi i czyni.

— Dorożkarz mówił, że ze stacyi kolei ją tu przywiózł — odparł zalękniony sługa; — skarżył się, że ciężko mu było dla konia, bo jest tam jeszcze troje dzieci...

— Milcz! — przerwał Porycki zdławionym głosem i, przelotne spójrzenie rzuciwszy na Lilę, która z osłupieniem rozmowy powyższéj słuchała, szedł znowu ku drzwiom. Ale było już za późno. Za plecami odepchniętego i przelęknionego sługi otworzyły się drzwi, a do mieszkania wbiegła raczéj, niż weszła, kobieta wysoka, szczupła, prowadząc za rękę małą, czteroletnią może dziewczynkę; dwoje innych dzieci, starszych, chłopak i dziewczynka, weszło za nią.

— Więc ty tu mieszkasz, Ildefonsie, nie tam na drugiém piętrze? — ozwał się z za czarnéj woalki, która twarz przybyłéj przysłaniała, głos dosyć ostry. — Wiem, że strasznie zły jesteś na mnie za to, że przyjechałam, ale nie mogłam już dłużéj żyć w tym przeklętym kącie, w którym mię z dziećmi zostawiłeś bez chleba prawie, na łasce Opatrzności. Nie patrz na mnie tém swojém okropném spójrzeniem, które znam aż nadto dobrze i którego przestałam się lękać; bo i cóż ja nieszczęśliwa, oszukana i opuszczona kobieta mam do stracenia na tym świecie? Oto spójrz lepiéj na dzieci te: nie wyglądają jak królewicze, nie

prawdaż? No, dzieci, przywitajcie się przecie z tym *panem!*

Dzieci, zamiast usłuchać rozkazu, przygarnęły się do przybyłéj kobiety i chórem, acz z cicha, zaszlochały. Porycki pochwycił ją za rękę.

— Idź ztąd — wymówił zdławionym głosem — to nie jest moje mieszkanie.

— Nie twoje? — odparła kobieta — a więc dobrze, pójdę tam na górę... Ale czemuż kazałeś mi tak długo czekać na siebie?

Ogarnęła ramionami gromadkę dziatwy i zwróciła się ku drzwiom. Za nią, przygryzając wargi aż do krwi, parę kroków postąpił Porycki. Ale za odchodzącymi ozwał się nagle z przeciwnego końca saloniku wykrzyk głośny i przeciągły:

— Ildefonsie! co to wszystko znaczy?

Na głos ten, niespodziewanie usłyszany, odchodząca z dziećmi kobieta zwróciła się twarzą ku pokojowi. Dotąd zajęta cała widokiem człowieka, do którego przybyła, nie spostrzegła ona Lili, siedzącéj w cieniu. Teraz oczy jéj uderzone zostały tą czarująco piękną postacią kobiecą, która wysunęła się na pełne światło i stała, dłonią o stół oparta. Smukła, delikatna kibić Lili drżała lekko śród powłóczystych, bogatych fałd jedwabnéj jéj sukni, a wielkie oczy, rozszerzone od zdumienia, spoglądały na Poryckiego i na przybyłą kobietę z wyrazem naglącego, trwożnego, lecz zarazem i groźnego niemal pytania.

Nagle przybyła, jakby uderzona myślą jakąś czy przypomnieniem, postąpiła w głąb' pokoju i z twarzy swéj odrzuciła przysłaniającą ją woalkę. Parę zaledwie kroków dzieliło teraz dwie te kobiety. Patrzyły na siebie przez sekund kilkanaście tak uparcie, jakby z pamięcią swą walczyły, dopominając się od niéj objaśnienia przypomnień, niezupełnie jeszcze wyraźnych, aż wreszcie z ust ich wybiegły dwa jednocześnie wydane okrzyki:

— Julia!

— Lila!

Przez chwilę zdawać się mogło, że rzucą się sobie w objęcia; ale Lila piérwsza cofnęła się o kroków parę i zawołała:

— Dlaczego ty tu jesteś? Julio! Pocoś tu przyjechała? Pamiętasz ten list, który do mnie pisałaś niegdyś... niegdyś?... Czy wyszłaś za mąż?... czy mężowi twemu Ildefons na imię?... Mój Boże! ja sama nie wiem doprawdy, co mówię! Julio! moja droga Julio! ja cię dawniéj tak kochałam!.. powiedz mi, czy to twój brat?

Mówiąc to, drżała coraz bardziéj, splatała ręce i wyciągała je ku dawnéj swéj przyjaciółce, jakby, tknięta straszliwém światłem, które do myśli jéj przedzierać się zaczynało, błagać ją chciała, aby słowem dla niéj okropném nie zmiażdżyła serca jéj, zjętego śmiertelną trwogą. Lecz potém właśnie wzruszeniu, po bezładzie słów i na-pół błagalnym, na-pół błę-

dnym wyrazie jéj oczu, przybyła kobieta domyśliła się snadź wiele, bo gorzki uśmiech zadrżał znowu na jéj ustach, a wskazując ręką Poryckiego, rzekła stłumionym, boleścią i szyderstwem dźwięczącym, głosem:

— To nie jest mój brat, Lilo, to mój — mąż!

Głuchy jęk ozwał się w piersi Lili. Oczy jéj osłupiałe, szklane, zwróciły na twarz Ildefonsa. Ale twarz ta blada miała na sobie wyraz wściekłego gniewu, połączonego z głucho uczuwaną, niemą rozpaczą.

— Ildefonsie! — szepnęła kobieta — powiedz mi, że to nieprawda.

— Nieprawda?—wykrzyknęła Julia—ty mi jeszcze nie wierzysz, Lilo! Oto dowód... nasza metryka ślubna, którą, znając dobrze człowieka tego, przywiozłam ze sobą... Zobacz, przeczytaj!

Mówiąc to, wydobyła szybko z za stanika sukni wielki arkusz papieru z urzędowym stemplem, i rozpostarła go pod światłem lampy. Lila machynalne tylko i przelotne spójrzenie rzuciła na papier, poczém wzrok jéj szklany, martwy, zwrócił się znowu na twarz mężczyzny.

— Powiédz mi, że to nieprawda — powtórzyła jednostajnym, stłumionym szeptem.

Teraz stał on już przy niéj. Ślad owéj dawnéj, na wszystko ważącéj się przytomności umysłu zaświecił w jego oczach.

— A więc tak; Lilo, to prawda! W chwili sza-

łu uczyniłem ten krok niedorzeczny, którego potém żałowałem. Ale... Lilo..

Chciał wziąć ją za rękę; lecz ona gwałtownym ruchem odsunęła się od niego. Rumieńce szkarłatne twarz jéj oblały. Była w téj chwili uosobieniem śmiertelnego bólu i śmiertelnéj również urazy.

— O! — zawołała — mówiłeś mi pan, że jéj nie znasz, że jesteś wolny... że... że... O Boże! cóż więc ze mną się stało? Kim pan jesteś?...

Mówiła to, jak w obłąkaniu, jak ktoś, co nagle ujrzy przed stopami swemi grunt kwiecisty, zmieniony w otchłań, oblicze ukochane, przeobrażone w paszczę potworu.

— Kim on jest? — zaczęła Julia, spoglądając z kolei na dwoje ludzi tych, których historyą i związki zupełnie już teraz odgadła: — ja ci to powiem, Lilo! Ukazał ci się zapewne z tytułem i nazwiskiem hrabiego Poryckiego. Kłamstwo! nazywa się on wcale inaczéj, prosto, gminnie, a jedynym tytułem, który prawnie posiadać może, jest: nikczemnik! Prawił ci wiele o swoich nieszczęściach, które zwyciężył niby rozumem i odwagą. Kłamstwo! Nieszczęścia były z razu... ale zamiast odwagą i rozumem, obronił się on przeciw nim obłudną chytrością, przebiegłym i bezsumiennym sprytem. Upewniał cię, że jest wolnym od wszelkich związków rodzinnych i pojmie cię za żonę wobec Boga i ludzi. Kłamstwo! Oto ja jestem żoną jego a te nieszczęśliwe

istoty są jego dziećmi! Mówi ci, że ożenił się ze mną w chwili szału. Kłamstwo! Ja to byłam szaloną, bo ujrzałam w nim swój ideał, uwierzyłam w rycerskość jego i szlachetność. Pojął mię za żonę dla ówczesnych wyrachowań swoich, mniejsza o to jakich, dość, że osoba moja, może piękność, były mu wtedy potrzebne. Wkrótce jednak w życiu jego zmieniły się okoliczności i potrzeby... więc rzucił mię!... Przez cztery lata nic nie słyszałam o nim; potém dowiedziałam się, że jest tu. Pisałam, prosiłam, aby przypomniał sobie, jeżeli już nie o mnie, to o dzieciach swoich... ale serce jego kamienne nie miało dla nas litości. Postanowiłam więc upomnieć się o prawa swoje i — przyjechałam!

Gwałtownym ruchem zdjęła z głowy kapelusz, z ramion zrzuciła podróżne okrycie i zawołała:

— Patrz, co on ze mnie uczynił! Gdzie młodość moja i piękność? gdzie dawne stroje moje? gdzie dawna Julia Grejs?

W istocie, z pięknéj owéj Julii pozostał cień zaledwie. Miała ona najwyżéj lat trzydzieści, a wyglądała na czterdzieści kilka. Policzki jéj były wychudłe i zżółkłe, czoło pomarszczone, włosy do połowy prawie zbielałe . Jedne tylko oczy, jakkolwiek spłowiałe także i zapadłe, blaskiem swym i wyrazistością przypominały przeszłość minioną.

— A teraz — mówiła daléj Julia, drżącą rękę

wyciągając ku dzieciom—popatrz na nie, a zobaczysz, jak wyglądają opuszczone, sieroctwo, nędza...

Dzieci, mało lub nic nie rozumiejąc odegrywającéj się przed niemi sceny, skupiły się w pobliżu pieca. Z nędznych okryć i podartych chustek, któremi były odziane, drobne twarzyczki ich wyglądały blade, chude, zziębłe.

Lila słuchała i patrzyła, nie czyniąc poruszenia najlżejszego. Jak błyskawice po chmurném niebie, tak po tle źrenic jéj nieruchomych i przepaścistych mknęły i krzyżowały się myśli szybkie a płomienne. O czém myślała, stojąc tak z twarzą w twarz z zasadami jego, które przyjęła za swoje? W kobiecie téj opuszczonéj, przedwcześnie zestarzałéj, ujrzała ona może odwrotną stronę tego różowego obrazu, w którym Ildefons przedstawiał jéj zwykle niezbite prawa i niewyczerpane rozkosze — wolnéj jak ptak miłości! Patrząc na wynędzniałe te, blade, widokiem ojca własnego przerażone twarzyczki dziecięce, myślała może, iż widzi skutki drugiéj zasady jego, która opiewała nieważność i nicestwo związków rodzinnych! Nad tym stosem kłamstw i oszukaństw, o tyle trywialnych, o ile zbrodniczych, który wzniósł się teraz przed jéj oczyma, unosiły się i jaskrawym blaskiem przed nią świeciły wszystkie złorzeczenia i urągania, które sam ciskał i ją ciskać uczył na ideę obowiązku!

Umysł Lili pracował znowu widocznie, tak jak

owego fatalnego dla niéj wieczoru, w którym *on* piérwszy pobudził go do ruchu i myślenia; ale mozolne to, rozpaczne przyglądanie się stojącym przed nią zagadkom ludzkiego życia, mącone było i rwane co chwila straszną burzą uczuć. Stała wciąż, jak przykuta do miejsca. Julia patrzała na nią pół-nienawistnemi, pół-litującemi się oczyma, i ciężkie milczenie trwało przez minut parę w pokoju. Milczenie to przerwaném zostało, zniżonym aż do szeptu prawie, głosem męzkim.

Ildefons Porycki stał przy młodéj kobiecie i mówił do niéj z dźwiękiem usilnego przekonywania w głosie i z wyrazem namiętnéj, rozkazującéj niemal prośby:

— Uspokój się, Lilo! Nie mówiłem ci o sobie całéj prawdy, ale, postępując tak, miałem na celu stopniowe przygotowywanie sił twoich i twego umysłu do zrozumienia i zwalczenia wszystkiego, cokolwiek spotkać-by cię mogło. Związek mój z Julią jest błędem mojéj młodości, ciężarem przykrym i niczém więcéj. Ciężar ten dźwigać już muszę na sobie, cóż robić? Zabezpieczę byt jéj saméj i jéj dzieci, ale miłość moja będzie zawsze do ciebie tylko należała!... Lilo! czyż jesteś jeszcze dzieckiem? czy umysł twój nie dorósł do wysokości położenia takiego? czy zabraknie ci odwagi? czy zlękniesz się głupiéj wrzawy motłochu? czy, jak słabe dziecię, dobrowolnie

wyrzeczesz się szczęścia swego i zdepcesz zarazem moje?

Wpatrzona w niego szeroko roztwartemi oczyma, drżąca znowu cała, milczała długo. Na śmiertelnie bladéj twarzy jéj malowała się trwoga bezgraniczna, połączona z instynktową, nieprzezwyciężoną ohydą. I wtedy dopiéro uczyniła gwałtowne poruszenie i w tył się cofnęła, gdy, złudzony milczeniem jéj i drżeniem, sięgnął on po jéj rękę.

— Nie! — szepnęła — nie! nie!

I nic więcéj wymówić nie mogła; tylko z dłonią, jakby ku odepchnięciu wyciągniętą na przód, cofała się wciąż, oddalając od niego.

On gniewnie zwrócił się ku Julii.

— Idź ztąd! — wymówił przez zaciśnięte zęby, ręką na drzwi wskazując — idź tam na górę... zostaw mnie z *nią!*

— Nie! — wykrzyknęła Lila, przeszywającym teraz głosem — nie! nie!

Porwała szal, zawieszony na poręczy krzesła i, zarzuciwszy go na głowę i ramiona, wybiegła. Za nią wybiegł i Porycki. Po kilku minutach wrócił do saloniku, rzucił szybkie wejrzenie na to miejsce pokoju, w którém siadywał z nią najczęściéj, i obiema dłońmi ścisnął sobie głowę.

— Przekleństwo! — zawołał sam do siebie. — Nie chciała za nic wrócić... pobiegła... nie wiem dokąd... Zdaje mi się, że utraciła zmysły... Kocham ją

jak szaleniec!... A sprawa z jéj bratem!... Co teraz uczynię?...

Julia powoli zwróciła twarz swą ku niemu.

— Co uczynisz? — rzekła szydersko. — To, coś czynił przez całe życie. Jutro, po jutrze wyjedziesz w strony, gdzie cię jeszcze nie znają, przemienisz teraźniejszą skórę swą na inną, będziesz znowu dobijał się fortuny, uwodził kobiety i okłamywał wszystkich.

* * *

Fabian Łozowicz wracał z lekcyi muzyki i, otulając się przed chłodem w swój wynoszony płaszcz z peleryną, szedł chodnikiem, gdy na przeciwnéj stronie ulicy spostrzegł śród gęstego mroku, tu i owdzie zaledwo rozpraszanego chwiejném światłem latarni, szybko mknącą postać kobiecą. Wzrostem i kształtami kibici postać ta przypomniała mu Lilę. Stanął i popatrzył na nią uważnie, lękając się omyłki i nie śmiąc się zbliżyć. Kobieta, na którą patrzył, szła wciąż przeciwległym chodnikiem, coraz prędzéj i prędzéj. Nagle żółtawy blask latarni przemknął po jéj twarzy. Łozowicz poznał Lilę. W mgnieniu oka był już przy niéj.

— Na Boga! — zawołał — co pani jest? dokąd pani idziesz o téj porze, sama jedna?

Kobieta, usłyszawszy tuż przy sobie głos ludzki,

z lekkim krzykiem w tył się rzuciła. Łozowicz ujął rękę jéj drżącą, i jak lód zimną. Wtedy dopiéro poznała go. Głuche, łez pozbawione łkanie, wstrząsnęło jéj piersią.

— Dokąd pani idziesz? — nagląco pytał Fabian.

Siliła się długo, aby ze zmąconego umysłu swego wydrzéć odpowiedź jaką, aż ledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Nie wiem!

— Boże! cóż się stało? pani jesteś tak bladą, jakby nieprzytomną! drżysz cała! Czy chcesz pani, abym cię odprowadził do twego mieszkania?

Uczyniła znowu poruszenie takie, jakby uciekać chciała i, rękę swą z dłoni jego wyrywając, krzyknęła głośno:

— Nie! nie! nie!

W głowie Łozowicza błysnęło światło. Domyślił się, że zajść tam musiało coś strasznego. Nie wiedział sam, co ma czynić. Wzruszony był bardzo, ale więcéj jeszcze zmieszany. Nagle w oku Lili błysnęło z napełniającéj je grozy uczucie inne. Było to uczucie gwałtownego, przeszywającego bólu. Wyciągnęła ku staremu przyjacielowi swemu obie ręce i stłumionym głosem zawołała:

— Ratuj mnie pan! jam sama na świecie!... sama!... sama!... We mnie i przede mną pusto!... ciemno!...

Położył rękę jéj na swém ramieniu, i chwiejącą

się prowadził chodnikiem ulicy: milczała... Spoglądał na nią niekiedy: patrzała w ziemię.

* * *

W dwóch pokoikach, oknami na wązką uliczkę wychodzących, pełno było osób i gwaru. W malutkiéj bawialni, dokoła palącéj się na stole lampy siedziało kilka kobiet podżyłych, lub całkiem starych, pomiędzy któremi wyróżniała się wysoka, chuda postać pani Adeli, trzymającéj się prosto i bardzo szybko a pilnie robiącéj pończochę. Obok niéj blada, szczupła, przygarbiona nieco, siedziała żona Augustyna Szyłły, z wiekuistą swą koronką w ręku. Daléj szeroko rozkładała fałdy swéj staréj, jak świat, jedwabnéj sukni, pani Eustachya, wiążąca bawełnianą siatkę. Daléj jeszcze znajdowały się tam trzy czy cztery kobiety inne, obracające również szydełkiem lub iglicą. Wszystkie osoby te zajmowały miejsca na kanapie i fotelach, które niegdyś w ładnym łozowickim salonie figurowały, a teraz, pokrowcami z białego płótna starannie owinięte, szczególną sprzeczność ze szczupłością izdebki, z jéj przybrudnym sufitem i ogólném ubóztwem, przedstawiały. Kobiety gawędziły. W głębi bawialni, w półcieniu, na nizkich stołkach, lub na grubych, chropawych deskach podłogi, siedziało czworo młodszych dzieci Łozowiczów, wraz z dwojgiem innych, które w odwiedziny ze sobą

przywiodła jedna z goszczących tu kobiet. Dzieci gwarzyły głośno i wesoło.

Ale i w drugim pokoju, jedną świecą oświetlonym, gwarnie też i wesoło było. Tu, dokoła ścian stały łóżka mniejsze i większe, kufry, skrzynie i szafy. Na kufrach i skrzyniach siedziały młode panny—więc trzy córki Szyłłów i Ludka. Obok nich, o komódki i poręcze łóżek wsparci, stali młodzi kawalerowie—więc Ignaś Szyłło, Apolek Łozowicz, młodszy brat jego, na dorosłego już kawalera pozujący, i dwaj inni młodzieńcy, synowie przyjaciółek i codziennych towarzyszek pani Adeli. Zebranie to, aczkolwiek liczne, nie było przecież żadną niezwykłą okolicznością spowodowane, lecz przeciwnie, odpowiadało w zupełności codziennemu, panującemu w pokoikach tych trybowi życia.

W ciemnéj sionce szumiał na glinianéj podłodze olbrzymi samowar; w kuchence stały na stole, przed wieczorem jeszcze przez panią Adelę pokrajane, a na kilku talerzach spiętrzone, chleb, bułki i masło.

W oczekiwaniu na zwykły wieczorny posiłek, towarzystwo bawiło się, z pozoru przynajmniéj sądząc, bardzo przyjemnie. Dzieci igrać poczęły w kota i myszkę, przyczém przewracały stołki i hałasowały straszliwie. Panienki żywe a żartobliwe utarczki prowadziły z kawalerami.

Pomiędzy starszemi paniami jednak, wkoło kanapy, rozmowa słabnąć zaczynała. Jednocześnie pra-

wie uczuły wszystkie, że w ustach im zaschło. Wyglądać zaczęły herbaty, i raz po raz zérkały na pęk kluczy, które wisiały u pasa pani Adeli, a których przedłużająca się nieruchomość niepokoić je zaczynała. Wiedziały jednak, że gospodyni domu czeka z przyrządzeniem herbaty na powrót męża.

— Gdzie jest pan Fabian dobrodziéj? — zapytała, owijając iglicę bawełną, pani Eustachya.

— Spóźnia się coś dzisiaj — zauważyła inna z kobiet.

— Nieboraczysko za lekcyami latać musi — westchnęła pani Adela. — Powinien-by był jednak od kwadransa już wrócić...

— Otóż i idzie! — wymówiła pani Eustachya.

W istocie, drzwi, prowadzące z sieni na dziedziniec, skrzypnęły głośno, a w niespełna minutę, do małéj bawialni wszedł pan Fabian. W całéj jego postawie było coś niezwykłego, co uderzyło od razu wszystkie kobiety. Wyglądał przelękniony i rozrzewniony zarazem.

— Duszko! — szepnął, przelotnym zaledwie ukłonem powitawszy całe zebranie kobiece — proszę cię, wyjdź na chwilę ze świécą do sieni!

— Po co? — zapytała pani Adela.

Lecz uderzona i przelękniona nieco wyrazem twarzy męża, wstała z kanapy i wyszła na środek pokoju. Tu jednak stanęła.

— Cóż tam stać się mogło w sieni? — zapytała

ze zwykłą sobie opryskliwością. — Dzieci są przecie tutaj wszystkie.

I, dzwoniąc kluczami, ku drzwiom postąpiła.

Łozowicz lękał się snadź, aby żona jego w stanie irytacyi do sionki nie wyszła. Tarł dłonią łysinę z całéj siły i drogę jéj do drzwi zastąpił.

— Duszko! — mówił z cicha — tam jest... tam jest... gość!

— Gość! jaki gość? — zawołała pani Adela. — Może Antosia Szyłłowa przyjechała ze wsi? Dlaczegoż tu nie wchodzi? toż przecie teraz dobrodziejka nasza.

Kobiety, dokoła stołu siedzące, z wyciągniętemi na przód szyjami, rozmowy téj małżonków słuchały. Jakkolwiek toczyła się ona półgłosem, najmniejsze słówko jéj straconém nie było dla wprawnych w słuchanie i podsłuchywanie ich uszu. To téż, gdy pan Fabian, naglony zapytaniami żony, szepnął jéj na ucho prawie nazwisko gościa, który się w sieni znajdował, z ust żeńskiéj gromadki wydarł się jeden krzyk zdumienia, oburzenia i zgrozy. Pani Adela stanęła także, jak do miejsca przykuta, i piorunujący wzrok utkwiła w twarzy męża.

— Co? — zawołała — ty ją tu przyprowadziłeś? ją! ją!... I ja przyjmować-bym miała... tu, w domu moim... wobec moich córek, tę...

— Adziu! duszko! ona jest tak nieszczęśliwa!

— Nieszczęśliwa! — syknęły kobiety przy stole —

a któż nieszczęściu temu winien? Niech sama pije piwo, którego sobie nawarzyła.

— Ale do porządnych domów niech nie przychodzi.

— Bo to zgorszenie! obraza Bozka!...

— Magdalena! — zawołały chórem.

— Jawnogrzesznica! — dokończyły.

Podniecona sykaniami i wykrzykami przyjaciółek, pani Adela rzuciła się ku drzwiom.

— Ja jéj tu zaraz powiem wszystko, co myślę o niéj! — mówiła z irytacyą wielką — wyprawię twego gościa z pod dachu, pod którym mieszkają moje córki!

Pan Fabian, do najwyższego już stopnia zmieszany i przelękniony, usiłował powstrzymywać żonę, ale nadaremnie. Ze świecą w ręku, wyprostowana, napół uroczysta, a na-pół gniewna, pani Adela drzwi otworzyła i próg ciasnéj sionki przestąpiła. Jakież jednak było jéj zdumienie, gdy zamiast strojnéj, śmiałéj kobiety, którą ujrzéć spodziewała się, zobaczyła postać jakąś, siedzącą bez ruchu na jednym stołku, jaki się w sieni znajdował, z plecami i głową opartemi o zimną, wilgotną ścianę, z rękoma zwieszonemi bezwładnie i z zamkniętemi oczyma.

— Co to jest? — zawołała — kto to taki?

Pan Fabian poskoczył ku nieruchomej postaci i zawołał:

— Zemdlała!

Lila była w istocie zemdloną. Szal opadł z jéj ramion i zwisł na glinianą podłogę; rzędy wielkich korali nieruchomo spoczywały na jéj piersi, w któréj nie było oddechu. Na bladéj twarzy, jakkolwiek nieruchoméj, pozostały ślady przeniesionéj męki i fizycznego wyniszczenia. Zbielałe usta zemdlonéj kobiety silnie były zaciśnięte; długie jéj, czarne rzęsy oblewały zapadłe policzki cieniem posępnym, a nad całą twarzą tą i postacią, która była w téj chwili uosobieniem strasznego upadku i głębokiéj niedoli, szydersko świeciły i migotały w roztarganych kruczych warkoczach, gęsto strojące je, ozdoby ze złota i kryształu.

Pani Adela ze świecą w ręku stała przez chwilę nad nieruchomą tą postacią kobiecą, w niemém zdumieniu. Widać było, że im dłużéj patrzała na obraz ten, tchnący nieszczęściem i opuszczeniem, tém więcéj *irytacya* jéj ustępowała przed miększém jakiémś uczuciem.

— Cóż się to stało? — zapytała męża, głos swój zniżając do szeptu prawie — czy on ją porzucił?

— Nie — odparł Fabian — ona go opuściła.

— Przecież opamiętała się! — syknęła za panią Adelą jedna z jéj przyjaciółek.

— Gdzieżeś ją spotkał? dlaczego przyszła tu do nas właśnie?

— Spotkałem ją na ulicy samę jednę, zrozpaczo-

ną, upadającą prawie i pomyślałem, że ty, Adelko, z twojém złotém sercem, nie będziesz mogła...

— Mój Boże! — przerwała pani Adela, kiwając smutnie głową — do czego to przyszła ta piękna, świetna, bogata panna Lila Orchowska!

Odwróciła się szybko ku drzwiom pokoju i zawołała na córkę i syna:

— Ludko! Józiu! pomóżcie ojcu zanieść tę panią na moje łóżko! Ty, Apolku, biegnij prędko po doktora, a pani Eustachya niech będzie tak łaskawą i pójdzie co prędzéj do apteki po wodę kolońską i ocet toaletowy!

Ex-rezydentka wspaniale podniosła się z krzesła, a zgarniając obiema dłońmi pocerowane swe jedwabie, jakby obawiała się zetknięcia się ich z szeleszczącą po grubéj podłodze, wytworną suknią niesionéj w zemdleniu kobiety, wyrzekła z dumą i głęboką obrazą:

— Ja! ja mam fatygować się dla téj kobiety? O, nie! tak nizko Eustachya Kunasewiczowa nie upadnie nigdy.

— My z Zuzią pójdziemy wszędzie, gdzie potrzeba — cichym swym głosem ozwała się przygarbiona i schorowana żona Augustyna Szyłły i, zarzuciwszy na siebie znoszony płaszczyk, wybiegła wraz z najstarszą córką na ulicę.

W godzinę potém nie było już w mieszkaniu Łozowiczów ani jednéj staréj kobiety i ani jednego ka-

walera. Dzieci spały smaczno na kanapach i skrzyniach, pan Fabian biegał za lekarstwami, a pani Adela z Ludką, nie rozbierając się, siedziały noc całą przy łóżku młodéj kobiety, która, obudzona na chwilę z omdlenia, wpadła potém w stan gorączkowéj nieprzytomności.

Nazajutrz około południa, lekarz stał znowu przy łóżku Lili i z uczuciem przykrości oglądał się co chwila na wszystkie strony. W mieszkaniu Łozowiczów panował nieustannie taki hałas, że zbadanie nawet pulsu choréj było mu prawie niepodobne.

Powietrze w ciasnych i ludźmi przepełnionych izdebkach duszne też było i wilgocią przesiąkłe. Na twarzy przytém pani Adeli i w całém jéj obejściu się z chorą i lekarzem malowała się znowu żywa irytacya, a przybywające wciąż obce kobiety rzucały na łoże choréj bardzo wyraźne spójrzenia niechęci i wzgardy.

Lekarz zwrócił się ku gospodarzowi domu z zapytaniem, czy nie można-by przenieść choréj w miejsce jakieś obszerniejsze, suchsze, a przedewszystkiém ciche i samotne.

— Całe mieszkanie nasze składa się z dwóch tych pokoików — pochylając smutnie głowę, odparł Łozowicz.

— Osoba ta ma może krewnych jakich, przyjaciół, w których domu...

Całą odpowiedzią na słowa te było aż nadto wyraźne milczenie obojga państwa Fabianowstwa.

— A więc — po chwili namysłu rzekł lekarz — radził-bym przewieźć ją do szpitala sióstr...

Nie dokonczył znowu, tak głębokie zdumienie, tak żywa odraza odmalowała się na twarzach słuchaczy.

— Szpital! — jęknął pan Fabian — dla niéj!

— Lila Orchowska w szpitalu! — splatając ręce, wykrzyknęła pani Adela.

— Do szpitala Sióstr Miłosierdzia — dokończył lekarz z chłodem, cechującym jego powołanie. — Tam osoba ta będzie miała pokój osobny, powietrze czyste i świeże, starania ciągłe naszych sióstr nieocenionych, a przedewszystkiém ciszę i spokój, które niezbędnie... niezbędnie są jéj potrzebne. Należy jednak przenosiny te uskutecznić dziś, natychmiast, inaczéj za życie choréj zaręczyć nie mogę.

W chwilę potém, pani Adela naradzała się z mężem w kątku bawialni.

— Cóż robić? — mówiła — trzeba to uczynić!

— Trzeba! — powtórzył pan Fabian, z wyrazem gorącego, lecz bezsilnego żalu.

— I bez tego, przecież, nie mogli-byśmy trzymać jéj u siebie długo, leczyć i pielęgnować. Nie mamy po temu środków.

— Nie mamy! — westchnął Łozowicz.

— Ale jakże tu zrobić? deszcz pada... trzeba-by karety chyba, aby ją przewieźć...

— Tak, karety...

— Zkąd-że ją wziąć?

— Nająć, duszko!

— O, ja wiem! ty-byś dla całego świata karety najmował, aby go niemi wozić! A czy masz choć złotówkę przy duszy?

— Mam, duszko, kilka rubli, które wczoraj za lekcye mi dano.

Pani Adela patrzała w ziemię i przygryzała usta. Blizki wybuch irytacyi dawał się już spostrzegać na jéj twarzy.

— Kilka rubli! — zaczęła — wielki majątek, doprawdy! A nam to się one niby nie przydadzą, te twoje kilka rubli! Ludce nowych bucików trzeba, Apolek rękawiczek nie ma, drzewo na opał także kupować przyjdzie... Ale czy ty myślisz kiedy o potrzebach żony i dzieci? czy ty o nie dbasz?... No — dokończyła — idź, najmij karetę, ażeby tu za dwie godziny najdaléj była!

— Ty, Adelko, zawsze złote miałaś serce! — szepnął pan Fabian, biorąc czapkę.

Dnia tego stoczyła się pomiędzy państwem Fabianowstwem walna narada, czy należy oznajmić Mieczysławowi Orchowskiemu o położeniu, w jakiém znalazła się jego siostra, i kto list z uwiadomieniem o tém ma napisać. Zważając na okoliczności różne, list ten był w istocie do napisania trudnym. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, Mieczysław musiał

być srodze na siostrę rozgniewanym i rozżalonym, a przyjaciółki pani Adeli jednogłośnie prawie zdecydowały, że wyprzéć się jéj powinien i wyprze niezawodnie. Wieczorem jednak, pani Adela zasiadła do pisania listu, który nazajutrz wysłanym został do Orchowa przez umyślnego posłańca. Odpowiedź na pismo to, skreślona przez Michalinę, zawierała następujące słowa: „Mąż mój, z powodu naglących interesów, wyjechał z domu i nie spodziewam się powrotu jego prędzéj, jak za tydzień. Co do mnie, skoro tylko urządzę się z gospodarstwem i z dziećmi, pośpieszę do N. Tymczasem, z całego serca dziękuję szanownym państwu za współczucie i pomoc okazaną biednéj siostrze naszéj, dla któréj ja i mąż mój uczynimy wszystko, co tylko w mocy naszéj będzie."

V.

Pociąg kolei żelaznéj, przybywający z północy, zbliżał się ku ścianom dworca. Po jednéj z sal, okazałéj i obszernéj budowy téj przechadzał się, z papierosikiem w ustach i rękoma zapuszczonemi w kieszenie zgrabnego paltota, Gottlieb, *vulgo* Abramek Makower. Miał on na głowie czapeczkę swą ze srebrnym galonkiem, a rozglądając się dokoła w sposób niedbały i znudzony, kształtnéj postaci swéj nadawał ruchy dandysa najgorszego smaku i tonu.

Sala napełniać się właśnie zaczynała przybyłymi pociągiem podróżnymi i wnoszonemi ze dworu pakunkami, gdy młody syn Elego usłyszał za sobą pozdrowienie, znajomym głosem wymówione. Obejrzał się i ujrzał Klemensa Szyłłę, który, z worem podróżnym w ręku i skórzaną torebką na plecach, witał się z nim poufale i przyjacielsko.

— *Gut Abend!* Gottliebku!

— *Gut Abend! gut Abend!* — zaśmiał się Abra-

mek. — No, jak tam powodziło się w podróży panu Klemensowi? Czy stolica bardzo piękna? A wielkie tam interesa robiłeś dla pana Agenta? Aj! aj! ile ja razy myślałem sobie, że chciał-bym na twojém być miejscu!

— Zapewne! zapewne! — odparł Klemens — świat szeroki, wielki, piękny! a co na nim złota!... jeździć tylko i garściami po świecie je zbierać!

— Tak — markotnie zauważył Abramek — tylko żeby módz jeździć, trzeba nie mieć kajdanów na rękach i na nogach, tak, jak ja je mam...

— Masz je, bo sam tak chcesz; a gdybyś nie chciał, to-byś ich nie miał.

Abramek probował zaprzeczać, ale Klemens zawołał:

— Głodny jestem! Pójdź do bufetu; zjemy cokolwiek i napijemy się piwa.

— No — zasiadając przy bocznym stoliku, żartobliwie rzekł Abramek — a masz ty czém zapłacić, bo dawniéj, to u ciebie o zapłaceniu nigdy i słychać nie było.

Klemens roztworzył na pół pugilares, a w nim ukazała się spora paczka asygnat. Oczy Abramka błysnęły.

— Ot, szczęśliwy człowiek! A zkąd ty to wziął?

— Z różnych interesów — odparł syn Augustyna Szyłły. — U pana Agenta służba dobra, stosunki człowiekowi robi i okazye różne nastręcza.

Przed rozmawiającymi postawiono dwie porcye mięsiwa jakiegoś i dwa wielkie kufle piwa. Abramek mięsa nie jadł, ze względu na obecność w sali dwóch czy trzech starozakonnych, którzy na niego i tak już ukośne, niechętne rzucali spójrzenia; ale piwo popijał i zarzucał towarzysza pytaniami o stolicę, bogactwa jéj i świetności, o interesa, które załatwiają się w tém ogromném zbiorowisku bogactw i ludzi. Klemens nie pozostawał dłużnym w odpowiedziach. Był on w humorze wyśmienitym. Jadł z apetytem i opowiadał z zapałem. W czasie pobytu swego w stolicy odwiedzał giełdę, przypatrując się pilnie a ciekawie odbywającym się tam finansowym obrotom; bywał obecnym na najrozmaitszych targach lub licytacyach i sam w nich, w miarę możności, uczestniczył; otarł się o mnóztwo ludzi, szukających zysków i zdobyczy na różnych drogach, i dowiadywał się od nich o dróg tych zwrotach i krętaninach. Wszystko to zachwycało go i wprawiało w zapał. Zachwytem tym i zapałem dzielił się teraz z Abramkiem, a chciwa ciekawość, z jaką słuchał go izraelski młodzieniec, bawiła go widocznie i do dalszych opowiadań zachęcała. Prawił też o ludziach, którzy, grosza nie mając, puścili się w świat szeroki i po pewnym przeciągu czasu, z pomocą sprytu tylko własnego i szybkich obrotów kół fortuny, stanęli na stanowiskach wydatnych a dogodnych.

— Wszystko to jednak niczém jest — zawołał

nagle, nóż i widelec z brzękiem na talerz rzucając — wszystko to niczém jest w porównaniu z tém, czego dokazał jeden *z waszych*, żydek, prosty żydek, Lejbuś jakiś, czy Icek. To mi chwat! to mi zuch człowiek!

Na słowa: „jeden *z waszych*", zmarszczył się nieco Abramek, ale ciekawość wzięła górę nad niezadowoleniem.

— Nu! a cóż on takiego zrobił, ten Lejbuś, czy Icek? — zapytał.

— To długa historya! — odparł Klemens, ocierając usta serwetą — ale ci ją w kilku słowach opowiem. Ów Icek, to syn jakiegoś faktora, ot, takiego naprzykład, jak twój stryj, Mendel...

Abramek zmarszczył się znowu, co widząc, Klemens zaśmiał się na całe gardło, poczém mówił daléj:

— Nie wiem już, jakim sposobem, ale dobił się on kilku tysięcy rubli. Co tu z niemi robić? Kupować, sprzedawać, szachrować w małém miasteczku, w ubogim kraju? Icek poszedł do głowy po rozum, siadł do wagonu i pojechał do Hamburga, a tam siadł znowu na okręt i popłynął...

Tu Klemens, dla sprawienia większego efektu, zawiesił głos na chwilę.

— Gdzie on popłynął? — błyskając czarnemi oczyma, śpiesznie zapytał Abramek.

— Popłynął... do Ameryki!

— Do Ameryki?

— Tak, do Ameryki. A tam siadł znowu do wagonu i pojechał...

Tym razem opowiadający przerwał sam sobie wybuchem śmiechu, spowodowanego wyrazem nadzwyczajnéj, niecierpliwéj ciekawości, który przybrała twarz jego słuchacza.

— Gdzie on pojechał? gdzie on pojechał? — naglił Abramek.

— Pojechał daleko... daleko, na zachód, do Kalifornii.

— Do Kalifornii? to tam, gdzie złoto kopią?

— Gdzie złoto kopią.

— A co on tam w Kalifornii robił?

— On tam kupił kawał ziemi i zaczął ją kopać. Kopał miesiąc, dwa, trzy, kopał pół roku i nic nie znajdował; ale siódmego miesiąca za to znalazł... żyłę złota...

— Żyłę złota? — wykrzyknął Abramek.

Milczeli chwilę; Klemens zapalał papierosa, Abramek zaś, którego oczy zdwojonym świeciły blaskiem, przechylał głowę na obie strony, na znak niemego zdumienia i zachwytu.

— A gdzie on teraz jest, ten Icek? — zapytał ciekawie.

— Icek mieszka teraz w stolicy, jest sobie wielkim spekulantem, gra na giełdzie, setkami kupuje akcye wszystkich wielkich stowarzyszeń, obraca sło-

wem milionami. Pan z niego teraz, co się zowie. Mieszka w pałacu, jeździ koczami i karetami, a największe figury, sami nawet podobno ministrowie, bywają u niego i kłaniają się mu nizko.

— I pan Klemens widział jego i poznał?

— Gdzie tam mnie, chudemu pachołkowi, po takie znajomości sięgać! Widziałem go wprawdzie kilka razy, jak przed gankiem giełdy wysiadał z karety i wchodził na schody, ale nie rozmawiałem z nim ani razu. Same tylko wielkie figury rozmawiać z nim mogą...

— A zkądże pan Klemens wié o tém wszystkiém, kiedy nigdy z nim nie rozmawiał?

— Opowiadali mi o tém ludzie. Niéma w stolicy ani jednego człowieka, który-by nie wiedział o baronie von Lebensdorf i jego historyi...

— O baronie?... czy on teraz jest baronem?

— A jakże? albo-żeś myślał, że taki rozumny człowiek chodzi jeszcze w chałacie i święci szabasy? Został on chrześcijaninem i zrobiono go baronem.

— Aj! aj! — po chwili milczącéj zadumy zawołał Abramek — oto człowiek!

— Mądry człowiek, Gottliebku, mądry człowiek! Ale początek mądrości jego był, wiész gdzie? w tych kilku tysiącach rubli, które on miał na podróż do Kalifornii i na kupienie tam sobie kawałka ziemi z żyłą złota. Daj mi pieniędzy, dużo pieniędzy, a i ja takim samym mądrym być potrafię...

— Aha! żebym ja miał pieniądze!

Klemens zaśmiał się.

— Niech tam już ja biedę klepię, bo zkąd pieniędzy wziąć mogę? Mój ojciec goły, jak święty turecki, i wielkie to już szczęście, jeżeli kiedy wycisnąć z niego potrafię kilkanaście rubli na obuwie i odzienie... Ale... Eli Makower! ho! ho! któż nie wié, że u niego pieniędzy, jak piasku!...

Abramek na uwagę tę nie odpowiedział nic. Jak zwykle, przy wspomnieniu o ojcu i jego bogactwie, wyraz głuchéj niechęci twarz mu okrył.

— No, czas mi do miasta, do pryncypała mego — rzekł Klemens, powstając. — Dobréj nocy, Gottliebku! i niech ci się śnią: mądry Icek... przepraszam, baron von Lebensdorf i Kalifornia!

Pomimo pożegnalnych słów tych, Abramek szedł obok towarzysza swego, w głębokiém pogrążony zamyśleniu.

— Czy idziesz do biura telegraficznego? — zapytał go Klemens.

Abramek splunął z niechęcią i wzgardą.

— Już ja z tém biurem pożegnał się na zawsze — rzekł. — Prosiłem o dymisyą i wczoraj mi ją dali.

— A! wolny więc Kozak z ciebie?

— Et, co z takiéj wolności? Mnie już te żydy tutejsze kością w gardle stoją! Patrzą na mnie, jak na raroga za to, że ubieram się i żyję inaczéj, niż oni. Rabiny przychodzili temi dniami do ojca, pytając się,

czemu mnie nie żeni, kiedy ja już wąsy mam, a ojciec chce mnie z córką Efroima żenić, z głupią dziewką, która czytać nawet może nie umié... Ot, żebym mógł, to-bym na koniec świata od tego wszystkiego uciekł.

— To uciekaj. Któż ci broni uciekać?

Szli znowu kilka minut w milczeniu, aż znaleźli się blizko ustronnéj kamieniczki, do któréj, w celu widzenia się z pryncypałem swym, dążył Klemens.

— Panie Klemensie! — ozwał się Abramek.

— Co?

— Czy pan Klemens przyjdzie jutro, około dwunastéj, do naszego mieszkania?... Ja-bym chciał z panem Klemensem o niektórych rzeczach porozmawiać...

— A taty tam nie będzie?

— On wyjechał do jakiegoś obywatela, którego majątek chce sprzedawać, i wróci za dwa dni dopiéro.

— Czemuż-by nie? Jeżeli pryncypał mój potrzebować mnie w téj porze nie będzie, to przyjdę.

Po tych słowach rozstali się.

Nazajutrz, około południa, wchodzili znowu obaj razem do izby, w któréj za bufetem, zastawionym butelkami i talerzami, siedziała Chaja.

Twarz Chai rozpromieniła się, jak zwykle, na widok wchodzącego syna. On powitał ją przelotném, niedbałém skinieniem głowy i, przeszedłszy pustą

w téj chwili izbę bilardową, wszedł wraz z towarzyszem swym do bawialni, upstrzonéj lusterkami i firankami, do słynnego, a tylu ludziom złowrogiego, *stawu* swego ojca.

— Pan Agent nie dał dziś panu Klemensowi żadnego polecenia? — zapytał Abramek.

Klemens nie miał już wczorajszéj rozjaśnionéj twarzy i wczorajszego różowego humoru. Owszem, gniewnym wydawał się i silnie zmartwionym.

— Niech dyabli wezmą pana Agenta i wszystkie interesa jego! — zawołał. — Przyjął mnie wczoraj, jak psa jakiego, i powiedział, żebym nie przychodził do niego, bo żadnych poleceń mi już nie da i za kilka dni zupełnie ztąd wyjedzie. Zły, jak szatan... Żonka jego przyjechała podobno, ni ztąd, ni zowąd, z kupą dzieciaków, i wszystkie szyki mu popsuła.

Wiadomości te mało widocznie obchodziły Abramka. Siedział z twarzą opartą na dłoni i milczał. Klemens za to miotał się i biegał po pokoju.

— Ot i znowu — zawołał — człowiek został bez zajęcia i zarobku żadnego! Nie wiedzieć co robić i gdzie się obrócić. Niech dyabli wezmą takie życie bez celu i przyjemności żadnych, i taki kraj, w którym niczego dobić się nie można!

Mówiąc to, człowiek bez kondycyi stanął u okna i zaczął niecierpliwie bębnić palcami po szybie.

— Panie Klemensie! — ozwał się Abramek.

— Co?

— Ja tu przyniosłem z sobą mapę geograficzną, ale to dobra mapa, bo na niéj i koleje żelazne oznaczone, i nawet drogi morskie, któremi pływają okręty...

Klemens milczał i nie odwracał się.

— I książeczkę ja także przyniósł taką, w któréj wypisane stoi, ile wszędzie za podróż płacić trzeba...

Klemens milczał jeszcze.

— Mapy i książeczki pożyczył mi jeden urzędnik od telegrafu, mój dawniejszy kolega...ale tylko na kilka godzin... trzeba więc, żebyśmy z panem Klemensem zaraz się do roboty wzięli...

Teraz dopiéro syn Augustyna Szyłły zwrócił się twarzą ku pokojowi. Jakaż zmiana! twarz ta nie była już chmurną, gniewną, lecz przeciwnie, rozświecał ją promień miłéj, tajemniczéj nadziei. Człowiek bez kondycyi, w téj chwili właśnie, wpadł snadź na świetny jakiś, wiele obiecujący pomysł. Pomysł ów musiał miéć blizki związek z osobą Abramka, bo Klemens, odwróciwszy się od okna, wpatrzył się w niego pilniéj, bardziéj badawczo, niż zwykle. Zdawało-by się, że chciał on z twarzy izraelskiego młodzieńca wyczytać najskrytsze uczucia jego i myśli. I wyczytał... Nie bez pewnego zdziwienia nawet ujrzał szczególną zmianę, która od wczorajszego wieczoru zaszła w powierzchowności syna Elego. Cera jego bledszą dziś jeszcze była, niż zwykle, zaczerwienienie i lekka na-

brzmiałość powiek zdradzały noc bezsennie przebytą, wyraz czarnych oczu stał się na-pół posępnym, na pół potężną jakąś namiętnością rozgorzałym. Wczorajsze widać opowiadanie o mądrym Icku i Kalifornii, bez szczególnego, z góry powziętego zamiaru dokonane, głęboko zapadło w umysł młodzieńca i rozpaliło jego wyobraźnią, do najwyższego stopnia podniecając trawiącą go żądzę zysków i użycia, wielkich bogactw i wielkich *honorów*. Teraz był to już dla Klemensa materyał wybornie przysposobiony. Wraz ze zmianą interesów i usposobień Głównego Agenta, do którego wozu fortuny był się uczepił, tracił on perspektywę wyrobienia sobie położenia jakiego. Nie mógłże więc teraz uczepić się znowu skraju szaty kogoś innego? Abramek rozłożył przed sobą grubą, drobno zadrukowaną księgę i niewielką, lecz bardzo szczegółową, mapę. Klemens przeszedł się parę razy jeszcze po pokoju, aż stanął przy szafie ogniotrwałéj i uderzył dłonią o żelazną jéj ścianę.

— O! — rzekł z uśmiechem — gdybym ja tylko posiadał to, co się znajduje tutaj!

— Nie tak to tam wiele tego jest, jak pan Klemens myśli! — ozwał się Abramek. — *Jego* pieniądze w obrotach ciągłych. Tylko że w przeszłym tygodniu kilka tysięcy rubli zarobił, a kilka odnieśli mu żydki, co u niego pożyczali. *On* tymczasem te pieniądze tu położył, ale jak wróci, to zaraz je znowu w świat puści.

— A ileż tam tego być może? — zapytał Klemens.

— Et! piętnaście tysięcy storublowemi asygnatami i coś tam jeszcze drobniejszemi.

— Widziałeś te pieniądze?

— Czemu nie miałem ich widzieć? *On* je przy mnie do szafy chował.

Rzekłszy to, Abramek pochylił się nad mapą, a Klemens chodził po pokoju. I stanął znowu przy żelaznéj szafie i dłonią jéj dotknął.

— Ho, ho! — rzekł — żebym ja wiedział, jakim sposobem tę szafę trzeba otwierać!

Nowy ten wykrzyk nie otrzymał z razu odpowiedzi żadnéj. Po chwili dopiéro Abramek, oczu od mapy nie odrywając, rzekł półgłosem:

— Ja wiem, jak ją otwierać trzeba!

— Mądre to zamki w tych kasach bezpieczeństwa! — od niechcenia niby, żartobliwym nawet trochę tonem mówił Klemens — a mądry *tate* klucz pewno ze sobą wozi! he?

— Jeden — porywczo rzucił Abramek.

— Jakto jeden? alboż są dwa klucze?

— Zawsze bywają dwa.

Klemens zwrócił się nagle ku Abramkowi i śledził oczyma kierunek jego wzroku. Rozgorzałe, ponure prawie w téj chwili oczy syna Elego spoczywały na jednéj z szuflad małéj, przy ścianie stojącéj komódki.

— Aha, w téj komódce! — wymówił młody Szyłło.

Abramek szybkim ruchem palec do ust przyłożył i syknął:

— Ccccyt!

Teraz już Klemens usiadł, oba łokcie oparł o stół i głowę nad mapą i księgą pochylił. Pochylił się też nad niemi i Abramek; zamiast jednak patrzéć na rozłożone przed sobą druki i rysunki, patrzyli oni na siebie. Patrzyli i szeptali długo. Włosy ich stykały się nieledwie ze sobą. Abramek kiedy niekiedy spoglądał na mapę i wiódł po niéj palcami daleko... daleko ku zachodowi. Ręka jego trzęsła się, jak w febrze, a na śniade czoło występowały grube, perliste krople potu.

* * *

Tego samego dnia, o dość późnéj wieczornéj godzinie, chodnikiem jednéj z ulic postępowali szybko dwaj młodzi ludzie. Obaj pochylone mieli głowy i oczy wlepione w ziemię, a zamieniali ze sobą słowa urywane i ciche, jakby lękali się, aby ktokolwiek tajemnéj ich rozmowy nie podsłuchał. U okien domów, nizko nad ziemią umieszczonych, pozamykano od dawna już okiennice; w sklepach i sklepikach pogasły światła; ruch dzienny miasta miał się już ku końcowi i w coraz głębszą ciszę zapadał. Tu i owdzie tylko świeciła wśród ciemności dopalająca się latarnia, zapóźniony przechodzień przemknął pod ścianą do-

mowstw, albo środkiem ulicy przesunęła się szybko dorożka miejska. Dorożki ukazywały się nawet często, coraz częściéj, a wszystkie w jednę stronę dążyły, w stronę drogi bitéj, do dworca kolei wiodącéj. Pociąg kolei, idący na zachód, opuścić miał dworzec miejscowy w niespełna godzinę.

— Czy pewny jesteś, że nie wróci *on* piérwéj, jak jutro wieczorem? — zapytał jeden z młodych ludzi towarzysza swego.

— No, już ty o to spokojnym bądź! Jak *on* wróci, to już tu po mnie i śladu nie będzie.

— Jakto: po tobie? powinieneś powiedzieć: po nas.

— No, po nas! po nas! — odparł smukły, zgrabny młodzieniec. — Wszak pojedziemy razem.

— Spodziewam się! czy ja ci darmo pomagam i tak narażam się? Spokojny zresztą jestem, że słowa mi dotrzymasz, bo wiem, że nie dał-byś sobie rady beze mnie. Mam ja teraz znajomości, stosunki, które koniecznie chodzić powinny w parze z twemi pieniędzmi...

— Cyt! — syknął wysmukły młodzieniec i zatrzymał się u bramy jednopiętrowego, drewnianego domu. Dom ten miał od ulicy drzwi do połowy oszklone, z napisem u góry, ogłaszającym znajdowanie się w tém miejscu bilardu, win, wódek i przekąsek. Przez szyby jego nie przebijało się teraz naj-

mniejsze światełko; okiennice szczelnie były pozamykane.

Dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przed bramą, na dziedziniec domu wiodącą. Dziedziniec to był pusty, gospodarskiemi budowlami dokoła ostawiony, a nadniszczonym płotem łączący się z obszernemi, pustemi w téj porze, ogrodami warzywnemi, które znowu przytykały do bitéj drogi, kończącéj się u stóp wspaniałéj budowy dworca.

— No, — rzekł jeden z młodych ludzi — czekaj ty tu na mnie... Chodź sobie po ulicy, niby nic, a gdyby tu kto wypadkiem nadjechał lub nadszedł, to zastukaj w to trzecie od bramy okno. Ja tam będę...

— Rozumiem. To okno od stawu *taty*.

Z temi słowami rozstali się. Jeden z nich wbiegł w dziedziniec, drugi przechadzał się z wolna na małéj przestrzeni w jednę i w drugą stronę, pilnie nasłuchując wszelkiego odgłosu i często zaglądając w głąb dziedzińca, w którym zniknął jego towarzysz.

Wewnątrz domu, w izdebce oddzielonéj od bawialni dwoma większemi izbami, w których spały dorastające i małe dzieci Elego, Chaja zaczynała układać się do spoczynku, gdy zastukano do drzwi.

— Kto tam? — zawołała Chaja.

Z zewnątrz ozwało się lekkie tylko, niecierpliwe mruknienie; ale Chaja poznała w niém głos syna i śpiesznie drzwi otworzyła.

— Ny! co ty tak późno do domu przychodzisz, jak włóczęga jaki, jak łobuz? — sprobowała gniewać się kobieta.

Ale Abramek, najmniejszéj, zda się, uwagi nie zwracając ani na gniew matki, ani na całą jéj osobę, minął ją w milczeniu, z oczyma spuszczonemi, wziął ze stołu palącą się w mosiężnym lichtarzu łojówkę i poszedł w głąb' mieszkania. Chai wydało się, że twarz syna, która zaledwie mignęła przed jéj oczyma, miała w sobie coś niezwykłego. Że jednak wyobraźnia jéj nie była wcale rozbudzoną i do rojeń jakichkolwiek lub niepokojów skłonną, a członki, zmęczone całodzienną krzątaniną, gwałtownie dopominały się spoczynku, zamknęła więc tylko drzwi od podwórza i, dosłownie zakopawszy się w piernatach, głęboko usnęła.

Rozbudziło ją światło, nagle do pokoju wniesione. Otworzyła senne oczy i ujrzała Abramka, stawiającego na stole świecę i ku drzwiom zmierzającego. Miał on na sobie ten sam paltot, w którym wszedł, i czapkę, ale bez galonka już na głowie.

— A dokąd ty idziesz? — ozwała się sennym głosem matka.

Syn nie odpowiedział.

— Czy ty i dziś nie będziesz w domu nocował?

— A jak nie będę, to co? — odmruknął młodzieniec i, nie rzuciwszy na matkę ani jednego spójrzenia, wyszedł.

Chaja, zgramoliwszy się z łóżka, zdmuchnęła świecę i drzwi zamknęła. Gdy śród ciemności obracała klucz w zamku, przyszło jéj znowu na myśl, że Abramek, wychodząc, był blady, strasznie blady. Stękając i wzdychając, omackiem doszła do łóżka i utonęła powtórnie w piernatach.

Abramek, wyszedłszy na mały ganek, jednym skokiem przesadził parę schodów, dzielących go od bruku dziedzińca, lecz zamiast udać się na prawo ku bramie, wiodącéj na ulicę, gdzie oczekiwał go towarzysz jego i wspólnik, poskoczył na lewo, w stronę rozwalonego na-pół płotu. Po chwili znajdował się już w obszernych, pustych zupełnie, warzywnych ogrodach. Przebył je szybko; wilgotna, miękka ziemia, tłumiła szelest jego kroków. Pięć minut nie upłynęło, a był już na szerokiéj, bitéj drodze, którą szybkim krokiem zmierzał ku czerniejącéj wśród zmroku masie wyniosłych murów dworca.

Klemens tymczasem przechadzał się po ulicy, uderzając niedbale laseczką o deski drewnianego chodnika i pogwizdując, jakby chciał przez to nadać sobie pozór człowieka niedbale i ze swobodną myślą oczekującego na coś lub na kogoś. Udawanie to zresztą nie było wcale potrzebném. Na mieście panowała pustka, a tu i owdzie, otwarte jeszcze i mdłemi światełkami błyszczące podrzędne szynkowe zakłady, czyniły obecność na ulicy zapóźnionego przechodnia bardzo naturalną.

Czas upływał. Klemens, spokojny całkiem z razu, zewnętrznie przynajmniéj, począł niecierpliwić się i nawet niepokoić. Ostatnia, paląca się dotąd uliczna latarnia, zagasła. Młody człowiek potarł o ścianę domu zapałkę i przy świetle jéj spójrzał na swój srebrny zegarek.

— Kwadrans tylko do pociągu! — szepnął. — Możemy się spóźnić!

Upłynęło pięć minut jeszcze, a nikt nie ukazywał się w bramie.

— Musi mu tam ciężko iść z zamkiem — rzekł do siebie Klemens — bodaj że z dzisiejszéj roboty nic jeszcze nie będzie.

W niecierpliwości swéj nie mógł dłużéj biernie zachować się na ulicy. Wszedł w dziedziniec i, przechodząc od okna do okna, nasłuchywał za zamkniętemi okiennicami. Nagle, głęboką ciszę nocną rozdarło przeciągłe, przeraźliwe gwizdnięcie. Był to sygnał zbliżającego się ku dworcowi pociągu.

— Ha! — zawołał Klemens półgłosem prawie — spóźniliśmy się już! A zresztą... kto wié, może-byśmy jeszcze dobiegli!

Nie mógł powstrzymać się dłużéj zastukał w okiennice, z razu ostrożnie, potém silniéj. Żadnéj odpowiedzi. Najgłębsza cisza zalegała wnętrze domu. Gwizdnięcie powtórzyło się. Pociąg stawał u ścian dworca. Klemens drgnął cały. Twarz jego w mroku bielała, jak chusta. Z całéj siły zatrząsł okienni-

cą. Tym razem, rozespany i przelękniony głos zapytał z wnętrza po żydowsku:

— Kto tam? czego?

— Po Abramka przychodzę! niech wyjdzie tu do mnie na chwilę... natychmiast... interes pilny!

— Ny! a zkąd tu Abramek? — odpowiedział głos łamaną już polszczyzną — jego tu niéma!

— Niéma? — wykrzyknął Klemens. — Jakto! był tu przecież przed chwilą!

— To i co, że był? On był i poszedł sobie. A co asanu do tego? Idź asan spać i nie budź ludzi po nocach!

Ostatnich słów Klemens już nie słyszał. Pędem strzały wypadł z dziedzińca na ulicę. Stanął jednak, jak wryty, myślą jakąś uderzony.

— Był i poszedł! — rzekł do siebie — a więc uciekł ode mnie. Poczekaj, ptaszku! może ja cię jeszcze dogonię!

Mówiąc tak, biegł prawie ku bitéj drodze. Nie uszedł przecież trzystu kroków, gdy nocną ciszę przerwał głuchy, monotonny turkot i ostre gwizdnięcie rozdarło znowu powietrze. Wśród cieniów, jak meteor przemknęła wielka, purpurowa pochodnia... rój iskier trysnął w górę... Potém... umilkło wszystko, zagasło. W oddali dróżnik zdmuchnął białe światełko ostatniéj latarki.

Pociąg kolei ruszył w świat...

Klemens stał śród bitéj drogi, jak skamieniały.

Po chwili jednak, zaśmiał się z cicha i zawołał do siebie:

— Pojechał! Oszukał mię!... Ha, nie był-by żydem. Natura wilka do lasu pociągnęła!

Mówiąc to, włożył ręce w kieszenie paltota i, jak gdyby nic wcale ważnego z nim nie zaszło, skierował się z powrotem ku miastu. Gdy wchodził w uliczkę, przy któréj znajdowało się mieszkanie jego ojca, pomyślał:

— Cała bieda w tém, że oto jestem znowu bez żadnéj kondycyi!

* * *

Szary świt dnia spuszczał się powoli na miasto, w najgłębszym jeszcze śnie i niczém nieprzerwanéj ciszy pogrążone, gdy przed tę samę bramę, przed którą kilka godzin temu przechadzał się Klemens Szyłło, zajechał niewielki wózek, parą włościańskich koni zaprzężony. Z wózka, otulony sutém futrem, z oczyma zaczerwienionemi bezsennością i nocnym chłodem, wysiadł Eli Makower. Prędko bardzo rozmówił się z najemnym swym woźnicą, wypłacił mu należność, a wziąwszy w rękę niewielki wór płócienny, stanowiący cały jego podróżny pakunek, zastukał do drzwi domu.

Chaja, którą turkot kół pod oknami ze snu obudził, otworzyła natychmiast, a przy szarém świetle

świtu, zalegającém już dziedziniec, poznając męża, zawołała z uradowaniem:

— *Sieh* Eli! A co ty tak prędko wrócił? Ja ciebie dziś wieczorem dopiéro spodziewała się!

— A po co ja tam miał tak długo siedzieć? — odparł Eli, witając żonę uściśnieniem ręki i głośném cmoknięciem w zwiędły jéj policzek. — Ja jak skończył interes, to i powrócił.

Z powodu zamkniętych okiennic, ciemność zupełna panowała w mieszkaniu. Eli omackiem poszukał świecy, stojącéj, jak zwykle, na stole u okna, i zapalił ją. Chaja leżała już znowu, zakopana w piernatach. Głowa jéj jednak wysuwała się z pod pierzyny, a oczy, na-pół senne jeszcze, z troskliwością patrzyły na męża.

— Może ty zziąbł, Eli? może ty herbaty napijesz się?

— Ja herbatę pił niedaleko ztąd, w karczmie u Jankla. Teraz ja tylko schowam to, co z drogi przywiozłem, i spać pójdę.

— A co ty z drogi przywiózł? — zapytała Chaja.

Eli wyjął z kieszeni wielki swój pugilares, którego boki dobrze były wydęte i, uśmiechając się, pokazał go żonie. Chaja z lubością spoglądała na męża i na pugilares. Usta jéj roztwierały się błogim uśmiechem.

— Interes dobrze poszedł? — rzekła.

— A czemu miał źle pójść? — zwykłą swą na podobne pytania odpowiedź powtórzył Eli.

Wziął świecę ze stołu i poszedł w głąb' domu.

W dwóch izbach, dzielących izdebkę Chai od bawialni, rozlegały się sapania i chrapania. Pod jedną ze ścian stały dwa łóżka: jedno większe, drugie małe, dziecinne. Na większém łóżku, śród wysoko usłanych poduszek, spoczywała śliczna głowa piętnastoletniego mniéj-więcéj chłopca, ze ściągłą, ładnie wykrojoną twarzą, z gęstemi, kędzierzawemi włosami i długą frenzlą ciemnych rzęs, które od zamkniętych powiek spadały na bladawe, delikatne policzki. Przy łóżku tém, na stołek niedbale rzucony, leżał szkolny mundurek. Uśpiony piętnastoletni chłopak był jednym z młodszych synów Elego. Szkolny mundurek świadczył, że i on także, jak niegdyś Abramek, uczęszczał do szkół.

Małe, dziecinne łóżeczko było miejscem spoczynku siedmioletniéj najwyżéj dziewczynki, która teraz, z drobnemi rączkami zarzuconemi na rozczochrane, ognistego koloru, włosy, z purpurowemi usteczkami, na-pół otwartemi, w grubéj, lecz czystéj i ponsową tasiemką związanéj u szyi koszulce, spała głęboko. Siedmioletnia dziewczynka ta była wnuczką Elego, którą on i Chaja, po niedawno zaszłéj śmierci jéj matki, wzięli na swą wyłączną opiekę, pieścili i kochali nad wyraz.

I teraz także dłoń Elego musnęła lekko po ogni-

stych włosach wnuczki; potém wzrok jego tkwił długo w ślicznéj, wytwornie zarysowanéj twarzy syna. Stał nad dwojgiem uśpionych dzieci minut parę, a błogość niewypowiedziana rozlewała się mu po twarzy. Potém podniósł nieco świecę do góry i potoczył wzrokiem dokoła siebie. Uśmiech pełen dumy i uszczęśliwienia zawisł mu na ustach. Widać było, że przypomniał sobie o czémś, że pomiędzy dwoma obrazami jakiemiś w myśli swéj porównanie czynił. Stanęło mu zapewne przed pamięcią własne dzieciństwo jego.

— Ot, zkąd ja wyszedł i dokąd zaszedł! — szepnął do siebie Eli. — I co mi tam mój stary ze swoim rabinem o omyłkach jakichś gadają, co ja ich niby względem dzieci moich popełniam! Czego im braknie? Czy one kiedy głodne? czy im ładnych sukien nie kupuję i pięknéj edukacyi nie daję? czy im posagów zabraknie, jak wyrosną?

Ostatnia myśl zdwoiła na twarzy Elego wyraz dumy, uradowania i zupełnéj pewności siebie. Pod wpływem jéj, mimowoli dotknął dłonią kieszeni surduta, wydętéj spoczywającym w niéj pugilaresem, i długiém, pieszczotliwém spójrzeniem ogarnął żelazną, misternemi rzeźbami okrytą szafę, stojącą w kącie bawialni, któréj próg właśnie przestąpił.

Postawił świecę na stole i, w jednéj ręce trzymając grubo wypchany pugilares, drugą wydobył z kieszeni kamizelki klucz osobliwego kształtu. Z wolna

i uśmiechając się wciąż do własnych swych myśli, odemknął ciężkie, żelazne drzwi szafy. Nagle roztworzyły się szeroko oczy jego, cała krew uderzyła mu do twarzy, pugilares wypadł z ręki, która opadła w dół, jakby sparaliżowana. W szafie, tam, gdzie przed wyjazdem Elego piętrzyły się grube zwoje asygnat, do nowych obrotów przygotowanych—nie było nic!

Przez chwilę Eli stał, jak martwy; źrenice jego, krwią nabiegłe, krążyły pod powiekami, nadając twarzy całéj wyraz konwulsyjnego przestrachu i bezprzytomnéj rozpaczy. Nagle, krzyk stłumiony wydarł się z jego piersi. Ujrzał kartkę papieru, która, wyraźném pismem żydowskiém nakreślona, leżała na miejscu, gdzie znajdowały się wprzód pieniądze. Ruch, którym Eli papier ten pochwycił, gwałtowny był, dziki niemal. W piersi jego drżały stłumione, bełkocące jęki i krzyki, gdy przyskoczył do stołu i przy świetle świecy znalezioną kartkę rozpostarł. Od piérwszego bowiem rzutu oka poznał na niéj pismo Abramka. Teraz litery, ręką syna jego ołówkiem nakreślone, skakały mu przed oczyma, jak furye, wiły się, jak żmije. Jaskrawe, krwawe światło jakieś biło z nich ku niemu i oślepiało go.

— *Gewałt! gewałt!* — krzyknął Eli okropnym głosem i, obu dłońmi chwytając się z kolei za głowę i piersi, przysiadł na ziemi.

Chaja usłyszała krzyk i szamotanie się męża. Ze-

skoczyła z łóżka i w kilka sekund była już na progu bawialni. W téj saméj chwili Eli podnosił się z ziemi. Zgarbiony, jakby złamany, trzymał w trzęsących się rękach pismo syna, które czytać probował. Długo, długo oślepione napływem krwi oczy jego żadnego słowa wyróżnić z pomiędzy innych nie mogły. Pocierał dłonią czoło, oczy, twarz całą, aż nakoniec z téj łuny ognistéj, która oblewała przed nim stół, ścianę i wszystko, na co spójrzał, wynurzać się poczęły przed wzrokiem jego czarne, ponure, olbrzymiéj, jak mu się zdawało, wielkości litery, ręką syna jego nakreślone. Litery te składały słowa następujące:

„Tate! kiedy ty wrócisz do N., mnie już tu nie będzie Ty, tate, dał mi edukacyą dlatego, żebym ja wielkim purycem był i żebym, zamiast kopiejek, jak ty, dukaty i półimperyały zbierał. A jak ja mogę wielkim purycem zostać bez pieniędzy? a jak ja mogę pieniądze mieć w tym takim biednym kraju, gdzie człowiek długo musi bić się, jak ryba na lodzie, nim sobie jakiego nędznego rubla złapie? Mnie, tate, obrzydło już to wasze miasto. Jadę do Kalifornii, tam, gdzie złoto kopią. Pasportu ja nie mam, ale ty, tate, nie lękaj się. Już ja sobie na granicy dam radę. A pieniądze twoje biorę dlatego, żeby mieć o czém zajechać, a zajechawszy, kawał ziemi z żyłą złota kupić. Jak ja tę żyłę znajdę, to powrócę, pałac sobie w stolicy kupię i tobie, tate, twoje pieniądze

odeślę z procentem; bo ja nie kradnę twoich *pieniądzów*, tylko pożyczam. A teraz bądź zdrów, tate! Ja wiem, że tobie beze mnie smutno będzie, bo ty mnie bardzo lubił. Ale niech twoje serce pocieszy się temi myślami, że ja powrócę bardzo bogatym purycem i honorów wielkich dostanę, a ty, tate, sam przecież tego chciał i na to mnie edukacyą dawał."

Eli głosem przerywanym i zdławionym list ten czytał; Chaja stała za jego plecami, drżała jak w febrze, i splecione ręce co chwila do góry podnosiła. Gestem tym zdawała się ona wzywać z wysoka ratunku i pomocy; ale usta jéj zbielałe i trzęsące się żadnego nie wydawały dźwięku.

Z rąk Elego wypadł złowrogi papier, a dłonie jego splotły się kurczowo i tak, jak ręce Chai, podniosły się w górę.

— *Gewalt! gewalt!* — krzyknął znowu i stał tak chwilę, z ciałem w tył wyciągniętém, z twarzą ku sufitowi podniesioną, białą jak płótno, ponuro oświeconą przytomnym już zupełnie, ale rozpacznym wyrazem oczu. Nagle opuścił ręce i rzucił się ku drzwiom, wychodzącym na ulicę.

— Policyi! — wołał zdławionym głosem. — Niech poślą za tym łajdakiem! niech telegrafują! niech jego na granicy złapią i w kajdany okują, a pieniądze moje niech od niego odbiorą! Ja do Policmajstra, do samego Gubernatora pójdę!

I biegł ku drzwiom, ale dyszał, jak człowiek, któ-

ry się dusi, a straszna męka wewnętrzna wyprężała mu żyły na czole i ciałem jego bezładnie miotała. Tuż przy progu zachwiał się; u stóp swoich uczuł ciało jakieś, szamocące się na podłodze. Była to Chaja, która pomiędzy nim a drzwiami rzuciła się na ziemię i, ramionami oplotłszy mu nogi, piersią do kolan jego przylgnęła.

— *Gej a weg! Chaja! gej a weg!* — krzyknął Eli pasując się.

Ale ona, ramion swych nie roztwierając, podniosła ku niemu twarz swą, po któréj płynęły dwa ogromne strumienie łez.

— Eli! — wołała kobieta — Eli! Eli! ty chyba po moim trupie do tych drzwi dojdziesz! Zabij mnie, zamorduj, zadepc podeszwą buta swego, ale ja ciebie nie puszczę, ja tobie nie dam zgubić Abramka! *Aj waj! aj waj!* mój Abramek! mój syn, mój najmilszy bachores! On taki piękny i taki rozumny, a ty jego głowę na zgubienie chcesz dać i na jego ręce kajdany nałożyć!

— Chaja! — krzyknął Eli, chwytając się za głowę — Chaja! nie gadaj ty mnie o nim! Puść mnie!

Ale ona silniéj jeszcze uczepiła się nóg jego i, twarzą dotykając niemal ziemi, wołała:

— Eli! Eli! czy ja już u ciebie niczego niewarta? czy ja z tobą trzydzieści lat nie przeżyła? czy ja z tobą razem nie pracowała i o ciebie, jak o oko moje, nie dbała? Eli! co tobie będzie po pieniądzach, kiedy

ty syna naszego, naszego pięknego, mądrego Abramka, w kajdanach zobaczysz? Czy ty już więcéj *pieniądzów* nie masz? czy ty nie był kiedyś biedny, aj, jaki biedny! a dlatego ty żył i z wesołém sercem po świecie chodził? Ale jak ty dziecko swoje zgubisz, to już wesołego serca nigdy mieć nie będziesz i żonę swoję ty na mogiłki wywieziesz, i oczy swoje z wielkich żalów i zgryzot wypłaczesz!

Oderwała twarz od ziemi i, podnosząc ją znowu ku mężowi, wołała daléj:

— Eli! Eli! czy ty nie pamiętasz tego czasu, kiedy ty do domu mego ojca przyszedł i powiedział: — Szmulu! ja chcę żenić się z twoją córką, Chają. — Ty był wtedy małym faktorem i u ciebie dziury w chałacie na łokciach świeciły; ale jak ja spójrzała na ciebie i dowiedziała się, że ty mnie chcesz za żonę swoję wziąć, to mnie tak jasno zrobiło się w oczach, jak ślepemu, kiedy zobaczy słońce. I my pobrali się, i byli bardzo biedne, i ani jednego rubla nie mieli, coby do nas należał. A czy nam źle było wtedy? Czy my wesołości w sercach nie mieli? czy my sobie kiedy złe słowo powiedzieli? Ty był dobry dla mnie, Eli, i ja dla ciebie byłam dobra. A kiedy Abramek nasz narodził się...

Tu Eli drgnął znowu i uczynił gwałtowne poruszenie. Kobieta zaś z mocą zdwojoną mówiła daléj:

— On był piérwszy nasz syn, Eli, on był nasz pierworodny! Wprzód rodziły się nam same córki,

a my Pana Boga prosili, żeby nam dał syna. I Pan Bóg dał nam syna, a ja go w czyste pieluszki owinęła i do kołyski włożyła, i ciebie zawołała i powiedziała: — Popatrz, Eli, jaki on ładny! — Niech to wszystko teraz przed twemi oczyma stanie, jak przed mojemi stoi. Niech spadnie ze mnie starość moja, jak ta znoszona suknia, i niech ja tobie pokażę się taka młoda i taka piękna, jak ja była wtedy, kiedy ty mnie z domu ojca mego za żonę brał, i wtedy, kiedy ty stał ze mną koło kołyski naszego pierworodnego. Zobacz moję głowę, ile ona kłopotów na sobie nosiła, i zobacz moje ręce, ile one pracowały, i zobacz moje piersi, ile one dzieci twoich przytulały do siebie i mlekiem swojém karmiły! Eli! Eli! my z tobą byli zawsze jedno ciało i jeden duch, i jedno oko, a ty teraz chcesz, żeby my rozdarli się na dwoje i żeby ja płakała na ciebie i przed Panem Bogiem skarżyła się?... Eli!...

Dłużéj mówić nie mogła. Głos jéj ochrypł, ramiona zmęczyły się i bezwładnie ku ziemi zwisły. Nie wstawała przecież z ziemi, a łzy wielkie, palące, oblewały, jak obfita rosa, obuwie Elego.

On stał nieruchomy i suchym, posępnym wzrokiem patrzył na nią. Z pomiędzy grubych fałd żółtéj płóciennéj chusty wyglądała ku niemu pomarszczona, bolejąca, strumieniem łez oblana twarz towarzyszki całego niemal życia. I stał się cud, którego pragnęła i wzywała Chaja. Starość opadła z niéj,

jak znoszona suknia, i ukazała się ona oczom swego męża taką hożą, ciemnowłosą, żwawą izraelską dziewoją, jaką wziął ją z domu jéj ojca. I szybko, niby napowietrzne latające widziadła, przesuwały się przed oczyma jego wszystkie chwile przeszłości, które ona teraz na ratunek syna swego wywoływała z grobów zapomnienia. I zobaczył ją wiecznie czynną, pilną i niezmordowaną, jak stawała u domowego ogniska jego i własnemi rękoma gotowała dla niego strawę. I zobaczył ją, jak troskliwa, niepokoju pełna, siadywała po nocach całych nad kolebkami dzieci jego. I zobaczył ją dumną, słodko zadowoloną, jak w odświętnéj sukni i czepcu kwiecistym chodziła w szabasy u boku jego do bożnicy. I zobaczył ją pokorną, łagodną i cichą, ile razy spadło na niego niepowodzenie jakieś. Przypomniał sobie wszystkie te chwile minione, których szereg ciągnął się przez lat trzydzieści z górą, i zjęła go nad tą kobietą litość wielka. Zmiękło serce jego, zachwiały się nogi; opadł na najbliżéj stojące krzesło, obie dłonie złożył na kolanach i tak już w sztywnéj postawie, z oczyma szklano utkwionemi w przestrzeń—pozostał.

Chaja podniosła się z ziemi i, chwiejąc się a ręką wspierając o sprzęty i ścianę, poszła do przyległéj izby. Tam nakazawszy milczenie obudzonym dzieciom, ku bawialni wróciła i na progu jéj usiadła. Płakała i wzdychała ciągle, ale tak cicho, jakby obawiała się kogoś ze snu obudzić, a oczu nie spuszczała

z męża, gotowa przy najlżejszém poruszeniu jego poskoczyć i rzucić się znowu na ziemię, pomiędzy nim a drzwiami.

Ale obawa jéj daremną była. Eli nie uczynił poruszenia najlżejszego. Upływały kwadranse i godziny; na świecie dzień był biały, południe zbliżało się, a on siedział wciąż i siedział na jedném miejscu, w jednéj postawie, jak spiorunowany, jak skamieniały. Świeca zagasła, w bawialni zaległ mrok głęboki, bo Chaja nie pozwoliła u okien mieszkania otwierać okiennic. W jednéj przecież z okiennic była szeroka szpara. Wdzierał się przez nią wązki smug białego światła i spływał na roztargane włosy Elego, i na twarz jego białą, jak chusta, nieruchomą, jakby wyrzeźbioną z kamienia.

Piérwszém poruszeniem jego było przymknięcie powiek. Opadły one na szklane źrenice, poddając się niby ogromnemu znużeniu, czy bolesnemu jakiemuś olśnieniu. Zarazem postać zmartwiała poczęła kołysać się z wolna w jednę i drugą stronę, a z ust zsiniałych wychodziły urywane, niezrozumiałe słowa...

Chaja wstała z ziemi, bez najlżejszego szelestu przymknęła drzwi bawialni i, obu dłońmi trzymając się za głowę, weszła do swéj izdebki. W téj saméj chwili zapukano do drzwi. Dziewka służąca chciała otworzyć; ale Chaja, zjęta zda się trwogą, czy nadzieją jakąś, odepchnęła ją i otworzyła sama. Na ganku stał wysoki, młody mężczyzna.

— Wszak tu mieszka Eli Makower?... — zaczął.

— Tu, tu — niecierpliwie odparła żydówka — ale jego teraz w domu niéma.

Jakkolwiek dzień był chmurny, Chaja, patrząc na stojącego w ganku młodego pana, dłonią sobie oczy, jak przed blaskiem słońca, przysłaniała.. Wydało się jéj, że go zna, ale kim-by był, nie wiedziała. Mgła gęsta zasłaniała jéj oczy: nie poznała-by była w téj chwili dziecka rodzonego.

— A kto pan taki? — spytała machinalnie prawie, z przyzwyczajenia.

Mężczyzna odrzekł:

— Jestem Mieczysław Orchowski. Życzył-bym sobie bardzo widzieć się z Elim. Czy pani nie wié, gdzie znaleźć go mogę?

— Niech pan poszuka... on gdzieś na mieście... — nie wiedząc sama co mówi, odparła żydówka i drzwi zamknęła.

IX.

W głębi dzielnicy żydowskiéj, w izbie obszernéj i czysto wymiecionéj, stary Judel leżał, jak zwykle, w swym długim, wielkim fotelu, nieruchomy prawie, bo mu sparaliżowane nogi poruszać się nie dozwalały, z piersią podnoszącą się chrapliwym, astmatycznym oddechem. Pomimo jednak cierpień fizycznych, zwiększających się codziennie i coraz prędzéj zdających się popychać życie starca ku ostatecznemu kresowi, na twarzy jego rozlewała się słodycz duszy zrezygnowanéj, cicho i z wdzięcznością używającéj miękkiego spokoju, który, dzięki synowskiéj miłości Elego, napełniał późny wieczór jego żywota.

Zadumę starca przerwało ostrożne i powolne otwieranie się drzwi od sieni. Na progu stanął mężczyzna młody.

— Przepraszam — zaczął — powiedziano mi, że w tym domu mieszka ojciec Elego Makowera i że jego samego tu znaléźć mogę.

Starzec pochylił się nieco na przód, z drżącéj przezroczystéj dłoni uczynił sobie nad oczyma zasłonę i patrzył na przybyłego.

— Niech Wielmożny Pan wejdzie—rzekł z uprzejmym uśmiechem na bladych ustach; — pewno interes jaki do syna mego... Jego tu teraz niéma, ale on może nadejść... Niech Wielmożny Pan będzie łaskaw wejść i powiedzieć mi, jaki to interes... może ja o nim co wiem...

Mężczyzna próg przestąpił i zbliżył się ku starcowi.

— Pan więc jesteś ojcem Elego Makowera? — zapytał.

— Tak, Eli Makower to mój syn.

Wyrazy te stary Judel wymówił z dumą i uszczęśliwieniem, które światło niewypowiedzianéj błogości rozlało po całéj jego twarzy. Zarazem wytężonym wzrokiem patrzył na przybyłego.

— Przepraszam Wielmożnego Pana — zaczął — oczy moje słabe są i pamięć moja ucieka czasem ode mnie... Nie mogę poznać kto pan taki, ale mnie zdaje się, że ja pana znam... Nie wiem co takiego... pan jest młodym człowiekiem, a mnie się zdaje, że ja pana dawno kiedyś znał, jak jeszcze sam młody byłem... i mnie się zdaje, że pan kiedyś dawno dawno temu wielkie dobrodziejstwo dla mnie uczynił... Ale kto pan taki, tego ja sobie przypomnieć nie mogę.

— Wątpię, abyś kiedykolwiek widział mnie samego, szanowny starcze! —odparł przybyły mężczyzna—

ale przypuszczam, że powierzchowność moja musiała ci przypomnieć ojca mego, do którego jestem bardzo podobny.

— Ojca! — wymówił z wolna stary Judel, pasując się widocznie z pamięcią swą. — Przepraszam Wielmożnego Pana, a kto był pański ojciec?

— Jestem synem Kajetana...

— Wiem, już wiem! — prostując się, zawołał starzec; — Wielmożny Pan jest synem pana Kajetana Orchowskiego... Ach! ach! jaki pan do swego ojca podobny! jak mnie miło pana widzieć! Ja stary biedny żyd, a pan jest Wielmożnym Panem... ale niech mi pan swoję rękę poda... niech ja przed śmiercią popatrzę jeszcze długo... długo... na syna naszego dziedzica i niech ja w rękach moich rękę jego poczuję!...

I, trzymając rękę Mieczysława w obu swych chudych, drżących od starości i choroby dłoniach, i okrywając twarz jego wzrokiem pełnym głębokiéj radości, mówił daléj:

— Piękny to był pan i dobry, ten pański ojciec! On był nasz dziedzic; my na jego ziemi mieszkali i czynsze jemu płacili, i on mógł nam robić wiele złego albo dobrego. Ale złego on nam nic nigdy nie zrobił i nikogo nie skrzywdził. On był uczony i o wielkich rzeczach myślał, ale jemu nie udawało się... W jego duszy i w jego życiu było coś takiego, co jemu zawsze ręce wiązało, że kiedy miał zbudować

wielki pałac, to zbudował małą chatę... kiedy sprobował usypać wysoką górę, to robił się z niéj nizki pagórek... On nie był szczęśliwy... ale był dobry i sprawiedliwy: każdemu w biedzie dopomógł i do każdego łagodném słowem przemówił... Ja jego znał, dobrze znał i on mnie nieraz z wielkiego nieszczęścia wyratował. A choć on wielki pan był, a stary Judel prosty biedny krawiec, choć on chrześcijanin był, a ja żydem jestem, ale jak ja tam wysoko, na innym świecie jego spotkam, to ja do Pana Boga wielkim głosem zawołam, żeby nas obudwóch jednego przy drugim posadził, bo nas jedna ziemia karmiła i my na jedno niebo patrzyli, to niech my już razem i na wielkie oblicze Boga patrzymy!

— Szlachetne masz serce i wdzięczną pamięć, panie Judel — powstrzymując rozrzewnienie swe, rzekł Mieczysław. — Dlaczegóż syn twój uczuć twych nie podziela? dlaczegóż ziemią tą, o któréj zgrzybiały ojciec jego z czułością wspomina, handluje jak towarem, głębokie doły i przepaście kopiąc pod stopami tych, którzy na niéj mieszkają?

Judel patrzył w twarz mówiącego oczyma pełnemi smutnego zadziwienia.

— Mój Eli! — wymówił nakoniec — Wielmożny Pan o moim Elim, o tym dyamencie moich oczu, o téj koronie głowy mojéj mówi? Czy moje stare uszy nie dobrze usłyszały? czy mnie wydało się tylko, że pan o moim Elim z żalem w sercu mówił? Ach! ach! żeby

pan znał jego, tak jak ja go znam! Żeby pan wiedział, jakie jego serce i jaki rozum! On z mojéj biednéj, nędznéj chaty nic nie wyniósł, prócz podartego łapserdaka, a teraz do czego on doszedł własnym tylko rozumem swoim! On bogacz i wszyscy jego szanują, a on, jak tu przychodzi, to nizko przed starym ojcem głowę swoję nachyla i naokoło bystremi oczyma patrzy, czy jemu czego nie brakuje. Wielmożny Pan nie zna jego chyba, jeżeli może z urazą i żalem w sercu o nim mówić.

Mieczysław stał przed mówiącym, ze skrzyżowanemi rękoma i smutnie pochyloną głową.

— Znam dobrze syna twego, panie Judel — rzekł po chwili milczenia. — Jesteś pan rozumnym i doświadczonym człowiekiem, pojmiesz więc znaczenie słów moich, gdy ci powiem, że syn twój, Eli, jest typem plemienia waszego, skupiającym w sobie wszystko, co ma ono w naturze swéj dobrego i złego. Posiada on w istocie umysł bystry, zdolny i pojętny; w sercu jego nie braknie szlachetnych popędów i uczuć. Jest on najlepszym synem i bratem, ojcem i mężem, kocha gorąco spółwyznawców swoich, a sprawy ich za własne swoje uważa... Za spokój ojca, za szczęście dziecka dał-by się ukamienować; dla każdego ze *swoich* wyjął-by z piersi serce własne... a jednak dobrześ usłyszał, szanowny starcze, że przy wspomnieniu o nim w głosie moim zadrżały gorzka uraza i żal głęboki... Syn twój, który tak

dzielnie i troskliwie ratuje *swoich*, nas do zguby popopycha... wywyższenie się jego z naszych upadków powstało... bogactwo jego, to nasze słabości, z których korzystać umiał, i nasza niedola, którą się wspomagał!...

W miarę jak Mieczysław mówił, ręce Judela podnosiły się w górę, a zciemniałe, pomarszczone powieki nad osłupiałemi źrenicami jego drżeć zaczynały.

— Czy Wielmożny Pan wszystko to naprawdę o moim Elim powiedział? Co on takiego zrobił, żeby syn naszego dziedzica, naszego dobroczyńcy, tak o nim mówił. Niech Wielmożny Pan da mnie jeszcze rękę swoję i stanie tu przy mnie blizko, aby stare oczy moje dobrze widziały, że to syn pana Kajetana Orchowskiego do mnie mówi! I niech pan mi powié wszystko... wszystko o moim Elim. Ja jego ojciec... ja powinien wszystko wiedzieć...

Mieczysław milczał długo, wahający się, niepewny, do głębi wzruszony. Po chwili jednak zniżonym głosem, w którym powaga łączyła się z łagodnością, mówić zaczął:

— Bóg mi świadkiem, panie Judel, że do syna twego nienawiści żadnéj w sercu nie chowam, i że złém słowem, wyrzeczoném, o nim, nie chciał-bym ranić twego serca. Gdybym był wiedział, że przyjdzie mi podobną rozmowę toczyć z sędziwym ojcem Elego, nie przyszedł-bym tu wcale. Teraz jednak

milczéć nie mogę. Tak, panie Judel, przez starania i zabiegi syna twego, dziesiątki już współobywateli moich oddały dziedzictwa swe w ręce obcych i wyszły w świat z pod rodzinnego dachu na tułaczkę, która częstokroć słabych i nieumiejętnych wiedzie ku nędzy materyalnéj i moralnemu zepsuciu. Też same starania i zabiegi sprawiły, że i ja także, najdaléj za dwa lub trzy tygodnie, utracę Orchów, a wraz z nim...

Tu twarz młodego mężczyzny, dotąd smutna tylko i poważna, powlokła się rumieńcem silnego wzruszenia. Palący żal rozpłomienił ciemne jego oczy.

— Co ja tracę wraz z Orchowem! — zawołał. — O! panie Judel, wy tego może i pojąć nie potraficie. Nie o majątek mi już idzie, nie o byt tylko mój i rodziny mojéj. Młody jestem, mam zdrowie, siły i trochę nauki w głowie, nie dopuścił-bym głodu i nędzy do siebie, ani do tych, których kocham. Alem ja ten kawał ziemi umiłował sercem całém! Tam rodzili się i umierali praojcowie moi, tam urodziłem się sam i wzrósłem. Każde drzewo i każda ścieżka, każda niemal cegła starego dworu tego przemawia do mnie wspomnieniem jakiémś, lub przypomina mi jakiś obowiązek, jakieś przyrzeczenie święte, dane sobie i innym! Podnieść z ruiny to piękne miejsce, użyźnić je, zbogacić, było zadaniem, które postawiłem przed sobą samym w piérwszym zaraz dniu, gdy dojrzałem i pojąłem, że człowiek każdy winien pełnić w swém życiu zadanie jakieś. Włożyłem już w nie pracę lat

kilku, a tracąc je, tracę więcéj, niż owoce téj pracy, bo cel życia mego, wiarę we własne siły, najbliższą i najlepszą możność zapewnienia spokoju i szczęścia sobie i swoim blizkim.

Judel słuchał mówiącego z pochyloną głową. Podniósł ją potém i z wolna wymówił:

— Dlaczego pan powiedział, że ja nie zrozumiem tego, co pan mówi i co pan czuje? Ja zrozumiał. Czy pan widział kiedy w miasteczku Orchowie tę chatę, w któréj stary Judel krawiec czterdzieści lat mieszkał? Mała, biedna, brudna chata! Okienka jéj były jak oczy ślepe i zapłakane, ściany skrzypiały i kołysały się, gdy wiatr powiał, a na dachu jéj rósł żółty, zgniły mech. On tam od rana do nocy i od wieczora do rana siedział nad robotą ciężką... a jak roboty nie miał, to głodem marł i dzieci jego głodem marły. Nie było czego żałować, prawda? Tak i ja z początku myślał; ale kiedy mnie mój Eli zabierał z sobą, żebym tu w spokojności i wygodach siedział, i kiedy wóz zajechał przed moje okienka, a mnie przyszło z mojéj chaty, w któréj ja czterdzieści lat żył, wychodzić, to ja płakał, jak dziecko, i ściany mojéj staréj izby rękoma obejmował, i na ziemię upadł, a miejsca te całował, na których moje dzieci w kołyskach spały i moja biedna żona chorowała i umarła!...

Milczał chwilę, a potém cichszym głosem zapytał:

— Czy Wielmożny Pan o tém swojém nieszczęściu i wielkim żalu z moim Elim gadał?

— Z synem twoim, panie Judel, rozmawiałem niedawno o wszystkiém, co się mnie tyczy. Trudno mi jednak było dotąd zdobyć się na słowo prośby... Teraz chcę widzieć się z nim...

Zatrzymał się na chwilę.

— Chcę widzieć się z nim — dokończył z iskrą boleści w oku — żeby go prosić...

— Niech pan tego nie robi — zawołał Judel — niech pan jego nie prosi. Ja zrozumiał teraz wszystko. Ja teraz dowiedział się, jaki on ma grzech na sumieniu i jaka pycha w jego sercu mieszka. Jak pan jego będzie prosił, to przez to proszenie powiększy się grzech jego i wzrośnie pycha. Ja jestem jego ojciec; ja jemu powiem... W mojéj głowie zbierają się teraz myśli wielkiemi gromadami, i w mojéj piersi podnosi się teraz wielki płomień... ja wszystkie te myśli jemu odkryję i ten ogień, co we mnie pali się, w jego serce wrzucę!

Słowa te starzec wymówił z uniesieniem wielkiém, obie dłonie przyciskając kolejno do czoła i do piersi, jakby mu w istocie coś palącego i rozrywającego tłoczyło się pod czaszkę i ku sercu. Potém dodał spokojniéj:

— Niech Wielmożny Pan idzie z Bogiem i na starego Judela spuści się. Bracia pańscy nie będą już wychodzili z pod dachów swoich przez mego Elego i pan z pod swego dachu dzieci swoich nie wyprowadzi.

Umilkł, ale patrzył wciąż na Mieczysława, a usta jego otwierały się, jakby mu jeszcze coś do powiedzenia zostawało. Po chwili wyrzekł cichym, łagodnym, proszącym głosem:

— I niech Wielmożny Pan do mego Elego nienawiści żadnéj nie ma! niech pan jemu przebaczy! Ja panu coś ważnego powiem. On prosty żyd. On do wszystkiego doszedł własnym rozumem, co go jemu Pan Bóg dał. Jego nikt nie uczył takich rzeczy, co to tylko delikatném uczuciem pojąć je można, i jego serce obróciło się całe do tych ludzi, między którymi on żył, i do pracy, która jego braci i dzieci z biedy dźwigała. Niech Wielmożny Pan daruje jemu jego omyłki i niech ja przed śmiercią zobaczę, że syn naszego dziedzica w takiéj zgodzie z moim synem żyje, w jakiéj ja zawsze z ojcem pańskim żył.

Gdy starzec domawiał słów ostatnich, szybko otworzyły się drzwi od sieni, a do izby wpadła postać kobieca, dość dziwnie wyglądająca. Była to żydówka, w krótkiéj watowanéj spódnicy i przydeptanych trzewikach. Z wielkiéj, grubéj chusty, która okrywała ramiona jéj i głowę, owiniętą szmatem żółtego płótna, wychylała się twarz przelękniona i zbolała, z czerwonemi i nabrzękłemi od płaczu oczyma, z czołem pomiętém w tysiące zmarszczek. Prosto ode drzwi rzuciła się ona ku starcowi, a przypadając do kolan jego i obejmując je ramionami, zawołała:

— Gewałt! gewałt!... tate!... nieszczęście! wielkie nieszczęście!

Judel zatrząsł się cały z wielkiego przestrachu.

— Gewałt! — krzyknął także. — Eli! Eli! mój syn, czy on umarł.

— Eli żyje, tate, i on tu do ciebie idzie! Powiedz ty jemu, żeby on naszego Abramka nie gubił, żeby on za nim policyi nie posyłał, żeby jego na granicy nie łapali!.. Aj! aj! mój Abramek! mój syn! mój najmilszy *bachores*.

Gdy żydówka tak lamentowała, u nóg starca leżąc i na naglące pytania jego zaczęła mu o czémś żydowskim szwargotem i urywanym głosem opowiadać, Mieczysław, domyślając się, iż szło tu o sprawy rodzinne, wyszedł z izby.

Opuściwszy dom Judela, młody Orchowski uszedł kilkaset kroków zaledwie, gdy na jednéj z krętych uliczek ujrzał, idącego naprzeciw siebie, Elego. Uliczka była tak wązka, że dwaj przechodnie otarli się niemal o siebie, a jednak Eli nie spostrzegł Mieczysława. Szedł on powolnym krokiem, z rękoma w tył założonemi, z pochyloną nizko głową i wzrokiem, utkwionym w ziemię. W bladéj, nieruchomej twarzy jego nie można było dojrzéć żadnych gwałtownych uczuć, ale malowała się na niéj ciężka jakaś, bezdenna zda się zaduma.

Minął Mieczysława, nie spostrzegając go; ale przed drzwiami ojcowskiego domu twarz w twarz

spotkał się z wybiegającą już na ulicę Chają. Na widok jego, kobieta z przeleknieniem przytuliła się do ściany domu. On stanął, popatrzył na nią i na dom, w którym mieszkał jego ojciec.

— Co ty tam robiła, Chaja? — zapytał smutnie lecz łagodnie. Ty memu staremu wszystko powiedziała! Oj, głupia, głupia kobieto! Ty myślała tylko o swoim synu, a nie pomyślałaś o tém, że możesz mego starego swojém gadaniem zabić!

Rzekłszy to, odwrócił się od żony i przyśpieszonym krokiem wszedł do domu ojca.

Judel leżał teraz w fotelu, z głową o tylną poręcz opartą, zmieniony strasznie. Na blade zapadłe policzki jego wystąpiły, po rozmowie z Chają, okrągłe plamy krwawych rumieńców. Oczy miał przymknięte, ręce bezwładnie złożone na poręczach fotelu; w ciężkim, chrapliwym oddechu, który podnosił wysoko zapadłą pierś jego, odzywały się głuche, przeciągłe jęki.

Eli, obrzuciwszy spójrzeniem zgorączkowaną widocznie, zesłabłą i przerażoną postać ojca, zatrzymał się przy progu i z pochyloną głową zdawał się przez chwilę namyślać nad czémś. Potém przystąpił do fotelu i, dotykając lekko dłonią ramienia starca, wymówił z cicha:

— Tate! tate!

Judel otworzył z wolna oczy i sprobował wycią-

gnąć ku synowi ramiona. Ale siły mu zabrakło. Ręce jego opadły znowu na poręcze fotelu.

— Eli! — jęknął — mój Eli! Co teraz stanie się z tobą? co stanie się z tobą?

Eli usiadł na stołku, tuż obok ojca, w zwyczajnéj swéj postawie, z dłońmi złożonemi na kolanach.

— *Tate!* — rzekł — ty o mnie nie lękaj się, mnie nie stanie się nic złego. Serce boli i przeboli! Pieniędzy mnie jeszcze zostało dużo! Ja za tym łajdakiem oczu sobie nie wypłaczę i z głodu, dziękować Bogu, nie umrę.

Mówił to z wyraźnym zamiarem uspokojenia i pocieszenia starca; ale na dnie piersi jego drgały suche, tajone łkania.

— Ja, *tate*, chciał z tego nieszczęścia sekret przed tobą zrobić. Ale kiedy tobie ta głupia kobieta o wszystkiem powiedziała, to ty, *tate*, nie martw się, a tylko jednę rzecz mi powiedz...

Przy ostatnich słowach, głos Elego zniżył się prawie do szeptu, a drgały w nim tony przerażenia pełne. Judel otworzył oczy, zwrócił je na syna i, podnosząc dłoń gestem poważnym, nakazującym niemal, rzekł uroczyście.

— Mów, Eli!

Eli mówił daléj:

— Ty, *tate*, gadał mi kiedyś, że ja względem Abramka wielką omyłkę zrobił. Jaka to była omyłka? w czém ja zawinił? Cały świat gada, że trzeba

teraz dzieciom wysoką edukacyą dawać, i ja jemu edukacyą dał. Czy ja źle zrobił? czy on byłby lepszy, żeby ja jego w ciemności trzymał? Oto piérwsze moje pytanie. A drugie takie: On napisał list do mnie, a w tym liście stoi, że on to tylko zrobił, czego ja sam chciał, i taki jest, jakim ja chciał, żeby on był. Gewałt! Gewałt! zkąd on takie rzeczy wziął? Czy ja chciał, żeby on żydów zapierał się? Czy ja chciał, żeby on rodzonego ojca i rodzonéj matki nie lubił? Czy ja chciał, żeby on kradł i jak złodziéj bez pasportu w świat uciekał?? Jednak dlaczego on napisał, że ja tego sam chciał? zkąd do jego głowy ta myśl przyszła? Ot, jakie drugie moje pytanie. A dwa te pytania palą się w mojéj głowie, jak dwa płomienie, i kąsają moje serce, jak dwa węże. Tate! tate! wyjm ty ze mnie te płomienie i te węże... powiédz ty mnie to, czego mój własny rozum powiedzieć mnie nie umié!

Judel milczał długo. Gorączkowe rumieńce zniknęły z jego policzków, które powlokły się znowu przezroczystą bladością. Siedział z przymkniętemi powiekami i głową odwróconą na tylną poręcz fotelu, aż nakoniec otworzył oczy, wyprostował się i wyrzekł z powagą:

— Eli, ja tobie na pytanie twoje odpowiem. Ja przez te wszystkie lata, którem tu przeżył, tylko myślał i z mądrym rabinem Boruchem rozmawiał i słuchał, jak on mnie czytał piękne, rozumne książki. Moje ciało odpoczywało, ale moja dusza pracowała

i dał jéj Pan Bóg tę łaskę, że ona zobaczyła wiele, i zrozumiała wiele, i teraz na pytanie twoje, Eli, odpowiedzieć mogę. Słuchaj mnie, synu, i te słowa, które ci ja powiem, rozumem swoim rozważaj. Pytasz się mnie, czy ty źle zrobił, żeś swemu Abramkowi edukacyą dał. Otóż ja tobie powiem: Ty, Eli, dobrze pomyślał, ale zrobił źle, bo ta edukacya, co ty ją jemu dał, była zła!

— Ta edukacya była zła? — wykrzyknął Eli. — A jaka ona mogła być? On chodził do tych szkół, do których chodzili wszyscy panicze...

— A czy ty nie widział takich paniczów, których edukacya była także zła? Kiedy rozumny człowiek co robi, to on siebie samego zawsze pyta: dlaczego ja to robię? A dlaczego ty Abramkowi edukacyą dawał? Ty myślał, żeby z niego był puryc i wielki urzędnik; ale ty nie myślał o tém, żeby z niego był człowiek. Twój Abramek ma edukacyą, ale rozumu nie ma, i twarz on ma dosyć gładką, i figurę delikatną, ale serce u niego chropowate i twarde. W jego głowie niéma żadnéj wiary, a w sercu żadnego kochania, i pod nogami swemi on gruntu żadnego nie ma. Jak on edukacyą dostał, to on żydowski grunt stracił, a innego ty jemu nie pokazał i nikt jemu nie pokazał; dlatego on chodził po świecie, jak człowiek, który nie ma o co oprzéć się, aż — upadł!

— Aj! upadł! upadł! — jęknął Eli.

Stary Judel przymknął znowu powieki, a kołysząc się z lekka i powoli na obie strony, mówił daléj:

— Nie jeden nasz Abramek teraz taki! Ja siedzę tu w mojéj izbie, ale ja widzę wiele i słyszę, bo tu różne ludzie przychodzą, i rabin Boruch przychodzi, i opowiada mnie o wszystkich rzeczach, co się teraz na świecie dzieją. Mnie serce od wielkich boleściów ściska się, kiedy ja o naszych młodych żydkach myślę, kiedy ja na nich patrzę i o nich słucham. Przyszedł teraz taki czas, że wielka edukacya stała się, jak ta szeroka rzeka, do któréj każdemu wolno przyjść i napić się z niéj. Nasze młode żydki przychodzą do téj rzeki i piją. Ale w téj rzece jest taka woda, która na wierzchu pływa, i taka, która aż na dnie znajduje się. Kto napije się téj wody, co pływa na wierzchu, robi się gładki i może zostać wielkim urzędnikiem lub doktorem. Ale kto napije się téj wody, co pod spodem cicho sobie szumi, ten dobry i rozumny, i słodki względem ludzi, i sprawiedliwy, i do dobrego ochotny. Nasze młode żydki piją tę wodę, która po wierzchu pływa, a jak oni jéj napiją się, to jak najprędzéj żydowski chałat z siebie zrzucają i trefne mięso zaczynają jeść, i z biednych żydów zaczynają śmiać się, i zapierają się tego, że ich braćmi są. Oni po francuzku i po niemiecku gadają, i czasem koczami jeżdżą, i u wielkich panów w pałacach bywają. Oni

przestali swoich braci lubić i swoję wiarę w sercu chować. A kogo oni na to miejsce polubili? jaką oni wiarę w swoje serce wzięli? Oni są, jak chorągiewki na dachach. W którą stronę wiatr powieje, w tę oni kręcą się. Oni nie lubią gadać o tém, że są żydami, ale gadają, że są Niemcy. A jak kto płacze i jęczy, i w wielkim żalu i ucisku jest, to oni od niego odwracają się tyłem, a jeśli przybliżą się, to dlatego, żeby jego nogą kopnąć i żeby on w większych jeszcze przepaściach utonął. Ot, jakie oni teraz są, te nasze młode edukowane Żydki!

Umilkł starzec, zmordowany długiém mówieniem, a choć słowa z cicha i z powagą z ust mu płynęły, krwiste plamy rumieńców okryły znowu głębokie wklęsłości jego policzków, a oczy płonęły ogniem silnego wzruszenia.

Eli, z łokciami opartemi o kolana i czołem na obu dłoniach złożoném, słuchał mowy ojca, nie czyniąc poruszenia najlżejszego. Czasem tylko wargi jego drgnęły boleśnie, albo wzrok oderwał się od ziemi i utkwił na chwilę w przestrzeni, z wyrazem głębokiego zdumienia lub namysłu.

Gdy stary Judel umilkł i dyszał ciężko a chrapliwie, Eli, nie podnosząc głowy i nie zmieniając postawy, wyrzekł krótko:

— Mów, tate, mów! Ty mi jeszcze wszystkiego nie powiedział... mów!

Stary Judel westchnął głęboko. Wzrok jego

ogarniał pochyloną głowę syna z dziwném pomieszaniem uczuć: obawy i surowości, tkliwości i powagi. Otworzył parę razy usta, aby coś wymówić, ale zawahał się; wargi jego drgnęły i nie wymówiły nic. Po chwili dopiéro podniósł nieco ręce, widoczném drżeniem poruszane, i zawołał:

— Eli! Eli! ja tobie powiem jeszcze jedno słowo! ważne słowo! Nasze młode żydki złe są dlatego jeszcze, że oni w domach ojców na złe rzeczy patrzą! Twój Abramek, Eli, na złe rzeczy patrzał i zrobił to samo, co ty robisz, tylko innym sposobem.

Tym razem Eli wyprostował się i osłupiałemi oczyma na ojca spójrzał.

— Tate! — zawołał — dlaczego ty mnie tak krzywdzisz? Co ja złego robił? Czy ja ciebie nie szanował? czy ja moich braci nie lubił? czy ja szabasów nie święcił i w bożnicy nie modlił się? czy ja komu co ukradł?

Starzec wyciągnął rękę gestem nakazującym milczenie i łagodnie, lecz stanowczo, wyrzekł:

— *Still, Sohn!* ja tobie zaraz moje straszne słowo wytłómaczę.

Milczał chwilę z przymkniętemi znowu oczyma, a potém otworzył je i mówił:

— U mnie dziś był pan Orchowski, syn naszego dawniejszego dziedzica, i on mnie wszystko powiedział, co ty robisz i jakie to interesa są, któremi ty zajmujesz się, i zkąd twoje bogactwo.

Na twarzy Elego odmalowało się widoczne i silne zmieszanie.

— Orchowski? — wyrzekł — on tu był? A zkąd on tu wziął się? a poco on tu przychodził?

— On ciebie szukał. Chciał z tobą rozmawiać. On chciał prosić ciebie, Eli, żebyś ty jego nie gubił.

Eli pochylił głowę i patrzył znowu w ziemię. Starzec mówił daléj:

— I ja od niego dowiedział się, że ty już wiele jego braci zgubił dla *korzyściów*, i że ty jego chcesz zgubić... Eli! Eli! dlaczego ty tak robił?

— Tate! — szepnął Eli — to goimy... to nie nasze bracia!

Stary Judel drgnął cały i wyprostował się, jak struna. Oczy jego zaświeciły dziwnym blaskiem, a usta długo drżały, zanim wyrzekły z mocą i uniesieniem:

— Eli! co ty powiedział? To nie twoje serce tak gadało, ale tylko twoja głowa, która nie miała nigdy czasu o takich rzeczach myśléć. Niektóre z naszych rabinów i wszystkie nasze hasydy gadają, że niby-to w talmudzie napisano jest, że żydom wolno oszukiwać goimów i gubić ich, i nękać. Ja w talmudzie nie bardzo uczony, i tego nigdy nie czytał, i nie wiem, czy to prawda; ale ja to wiem, że jeżeli te słowa tam są napisane, to one złe są i niegodne, i żebym ja mógł, tobym ja tę kartę, na któréj te słowa stoją, wygryzł z księgi własnemi zębami, i poszarpał palcami, i spalił

ogniem moich oczu, aby już jéj więcéj nie czytał Izraelita żaden!

Zatrzymał się chwilę dla odetchnięcia, a Eli, nie odrywając oczu od ziemi, wyrzekł zniżonym i jakby nieśmiałym głosem:

— Tate! wszak to nieprzyjaciele nasi!

Bolesny uśmiech przesunął się po zbielałych wargach starca.

— Nieprzyjaciele? — powtórzył. — Słuchaj, Eli! niech pamięć twoja cała zbierze się w twojéj głowie i niech tobie przypomni tę straszną porę, kiedy w naszéj biednéj chacie w Orchowie taka nędza była... kiedy ja roboty nie miał, a moja żona chorowała i z wielkich *boleściów* stękała, a wy na półkach leżeli i z głodu i chłodu jęczeli... Aż jednego dnia twój brat, Mendel, który wtedy małym bachurem był, zlazł z półki i poszedł w pole, i leżał w polu między zagonami, siny cały, jak umarły... Wtedy ojciec tego młodego pana, którego ty chcesz zgubić, przyniósł twojego brata na swoich rękach do naszéj chaty, a ta piękna panna, co wtedy jego narzeczoną była, oddała naszego Mendela jego matce, i cieszyła ją, i swoim oddechem moje sine dziecko rozgrzewała... I potém my już nigdy takiego głodu i takiéj nędzy nie cierpieli, bo pan Orchowski czynszu od nas nie brał, i kartofli nam dawał, i drzewa na opał; a jak twoja matka umarła, przyszedł znów sam do mojéj chaty, i mówił mnie dobre słowa, i w rękę mnie włożył dziesięć rublów. Ot,

jakim nieprzyjacielem naszym był ten pan, którego syna ty chciał zgubić! Czy ja tobie o tém nie mówił? czy ty tego nie pamiętał?

Eli milczał długo.

— Ty, tate, mówił mi kiedyś o tém, ale ja zapomniał i nigdy to wszystko przed pamięcią moją nie stanęło. Ale teraz ja przypomniał sobie... Ten pan Kajetan był dobry człowiek i wiele nam dobrego robił... Nu, to on jeden... ale oni wszystkie? co oni wszystkie nam żydom dobrego robią?

Starzec wstrząsnął głową pół-smutnie, półgniewnie.

— Gdzie to ty widział, Eli — rzekł — żeby człowiek, co sam nic nie ma, mógł drugim wiele dawać? A zresztą, co my, żydzi, dla nich robimy? My pod nimi doły kopiemy, my ustami swemi na nich plujemy, my do nich tyłem odwracamy się, my ich oszukujemy!

Tym razem Eli podniósł się ze stołka i, z uniesieniem wielkiém, z ogniem w oczach, zawołał:

— Ny, tate, to wszystko prawda! my im tak robim! Ale dlaczego oni takie pyszne, i takie rozrzutne, i takie głupie, że ich oszukać można?

Stary Judel zatrząsł się na ten wykrzyk syna. Ozwała się w nim namiętna, izraelska natura; namiętnie też zawołał:

— Dlaczego oni pyszne i rozrzutne i oszukiwać

dają się? A dlaczego my zabobonne i ciemne? dlaczego my szachraje? dlaczego my takie brudne?

Uspokoił się nieco po chwili, lecz zawsze z drżeniem głębokiego zmęczenia i wzruszenia mówił daléj:

— Jeden tylko Pan trzyma w rękach swoich sądy nad ludźmi. A człowiek... kiedy bardzo mądry jest i sprawiedliwy, to on wszystko bratu swemu, człowiekowi, przebaczy i śmiać się z niego, ani kamienować go nie będzie... Ale żeby człowiek mądry i sprawiedliwy był, trzeba, żeby on widział daleko, bardzo daleko... Jak on zobaczy początek wszystkiego, to zobaczy także, jak z różnych gruntów różne wyrastają ludzie, i jak na różnych drogach różne do nich przyczepiają się grzechy... On zobaczy, że z grzechów ojców wyrastają grzechy synów, jak jabłka z jabłoni, a potém spadają na ich głowy...

Ostatnie słowa Judel wymówił bardzo cicho. Stérane chorobą i wiekiem siły jego upadały i rwały się pod wpływem silnych wzruszeń, pracowitego natężenia myśli i długiego mówienia. W oczach jego, ogarniających wciąż spójrzeniem pochyloną głowę syna, zapalały się i gasły z kolei błyski dziwne, przypominające ostatnie drgania podnoszenia się i opadania gasnącego w lampie płomienia. Po chwili jednak, głosem zniżonym i drżącym, mówił jeszcze:

— Eli! Eli! ty jesteś bardzo rozumny, ale ty nie miał czasu... i ty o tém nie myślał i tego nie zrozumiał, że złe nie urodzi nigdy dobrego... że jeżeli nie-

szczęście wielkie nie jest synem wielkiego grzechu, to będzie ono jego wnukiem... ale zawsze będzie... Bo tak Pan Bóg w swojém prawie napisał, że pszenica rodzi tylko pszenicę, a z kąkolu wyrasta kąkol... nie dziś, to jutro... ale wyrasta... A gdzie dwóch ludzi na jednéj ziemi mieszka, tam oni sobie albo przyjaciele, albo wrogi muszą być. Jeżeli oni sobie wrogi, to jeden drugiemu w robocie przeszkadza i nieszczęście robi... a jeżeli oni przyjaciele, to jeden drugiemu pomaga i ze szczęścia jednego wyrasta szczęście drugiego... Ot, jak mój rozum gada. A teraz ty posłuchaj, jak gada moje serce.

Położył na piersi białą swą, przezroczystą dłoń i mówił znowu, ale ciszéj, coraz ciszéj:

— Jak mój mały Mendel wylazł z mojéj nędznéj chaty i leżał na polu, pomiędzy zagonami, siny cały od głodu i prawie nieżywy, tak lud żydowski wyszedł ze swego kraju i chodził po świecie, między innemi narodami, blady cały od wielkich strachów i *boleściów*, trzęsący się i uciekający od prześladowań strasznych. I tak, jak ten pan wielmożny, podjął mego Mendela z ziemi i wyratował jego od śmierci, tak wtedy był jeden naród na świecie, który lud żydowski do swoich *piersiów* przycisnął i na swojéj ziemi posadził, i żyć jemu w spokojności pozwolił. Eli! Eli! czy tobie twoje serce nic nie gada? czy twoje sumienie nie zatrzęsło się od tego wszystkiego, co ja tobie powiedział?

Eli milczał. Wzrok jego tkwił w ziemi; na całéj twarzy malowało się uczucie, podobne do przerażenia, jakie ogarnia człowieka wtedy, gdy spostrzega, że podwaliny, na których budował gmach całego życia swego, kruszą się i łamią, gdy czuje, że z wnętrza jego znikają, bezwiednie może, noszone dotąd uczucia i myśli, a wstępują do niego nowe, nieznane, i w sumienie jego i w serce zapadają głęboko. Podniósł po chwili powieki, z pod których ukazały się źrenice, zwilgocone wzruszeniem.

— Tate! — rzekł — powiédz ty mi jeszcze rzecz jednę. Jeżeli my, żydzi, pogodzim się z nimi i za braci swoich uważać ich będziemy, a dzieciom naszym *ich* grunt damy pod nogi, co będzie wtedy z zakonem naszym? Czy on zniknie razem z chałatami, które my z siebie pozdejmujem? Czy my pójdziem razem z nimi w ich kościołach modlić się i ich Bogu pokłon oddamy?

Judel nie odpowiadał długo. Pierś jego nie pracowała już tak gwałtownie, jak wprzódy, owszem, zdawało się, że spadł z niéj uciskający ją ciężar choroby, że wstępować w nią zaczynała głęboka jakaś, słodka cisza. Ale oczy starca wydawały się więcéj zapadłemi, niż przed godziną, a powieki jego, w dół zwisłe, i ręce, na poręczach fotelu złożone, uderzały martwą niemal nieruchomością. Po chwili dopiéro przemówił szeptem cichym i urywanym:

— Dwóch Bogów niéma, Eli. Jeden jest Bóg, Pan—dla nas i dla nich... Był u nas kiedyś mędrzec wielki... imię jego było: Hillel... Izrael zwał go słodkim Hillelem... On dwóch pogan, co do niego przyszli, nauczał zakonu... a co on im mówił? „Kochaj brata swego, jak siebie samego!" i powiedział im: „oto cały zakon, dany przez Pana... reszta z ludźmi przyszła i z ludźmi przejdzie"... I przyjdzie pora, że ludzie o zakon Pana kłócić się nie będą, ani wojen ze sobą prowadzić i jeden drugiego oszukiwać i gubić... Przyjdzie pora...

Umilkł, ale usta jego poruszały się długo jeszcze wewnętrznym, niedosłyszalnym szeptem. Na twarz całą padł mu blask dziwny; zdawało-by się, że spłynął na nią i oświecił ją łagodny, srebrny promień księżyca. Po chwili ręce jego drżące podniosły się nieco w górę:

— Eli! — szepnął — pójdź tu do mnie, blizko... niech ja na twojéj głowie ręce moje położę... Ty był zawsze gwiazdą w mojém oku... perłą najdroższą w koronie mojéj głowy... Ty rozumny i dobry!... Idź... idź do naszych *braciów* żydów i wołaj do nich wielkim głosem... żeby oni szli do światłości i... żeby oni z wielkiéj rzeki mądrości pili nietylko tę wodę, co pływa po wierzchu, ale i tę, co pod spodem cicho sobie szumi...

Po tych słowach milczenie zaległo w izbie. W kilkanaście sekund dopiéro potém, jak lekkie szemranie

w dal odlatującego wiatru, zaszeleścił śród ciszy szept starca:

— Niech błogosławieństwo Abrahama, Izaaka i Jakóba będzie z tobą!... niech twoje ciało będzie zawsze zdrowe, a twoja dusza... czysta!...

Wraz z ostatniém słowem Eli uczuł, że dłonie starca osunęły się z pochylonéj głowy jego. Tknięty okropnym błyskiem prawdy, porwał się z klęczek. Judel leżał na fotelu swym... nieruchomy.

Eli z głośnym okrzykiem rzucił się na ojca, dotykał głowy i rąk jego, obejmował go ramionami, całował jego czoło i policzki. Daremnie!... nic już głębokiego snu starego Judela przerwać nie mogło; tylko promień zachodzącego słońca, ukośnie przez okno padający, rzucił na białą, jak marmur, twarz umarłego żyda blask różany, i po śnieżnych włosach igrał mu rubinową wstęgą... A dusza jego?... O! jeżeli gdziekolwiek, po za tą ziemią kędyś wysoko i daleko, istnieje przybytek, w którym gromadzą się dusze, co ztąd, jak ptaki, odleciały—to dusza izraelskiego starca tego podążyła w sfery najwyższe i połączyła się z duszami wszystkich tych, którzy wielkimi i świętymi byli, nie przez panowanie, nie przez blask zewnętrznych bogactw lub powierzchowności cnót, ale przez dosięgnięcie pojęciem najwyższych, najświętszych prawd ludzkości, przez zawieszenie uczuć i wzroku na świetlistych szczytach jéj ideałów!

Czy zaśmiejecie się ze mnie, czytelnicy moi, jeżeli

wam powiem, że w żydzie Judelu, w owym krawcu ubogim, który przez lat dziesiątki żył suchym kawałkiem chleba i w podartém obuwiu roznosił sporządzone przez się roboty po okolicznych dworkach, że w tym wyrobniku pokornym, cierpliwym, nieuczonym i nieznanym, mieszkała wielka, błogosławiona dusza?

VII.

Z dala od labiryntu wązkich, krętych uliczek, składających żydowską dzielnicę, w innéj zupełnie stronie miasta, wśród czystego, świeżego powierza, wznosił się gmach wysoki i szeroki, w mnogie, wielkie, jasne okna, w obszerne dziedzińce i ogrody zaopatrzony. Był to przybytek nędzy, choroby i nieszczęścia wszelakiego, zostający pod strażą i opieką kilkudziesięciu niewiast, przybranych w czarne szaty i białe zasłony, a noszących wzniosłą nazwę Sióstr Miłosierdzia.

Gdy, w skutek naglących zaleceń lekarza i troskliwych starań państwa Fabianowstwa, do gmachu tego wniesiono i na łożu złożono młodą kobietę, któréj zapadłe policzki i czarne, wklęsłe oczy rozpłomienione były ogniem gorączki, z któréj ust wyrywały się co chwila nieprzytomne, bezładne wyrazy i wykrzyki; lekarz, przybyciu jéj obecny, stanął na progu wielkiéj, widnéj sali i usługującym tam kobietom zadał pytanie:

— Gdzie jest siostra Franciszka?

— Siostro Franciszko! — zawołało w odpowiedzi parę głosów niewieścich.

Na wołanie to, w oddalonym zakątku sali, z nad łoża boleści, przy którém klęczała, podniosła się z wolna kobieta w czarnéj szacie, z twarzą ocienioną fałdami białego kwefu i przyciszonym, łagodnym głosem wyrzekła:

— Oto jestem. Czy kto mię potrzebuje?

Lekarz wskazał jéj pokój, sąsiadujący z salą, niewielki, lecz widny, wysoki, w którym spoczywała świeżo przybyła chora.

Stanęli oboje we drzwiach pokoju. Zakonnica badawczém, troskliwém okiem rzuciła na powierzoną opiece jéj nieszczęśliwą istotę, i miała już zbliżyć się do łoża cierpiącéj, gdy lekarz zatrzymał ją gestem i spójrzeniem.

— Obraz zmienności losu, dziwacznych kolei przeznaczenia! — rzekł, wskazując na chorą. — Czy wiész, siostro, kto jest ta pani wynędzniała, przez wszystkich opuszczona, przytułek jedyny znajdująca pod dachem, pod którym chronimy naszych biedaków, nędzarzy? Jest ona córką możnego, dostojnego domu; była podobno piękną, majętną, wielbioną... potém zaś nizko, bardzo nizko upadła. Więcéj może, niż kto inny, potrzebuje ona duszy słodkiéj, cichéj i przebaczającéj, która-by nad nią czuwała. Dlatego téż powierzamy ją twojéj wyłącznéj opiece, siostro Franciszko.

Kobieta, do której zwrócone były te słowa, stała milcząca i, ze splecionemi na piersi rękoma, wpatrywała się w twarz choréj, jakby z góry już odgadnąć chciała wszystkie potrzeby jéj chorego ciała i wszystkie bóle, nurtujące nieprzytomnego teraz jéj ducha. Chorą kobietę ogarnął był sen gorączkowy, śród którego ręce jéj białe i chude poruszały się jednak niespokojnie pomiędzy opływającemi białą pościel falami kruczych włosów, a z ust jéj, szeptem bezdźwięcznym lecz wyraźnym, płynęły bezładne słowa.

— Orchów! — szeptała — zaprowadźcie mię do Orchowa!... Tam jest Mieczyś... mój brat... Ja wiem, Ildefonsie, że brat, czy obcy, to wszystko jedno... ale zaprowadź mię do Orchowa... do mego brata!...

Na odgłos tych wyrazów oczy zakonnicy szybko przeniosły się na twarz lekarza.

— Kto jest ta pani? — szepnęła.

— Lila Ręczycowa, z domu Orchowska, córka Kajetana Orchowskiego.

Pod czarną szatą zakwefionéj kobiety przebiegło ledwie dostrzegalne drgnienie. Szybkim, szybszym niż zwykle, a cichym bardzo krokiem przystąpiła do łoża i, schylona nad chorą, przeciągłe spójrzenie utopiła w jéj twarzy, jakby w tych rysach, zmienionych burzami życia, szukała słabego choćby odbicia obrazu jakiegoś, pogrzebanego głęboko w uciszoném i zrezygnowaném jéj sercu, lecz teraz podnoszącego się przed wzrokiem jéj pamięci w pełném świetle minio-

nėj dawno, choć nigdy niezapomnianėj przeszłości. Niema a smętna kontemplacya ta trwała przecież krótką tylko chwilkę, poczém miękkie, w sztuce łagodzenia cierpień wprawne, ramiona zakonnicy, otoczyły wiotką kibić choréj, starannie ułożyły ją na białéj pościeli i lekko, pieszczotliwie odgarniać poczęły z rozgorzałego jéj czoła splątaną gęstwinę włosów.

Lila otworzyła oczy... Przed wzrokiem jéj, w którym przebiegł chwilowy błysk przytomnéj myśli, jak gwiazdy smutne a łagodne, świeciły szafirowe, łzą osrebrzone, głęboko z pod bladego czoła patrzące, oczy siostry Franciszki.

— Kto tu jest przy mnie? — zapytała, siląc się na przypomnienie sobie i zrozumienie wszystkiego.

— Ja jestem przy tobie! siostra twoja w Bogu i ludzkości!

— Siostra? — zawołała chora z nieprzytomnym znów śmiechem — to nieprawda! niéma na świecie sióstr, ani braci!

Potém, wodząc oczyma dokoła siebie, z nowém wysileniem zapytała:

— Gdzie ja jestem?

— Jesteś, biedne dziecię, w przybytku cierpienia i pociechy, smutku i miłości...

Przeszywający śmiech zatrząsł piersią choréj. Oczy jéj rozgorzały.

— Miłości? — zawołała — nieprawda! miłości

wcale na świecie niéma!... Nic niéma!... zimno... ciemno... Ratujcie!

— Gwałtowne wstrząśnienia moralne... — szepnął lekarz, obok zakonnicy stojący — przeziębienie... siły wycieńczone!... Trudna, bardzo trudna będzie nam robota z tą chorą, siostro Franciszko!

W parę dni potém, do szpitalnego pokoju weszła wraz z lekarzem kobieta, osłonięta czarną woalką, spływającą ze skromnego kapelusza. Szybko przystąpiła do zakonnicy, czuwającéj nad łożem choréj, podniosła woalkę, a ukazując twarz, pełną cichego wzruszenia, rzekła:

— Jestem żoną Mieczysława Orchowskiego... *jéj* brata... Jeżeli pani pozwolisz, będę tu przepędzała jak najwięcéj czasu, aby, w razie powrotu choréj do przytomności, ujrzéć ona mogła, że nie jest opuszczoną, ni wzgardzoną przez swoich.

— Niech będą błogosławieni wszyscy, którzy w progi te wchodzą z miłosierdziem na ustach i przebaczeniem w sercu! — szepnęła siostra Franciszka.

Podały sobie ręce, a gdy lekarz badał stan choréj, usiadły jedna obok drugiéj we framudze okna. Oczy zakonnicy tkwiły długo w twarzy przybyłéj kobiety; policzki jéj, na które kwef biały rzucał przejrzyste cienie, zabarwiły się bladym rumieńcem wzruszenia.

— Jesteś pani żoną pana Mieczysława Orchow-

skiego? — zaczęła — mieszkasz więc... zapewne w Orchowie?

— Tak, siostro.

— Czy...

Tu pod ciężkiemi fałdami czarnéj sukni głos mówiącéj drgnął i zawahał się na chwilę.

— Czy byłaś pani kiedy w Białowoli?

— Nieraz... Czy znasz, siostro, to miejsce, że cię ono tak obchodzi?

— Urodziłam się tam i wzrosłam; pochowałam tam całą prawie rodzinę swoję i rozstałam się z krótkiém swém życiem światowém.

Michalina zdawała się tkniętą nagłém przypomnieniem jakiémś.

— A więc — zaczęła — jesteś, siostro, tą młodziuchną Franią, o któréj...

Zatrzymała się nagle i spuściła oczy, jakby żałując słów wymówionych. Ale miękka dłoń zakonnicy spoczęła na jéj ręku.

— Dokończ, pani — szepnęła.

W głosie jéj był dźwięk prośby. Michalina podniosła wzrok i śmieléj już dodała:

— O któréj Kajetan Orchowski długo, długo... z żalem i czułością mówił w przedchwili skonu synowi swemu...

Tym razem powieki opadły na źrenice siostry Franciszki. Dwie wielkie łzy wypłynęły z pod spusz-

czonych jéj powiek i stoczyły się na ręce nieruchomo splecione.

Michalina ze zdziwieniem patrzała na siedzącą obok niéj kobietę. Z ust męża swego znała jéj historyą, wiedziała więc, że nad głową tą, pochyloną teraz w głębokiéj zadumie, przepłynął już szereg lat długich. A jednak powierzchowność siostry Franciszki nie nosiła na sobie cech starości. Twarz jéj, o rysach ściągłych i łagodnych, gładka była, żadną zmarszczką nie zrysowana, a powlekała ją cera przejrzystéj niemal bladości. W szafirowych oczach jéj, lekko wklęsłych, płonął ogień spokojny, lecz świadczący o pełni uczucia i myśli. Na całéj powierzchowności jéj rozlewała się dziewiczość, niewyłączająca dostojnéj powagi, skupiona w sobie zaduma, nie wyłączająca czujnéj i gorliwéj czynności. Znać było, że dusza ta, niewinna a silna, boleśnie zraniona niegdyś, a teraz uspokojona, posiadała cudowny zdrój jakiś, w którym czerpała siłę wiecznego odmładzania się i odradzania. Zamyślenie jéj, jakkolwiek smutne snadź i głębokie, bo łzy z oczu jéj wyciskające, trwało bardzo krótko. Zaledwie lekarz odwrócił się od łoża choréj, szybkim, cichym krokiem przystąpiła ku niemu i z uwagą pełną skupienia słuchała jego zaleceń. Słuchała ich téż i Michalina.

— Pozwolisz, siostro, abym ci pomagała? — rzekła z prośbą w głosie.

Siostra Franciszka potwierdzająco skinęła głową.

— Będziesz mnie pani wyręczała wtedy, gdy starań moich zażądają inni.

Odtąd dwie te kobiety nie odstępowały ani na chwilę łoża chorej, czuwając nad nią razem lub z kolei.

Wieczorem, gdy zamykały się bramy zakładu, a rządząca w nim reguła nie dozwalała na pozostawanie w ścianach jego osób obcych, Michalina odchodziła, aby wrócić nazajutrz, o najwcześniejszéj, jak można było, godzinie.

Lila nie odzyskiwała już ani na chwilę przytomności; umysł jéj napełniony był wciąż strasznemi widziadłami, wśród których ukazywały się jéj najczęściéj obrazy pustyń jakichś i przepaści, przejmujące ją śmiertelną grozą. W ustach jéj powtarzał się ciągle prawie wyraz: *nic!* wymawiany przez nią czasem z martwém prawie zniechęceniem, czasem z gwałtowną rozpaczą i trwogą. Uczucie i pojęcie pustki jakiéjś bezgranicznéj ścigało wciąż nieprzytomne jéj myśli. Niekiedy, gdy wymawiała imiona brata i kochanka, w głosie jéj zdawała się przez chwilę dźwięczéć tęsknota; ale wnet potém wybuchała nieprzytomnym śmiechem i, niby ptak, wyuczony mechanicznego wymawiania słów pewnych, powtarzała słowo w słowo wszystkie przeczące, szyderskie zdania, przejęte z ust człowieka, który był piérwszym mistrzem uśpionéj niegdyś jéj myśli i ostateczną przyczyną jéj zguby. Raz tylko wspomniała niewyraźnie i prze-

lotnie o swém dziecku. Siostra Franciszka pochwyciła wzmiankę tę na jéj ustach.

— Czy ona ma dziecię? — zapytała, zwracając się do Michaliny.

— Tak; śliczne, pięcioletnie dziecię, które od kilku miesięcy zostaje w naszym domu. Teraz jednak przywiozłam je z sobą do miasta, sądząc, że przyjdzie może chwila, w któréj widzieć je i uścisnąć zażąda...

— Gdzież zostawiasz pani to dziecię, przychodząc tutaj?

— Zostawiam je pod opieką krewnéj i przyjaciółki mojéj, Róży Ręczycówny.

Na to imię, twarz siostry Franciszki zajaśniała ciepłém, przyjaznem uczuciem.

— Znam pannę Różę — rzekła. — Była chwila, w któréj, zmęczona życiem pustém i bezcelowém, jakie zmuszona była prowadzić w świecie, smutna, zniechęcona do macierzyńskiego domu, chciała wstąpić do zakonu naszego...

— A tyś jéj to odradziła, siostro Franciszko?

— Tak, bo zdawało mi się, że do naszego twardego życia dostatecznie usposobioną nie była, że zdolności jéj i skłonności wiodły ją na inną drogę. To téż udała się ona potém do pani i wiem dobrze, jaki wpływ stanowczy i zbawienny wywarłaś na umysł jéj i postanowienia.

— Nie mniéj téż, owszem, daleko więcéj, Róża

zawdzięcza tobie, siostro. Tyś piérwsza w serce jéj i umysł wlała to pogodne i rozumne uspokojenie, które tak konieczne jest dla dokonywania pracy wszelkiéj.

— Choroby moralne równie ciężkiemi i strasznemi bywają, jak choroby fizyczne. Leczyć jedne i drugie, o ile sił starczy, jest obowiązkiem naszym i jedynym celem naszego istnienia — z prostotą odparła zakonnica miłości.

Domawiała właśnie słów ostatnich, gdy do pokoju weszła dość młoda jeszcze kobieta, w skromnym ubiorze, z pięcioletniém dzieckiem, które wiodła z sobą za rękę. Była to Róża Ręczycówna, nie owa już rumiana, hoża, pół-płocha i zalotna, pół-rozdrażniona i gniewna dziewczyna, która matce swéj, pani Malwinie, towarzyszyła w sąsiedzkich wizytach; ale kobieta dojrzała i spokojna, ze świadomą siebie myślą na twarzy, z łagodną powagą w oku. Była to także znana w mieście całém z gorliwości swéj i wysokiego ukształcenia nauczycielka, dająca się od niedawna poznać w kraju, jako pracowita i utalentowana pisarka. Z wdzięcznym szacunkiem pochyliła się nad ramieniem siostry Franciszki, uścisnęła Michalinę i zbliżyła się do choréj.

— Biedna, biedna Lila! — szepnęła.

Lila nie poznała ani towarzyszki młodości swéj, ani swego dziecka.

Michalina tymczasem czytała we framudze okna

list, przez Różę jéj wręczony. Było to pismo Mieczysława, w którém donosił żonie, że w dniu poprzednim właśnie dokonał się urzędowy opis Orchowa.

„Po raz piérwszy w życiu — pisał Mieczysław — cieszyłem się z tego, żeś przy mnie nie była, żeś nie patrzała na akt ten, mający dla nas tak smutne znaczenie. Nie rozpaczam, hamuję w sobie zbyt gwałtowne uniesienie, ale z głębokim smutkiem w przyszłość naszę patrzę. Ratunku żadnego już nie widzę. Niegodziwiec, który jest sprawcą naszego nieszczęścia, pragnie podobno jak najprędzéj strony te opuścić; przedtém jednak chce wydrzéć od nas własność nieszczęśliwéj siostry mojéj, którą mu ona tak lekkomyślnie odstąpiła. Przyśpiesza on wszelkiemi środkami sprzedaż Orchowa, która téż zapewne wkrótce nastąpi. Jedyny człowiek, który mógł-by miéć na Porycklego wpływ niejaki, a dla nas dzielną stać się pomocą, Eli Makower, odbywa po śmierci ojca swego zwykłą u izraelitów ceremonią odsiadywania żałoby, podczas któréj nie wolno mu widziéć się, ani rozmawiać z nikim. Tak więc, na teraz przynajmniéj, żadnéj niéma nadziei! Bądź jednak mężną, Michasiu, i przedewszystkiém nie wracaj tu, nie odstępuj biednéj Lili. Jeżeli zdołamy uratować jéj życie, przygarniemy ją do serc naszych, a w jakąkolwiek stronę świata los nas rzuci, jakiekolwiek troski i ciężary dźwigać nam odtąd przyjdzie, podzielimy się z nią chlebem naszym i ciepłem naszego rodzinnego ogni-

ska, które, jako jedyne, lecz nieocenione dobro, całém i nienaruszalném wyniesiemy z rozbicia wszystkich najdroższych naszych zamiarów i nadziei."

Dzień za dniem przechodził, a Lila przytomności nie odzyskiwała. Nadeszło wreszcie przez lekarza zapowiedziane przesilenie choroby. Po nocy strasznie burzliwéj, w krzykach i szamotaniu się gwałtownem spędzonéj, chora otworzyła oczy omglone i, zupełnie prawie przytomnym wzrokiem powiodłszy dokoła, poznała stojącą u wezgłowia jéj Michalinę. Patrzała na nią długo i zdawała się zbierać rozpierzchłe myśli.

— Michasiu! — rzekła ledwie dosłyszalnym szeptem, a gdy przywołana kobieta pochyliła się nad nią, zapytała: — Czy was już wypędzono z Orchowa? czy bardzo, bardzo mną pogardzacie?

Siostra Franciszka przystąpiła do choréj z palcem do ust przyłożonym i zaleciła jéj milczenie. Lila wpatrywała się w twarz jéj przez chwilę.

— Nie wiem, kto jest ta pani — szepnęła — ale śniłam o niéj ciągle... ciągle... Zdawało mi się, że to anioł... tylko, że czarną suknią ma na sobie...

Poruszyła się żywiéj nieco na pościeli i znowu napół nieprzytomnie spytała:

— Czy widzieliście kiedy czarną lilią?...

Umilkła i zamknęła oczy. Michalinie powrót ten do pamięci i przytomności wydał się zwiastunem

blizkiego wyzdrowienia. Siostra Franciszka jednak, po chwili zastanowienia, wstrząsnęła smutnie głową.

— Nie zawsze tak bywa! — szepnęła żonie Mieczysława na ucho, myśl jéj zgadując.

Obie kobiety z niepokojem żywym wpatrywały się w lekarza, gdy w pół godziny potém przybył dla odwiedzenia choréj. Chłodna jednak i poważna twarz człowieka nauki nie zdradzała niczém myśli jego. To téż wysunęły się one za lekarzem i, przymknąwszy drzwi za sobą, rozmawiały z nim dość długo. Gdy wróciły na zwykłe swe stanowisko, ujrzały Lilę siedzącą na łóżku, z włosami w nieładzie i z twarzą zalaną łzami.

Oczy jéj pałały.

— Słyszałam wszystko — rzekła słabym bardzo głosem. — Doktor mówił, że żyć nie będę... że siły moje wyczerpały się zupełnie... że... zgasnę, jak świeca... Zresztą — dodała po chwili, opadając na poduszki — mniejsza o to! Co mi po tém pustém, strasznem życiu... w którém nic niéma... nic! nic!

Zamknęła znowu oczy, a z pod powiek jéj na twarz śmiertelnie bladą spływały łzy obfite.

Dwie czuwające kobiety zamieniły spójrzenia pełne boleści. Właściwa pewnym chorym delikatność słuchu i niespokojna ciekawość Lili pozwoliły jéj dosłyszéć słowa lekarza, chociaż za drzwiami pokoju i bardzo cicho wymówione. Usiadły przy łożu i miały właśnie odezwać się do choréj słowami uspokoje-

nia, gdy ona, nie otwierając oczu, ozwała się nagle i dość głośno.

— Po co ja żyłam?

Potém, przez kilka godzin, nic już więcéj nie powiedziała. Posłusznie, machinalnie prawie przyjmowała lekarstwa, które podawała jéj siostra Franciszka, ale nie otwierała oczu i nie podnosiła głowy z poduszek. Na czole jéj, powlekającém się coraz głębszą bladością, spoczywała milcząca, na-pół posępna, na-pół apatyczna zaduma; pierś podnosiła się słabo, zaledwie dostrzegalnie.

Nad wieczorem, wezwana przez Michalinę, przybyła Róża, z małym synem Lili. Siostra Franciszka wzięła dziecię za rękę i przyprowadziła je do łóżka.

— Lilo! — szepnęła Michalina — spójrz na Konradka!

Otworzyła oczy i patrzała na dziecko z razu dość obojętnie. Potém jednak poprosiła, aby umieszczono je blizko przy niéj. Z wysileniem widoczném ujęła drobną rączkę chłopczyny, który spoglądał na nią szeroko otwartemi, zdziwionemi oczyma. Widocznie nie poznawał matki, zmienionéj bardzo, a od dawna niewidzianéj.

— Konradku! — szepnęła chora — czy nie poznajesz mnie?

Dziecku na płacz się zbierało. Wystraszonym wzrokiem szukał on wciąż twarzy Michaliny.

— Konradku! — żywiéj już i jakby niepokojem

jakimś tknięta powtórzyła chora — popatrz na mnie... ja jestem twoją mamą!..

Na te słowa dziecię, jakby przestraszone, zeskoczyło z łóżka i, wyciągając ręce ku Michalinie, zawołało:

— To moja mama!

Lila nie rzekła nic. Bolesne tylko drgnienie przebiegło po jéj twarzy. Legła znowu śród bieli poduszek nieruchoma, z zamkniętemi oczyma.

Około północy ocknęła się i, zapuszczając wzrok w głąb' sali, zdawała się z wysileniem wielkiém ścigać wzrokiem krzątającą się w przyległéj sali siostrę Franciszkę.

Widać było, że chciała ją przywołać, ale zbrakło jéj głosu i siły. Natomiast od łoża jéj podniosła się Michalina i spełniając życzenie choréj, przywołała do niéj zakonnicę.

— Chciała-bym z panią pomówić—szepnęła Lila, gdy siostra Franciszka zbliżyła się do niéj i usiadła na krawędzi jéj łóżka.

— Nazywaj mnie siostrą, drogie dziecię — szepnęła zakonnica, przesuwając ręką po splątanéj gęstwinie jéj włosów.

— Niéma na świecie sióstr ani braci! — opryskliwie rzuciła chora. — Wszystko to przesąd!

Zakonnica nie odpowiedziała nic. Pochyliła się tylko niżéj i z jednostajną łagodnością zapytała:

— O czém chciałaś mi mówić?

— Czy pani dawno tu jesteś? tu, w tym domu, gdzie sami tylko chorzy i nieszczęśliwi?

— Bardzo dawno — odparła zakonnica.

— Dlaczego pani zostałaś siostrą miłosierdzia?

Siostra Franciszka odpowiedziała spokojnie:

— Nie widziałam dla siebie szczęścia śród świata i chciałam być, o ile mogłam, użyteczną cierpiącym braciom moim.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Chora przerwała je piérwsza:

— Może pani rozgniewa się na mnie... ale cóż to mnie już teraz obchodzić może? Czy pani wprzód jeszcze... dawniéj... dawniéj kochała kiedy kogo?

Tym razem na spokojnéj twarzy siostry Franciszki wybiło się żywe wzruszenie i chwilowe wahanie się. Sądziła jednak, że powinnością jéj jest odpowiadać na pytania téj do dna zaniepokojonéj, w przedchwilę śmierci ciężko łamiącéj się z samą sobą, duszy.

— Tak — odparła po chwili milczenia — kiedyś... kochałam.

Oczy choréj błysnęły. Wkrótce przecież, znużona, przymknęła je i rzuciła krótkie pytanie:

— Kogo?

— Człowieka z piękną, szlachetną duszą, ale słabą wolą.

— A on kochał panią?

— Chwilę.

— A potém?

— Potém... pojął inną za żonę.

Lila otworzyła znowu oczy, które teraz jaskrawym zapaliły się blaskiem.

— O! jakże go pani znienawidzieć musiałaś... jak musiałaś mu złorzeczyć!

Przerażenie nieledwie odmalowało się na twarzy siostry Franciszki.

— Ja — wyrzekła — miała-bym nienawidzieć? O! drogie dziecię! nienawiść jest brzydkiém bardzo uczuciem i dziękuję Bogu, że nie miało ono nigdy przystępu do serca mego. Ja *jego* zawsze kochałam, tak jak za piérwszych dni młodości, błogosławiłam życiu jego i codziennie przy modlitwie każdéj posyłałam do Boga jego imię...

— Kochałaś go pani?... tyle lat... nie widząc?...

— Tak, dziecię, i dziś jeszcze, choć on już nie żyje, wspomnienie o nim pozostało we mnie czystém i świętém.

— I nie pokochałaś już pani nigdy nikogo więcéj?

— Nigdy, nikogo, dziecię!

Lila milczała znowu, a potém z gorączkową ciekawością pytała daléj:

— A gdy pani zamknęła się już w tych murach, gdy przestałaś widywać świat i ukochanego swego, a widziałaś tylko same cierpienia i słyszałaś same jęki, czy nie tęskniłaś pani, nie cierpiałaś?

— Tak, dziecię, cierpiałam wiele!

— A! — zawołała chora i w oczach jéj błysnęło

dziwne jakieś wewnętrzne uradowanie,—nie byłaś więc pani szczęśliwą?

— Owszem, dziecię moje, bywałam i bywam nieraz bardzo szczęśliwą!

Szyderski uśmiech przebiegł po białych ustach Lili.

— Cierpiałaś pani i byłaś szczęśliwą?... nie rozumiem tego!

— Miewałam i miewam chwilę wielkiego szczęścia...

— A! teraz rozumiem! Musiałaś pani od czasu do czasu widywać człowieka, którego kochałaś.

— Od chwili, w której przestąpiłam te progi, nie widziałam go ani razu, a on nie wiedział, gdzie i czy żyję... Ale, biedne dziecię moje, bywały dnie i noce takie, w których siadywałam nad łożami istot ludzkich nieszczęśliwych, na ciele chorych, na duszy starganych...

Przerwała sobie na chwilę. Ciężko jéj było stawiać obraz wewnętrznych, świętych uciech swych przed oczy kobiety, ściganéj i dręczonéj przez mroźne widma pustki i nicości. Ale ona nalegała.

— I cóż? cóż pani?

— Wtedy — ciągnęła daléj siostra Franciszka— gdy, dłonią moją opatrzona, usypiała snem słodkim i krzepiącym zbolała głowa bliźniego, gdy, słowam memi ukołysane, milkły choć na chwilę burze jego ducha, gdy skłoniłam go, aby zwątpiały i upadający

pod brzemieniem sierocéj doli wzniósł oczy ku niebu i do Boga zawołał wraz ze mną: „Ojcze mój!"—wtedy byłam szczęśliwą... i dziękowałam Bogu za tę moc pociech i ulg, którą złożył w mych ręku tak, jakbym może nigdy Mu dziękować nie mogła za wszystkie bogactwa i uciechy świata.

Nieśmiała z razu i wahająca się twarz siostry Franciszki zajaśniała przy ostatnich wyrazach blaskiem czystym i gorącym, a splecione ręce jéj podniosły się w górę, poruszeniem pełném radości.

Lila nie spuszczała z niéj oczu.

— Dziwna rzecz!—szepnęła—dziwna! dziwna...— A jednak — dodała po chwili niemej zadumy — jest na świecie jedna tylko świątynia i jeden ołtarz... osobistego szczęścia!

Domawiała właśnie ostatnich wyrazów, gdy do mrocznego pokoju, z oddalonéj strony gmachu, przypłynął dźwięk jakiś dziwny.

— Franiu, Franiu! — wołał śród ciszy nocnéj głos przeciągły, żałosny.

Siostra Franciszka wyprostowała się i uczyniła poruszenie takie, jakby powstać i odejść miała.

— Kto to pani woła? — zapytała Lila.

— Brat mój... obłąkany...

— Gdzież on jest?

— Tam, w przeciwległéj budowli, gdzie mieszkają wszyscy nasi obłąkani...

— I to brat pani rodzony?

— Rodzony... pozbawiony rozumu od dzieciństwa.

— Pocóż on pani woła?

— Chce mię ujrzéć zapewne... woła tak zawsze, gdy mię długo nie widzi.

— I pani nie lękasz się obłąkanego człowieka.

— Pielęgnuję go od najmłodszych lat moich... Wyjednałam u zwierzchności naszéj, aby go tu umieszczono przy mnie.

— Dlaczego pani to uczyniłaś?

— Jest to mój brat!

— Franiu! Franiu!—powtórzyło się oddalone wołanie, ze zdwojonym teraz, żałośliwym dźwiękiem.

Zakonnica powstała i zmierzała ku drzwiom. Lila wiodła za nią wzrokiem.

— Siostro! — zawołała nagle.

Po raz piérwszy imieniem tém nazwała swą opiekunkę.

— Czego chcesz, dziecię moje?

— Jesteś dobrą, siostro, bardzo dobrą!.. Czy uczynisz dla mnie to, o co cię będę prosiła?

Odpowiedzią na to pytanie był pocałunek, który siostra Franciszka złożyła na jéj czole.

— Powiedz mi, siostro... — zaczęła Lila, ale nie dokończyła z razu. Pierś jéj podnosiła się szybko i ciężko, w zmąconych oczach migotały błyskawice.

— Nie byłam szczęśliwą — ciągnęła daléj — nic nikomu dobrego nie zrobiłam... Chciała-bym wiedzieć... poco żyłam?

Usłyszawszy dziwne to pytanie, zakonnica pochyliła się nad nią i długo, łagodnie, z cicha mówiła jéj słowa uspakajające. Słowa te przecież nie trafiały snadź do umysłu ni serca Lili, bo twarz jéj nie utraciła ani na chwilę wyrazu dręczącéj niespokojności. Parę godzin potém przepędziła znowu w milczeniu i nieruchomości zupełnéj. Nad ranem cichym głosem przywołała do siebie Michalinę.

— Michasiu — rzekła — czy ty bardzo kochasz Mieczysia?

— Lilo — odparła kobieta — brat twój jest mi droższym nad wszystko!

— I nigdy nikogo, prócz niego, nie kochałaś?

— Nigdy, Lilo.

Milczała chwilę. Potém zapytała znowu z wyraźném drżeniem w słabym głosie:

— Michasiu! czy ty jesteś szczęśliwą?

— Bardzo, zupełnie szczęśliwą — odparła kobieta.

Chora gwałtownym ruchem zarzuciła obie ręce nad głowę.

— I ta jest szczęśliwą! — szepnęła — wszystkie one szczęśliwe!... Czemuż ja...

Umilkła i zwróciła twarz ku ścianie. Usta jéj szeptały niewyraźne słowa jakieś.

O bardzo wczesnéj godzinie rankiem do pokoju choréj weszła Róża.

Chora zwróciła twarz ku pokojowi, a poznając Różę, zawołała na nią, aby się zbliżyła. Promyk tajemnego zadowolenia przesunął się po posępnéj jéj twarzy.

— Róziu! — zaczęła — dlaczego ty nie zostałaś przy swojéj matce, przy cioci Malwinie?

— Mama teraz nie ma swego domu. Zresztą chciałam mieć zajęcie jakieś... jakiś cel życia.

Wlepiła w nią wzrok badawczy, przenikliwy.

— Czy ty, Róziu, szczęśliwą jesteś?

Dziewczyna zawahała się. Boleśnie jéj było przyznawać się do szczęścia wobec téj niedoli·

— Jestem spokojną i zadowoloną — odrzekła.

Chora wypuściła rękę jéj ze swéj dłoni i z głębokiém westchnieniem rzuciła się na poduszki. Po chwili jednak szepnęła znowu:

— Róziu! wszyscy mówią o tobie, że jesteś bardzo rozumną, że książki piszesz... Musisz więc wiedzieć... i powiész mi... ale powiész prawdę?

— Mów, mów, Lilo!

— Nachyl się ku mnie, blizko... bo sił już nie mam.

Róża pochyliła się tak, że uchem swém dotykała niemal ust choréj. Wtedy dwoje czarnych, palących się źrenic wpiło się w twarz jéj myślącą i łagodną, spojrzeniem pełném uporczywego, gwałtownego błagania, a drżące wargi choréj szepnęły:

— Powiédz mi... poco ja żyłam?

Całą odpowiedzią na wracające wciąż to pytanie były łzy, które błysnęły w oczach trzech obecnych kobiet.

Około południa, Mieczysław, smutny, poważny, stanął w progu pokoju.

Lila, która od dwóch godzin mówić i poruszać się przestała, otworzyła oczy. Na widok brata twarz jéj drgnęła, a ramiona, ostatniemu wysileniu woli posłuszne, wyciągnęły się ku niemu.

— Mieczyś! — wymówiła nieco głośniéj. — Przyszedłeś do mnie... nie pogardzasz mną... czy mi przebaczysz?

Pochylił się nad nią i gorące pocałunki złożył na czole jéj i ręku. Cóś, jakby uśmiech ulgi i słodyczy, przesunęło się po drętwiejących jéj ustach, które przecież wyszeptały jeszcze:

— Ty taki dobry jesteś... Mieczysiu!... ty mi powiész...

I raz jeszcze wyraz błagalny, pokorny, pełen bólu przeszywającego i prośby, rozjaśnił mącące się jéj źrenice. Z wysileniem wielkiém zarzuciła obie ręce na szyję pochylonego brata i ledwie dosłyszalnie rzekła:

— Powiédz mi... poco ja żyłam?

I to było już ostatnie słowo biédnego jéj życia.

VIII.

Eli Makower, ubrany w bezkształtną szatę z grubego płótna, przez dziewięć dni spełniał żałobny izraelski obrządek, siedząc na nizkiéj ławie i posypując głowę swą popiołem. Spełniała obrządek podobny i żona jego, Chaja, i starsze dzieci jego. Milczenie i smutek głęboki zalegały przez czas ten tak gwarne przedtém, wesołe, pełne ruchu mieszkanie. Chaja przecież kiedy niekiedy wydawała zniżonym głosem rozporządzenia gospodarskie, a czasem téż, przypominając sobie najulubieńszego, utraconego dziś syna, zapłakała głośno.

Ale Eli, wciąż milczący, siedział z głową w obie dłonie ujętą i myślał. Po raz piérwszy przepędzał on czas tak długi w ciszy zupełnéj, w oddaleniu od zewnętrznych spraw świata, w nieprzerwaném rozważaniu ubiegłych lat życia.

Gdy nakoniec dziesiątego ranka powstał z ławy, przywdział na siebie strój swój zwyczajny

i, wziąwszy czapkę, wyjść miał na ulicę, Chaja zatrzymała go przy drzwiach.

— Eli! — rzekła, — na włosach twoich pozostało jeszcze dużo popiołu. Pozwól, niech go otrząsnę!

Powiodła dłonią po włosach męża, ale to co mniemała być popiołem, nie spadało z jego głowy.

— Hörst! — zawołała Chaja, — co to jest? Ty, Eli, dużo siwych włosów na głowę swoję dostał.

Eli zbliżył się do lustra i, spojrzawszy na włosy swe, które w istocie przez dziesięć dni ubiegłych z rudawych i lśniących stały się popielatemi, nie rzekł ani słowa i wyszedł na miasto.

Udał się najprzód do ustronnéj kamieniczki, w któréj mieszkał Ildefons Porycki. Wszedłszy na schody, usłyszał w pokojach na piérwszém piętrze donośny, swarliwy głos kobiecy, panujący nad chórem dziecinnych głosików.

— Kto tam mieszka? — zapytał służącego, który ukazał się na schodach.

— Żona i dzieci pana Agenta, — odpowiedział służący.

— A gdzie podziała się ta pani, co tu wprzódy mieszkała?

— Ta pani umarła wczoraj w szpitalu sióstr miłosierdzia.

Usłyszawszy odpowiedź tę, Eli stał chwilę z po-

chyloną głową; potém zaczął zwolna w zamyśleniu wstępować na drugie piętro domu.

Rozmowa Elego z głównym Agentem Domu pośrednictwa nie trwała dłużéj nad pół godziny, poczém Żyd, chowając papier jakiś do kieszeni, opuścił kamieniczkę i udał się do jednego z hotelów miejskich.

— Czy mieszka tu pan Mieczysław Orchowski — zapytał hotelowego sługę.

Odpowiedź była twierdząca.

— A jest teraz w domu? Gdzie jego pokój?

Wskazano mu pokój Mieczysława.

Mieczysław, na widok wchodzącego Izraelity, podniósł z nad dłoni twarz bladą, zmęczoną bolesnemi wzruszeniami i powitał przybyłego z chłodną powagą. Eli laskę swą umieścił w kącie pokoju i, na milczący gest gospodarza, usiadł naprzeciw niego na krześle. Usiadł, obie dłonie złożył na kolanach, pochylił nieco głowę i milczał. Rozmowa, którą prowadzić miał, była mu snadź tak nadzwyczajną, że nie wiedział, jak i od czego ją zacząć.

Mieczysław z lekkiém zdziwieniem przypatrywał się chwilę zmienionéj twarzy Elego, głębokim bruzdom, które poryły czoło jego, i gęstéj siwiźnie, przypruszającéj jego włosy.

— Wydajesz mi się pan, panie Makower, zmienionym bardzo... — zaczął piérwszy.

Eli podniósł na twarz jego spojrzenie.

— Pan zmienił się także bardzo... bardzo!... — rzekł. — Żebym ja nie wiedział tego, co wiem, to mógłbym myśleć, że pan tylko co wstał z ciężkiéj choroby.

— Cóż dziwnego? — odparł Mieczysław. — Siostra moja wczoraj umarła.

— A pięć dni temu urzędnicy opisali panu Orchów, — dokończył Eli.

Mieczysław nic na uwagę tę nie odpowiedział. Zdawało się, że odbiegła go wszelka chęć odzywania się do serca lub sumienia człowieka, którego miał przed sobą. Po chwili jednak milczenia rzekł:

— Obaj, panie Makower, ponieśliśmy w tych czasach straty ciężkie i bolesne. Słyszałem że ojciec pana, ten sędziwy i zacny starzec, którego poznałem niedawno, żyć już przestał.

Eli podniósł ku niemu wzrok zwilgocony.

— Dziękuję panu, — rzekł, — że pan dobrze wspomniał o moim starym ojcu. Ja jego kochał i szanował i strzegł, jak oka w głowie. On umarł... Nu, cóż robić? taka już koléj na świecie, że starzy ludzie umiérają...

Zatrzymał się chwilę, a potém mówił daléj:

— Że ja straciłem ojca i jak ja jego straciłem, o tém wszyscy ludzie wiedzą. Ale ja stracił także syna mego najstarszego, którego ja najwięcéj ze wszystkich dzieci moich lubił, i stracił dużo

piéniędzy, a jakim sposobem, o tém ja nie powiem nikomu, bo to największy mój wstyd i największa moja boleść.

Milczał znowu chwilę.

— Ja jestem teraz, — ciągnął daléj, — jak ten podróżny, co długo, długo prędkim krokiem szedł jedną drogą i myślał, że to droga dobra, aż nagle zobaczył, że droga ta prowadzi do smutków i do błota...

Podniósł wzrok na twarz Mieczysława i zapytał:

— Jak pan myśli? co zrobić powinien taki podróżny, który widzi, że droga jego jest niedobra i że, idąc nią, zrobił wielką omyłkę?

Mieczysław, który ze wzrastającém zajęciem patrzył na mówiącego tak Izraelitę, wszedł w myśl jego i odpowiedział:

— Podróżny taki, panie Eli, jeżeli ma jeszcze dość chęci i sił po temu, powinien opuścić drogę, którą uznał za niedobrą, i wejść na inną.

— Tak i ja myślę zrobić, — rzekł Eli z uśmiechem, który rozjaśnił pobladłą twarz jego.

Wyprostował się, oko mu błysnęło.

— Nie jestem ja jeszcze stary człowiek, — rzekł, — i sił mam w sobie dużo. I dzieci ja mam młodsze, o których myśléć mi potrzeba, żeby one nie zginęły, tak jak *tamten* zginął; i sumienie ja

mam, które muszę oczyścić; i ojca starego ja miał, którego muszę posłuchać!...

Mówiąc to, wyjął z kieszeni surduta arkusz papieru, we czworo złożony, i rozwinąwszy go, położył na stole przed Mieczysławem.

— Niech pan na to pismo okiem swojém rzuci, — rzekł, — i niech pan z niego z wielką pociechę do serca swego weźmie.

Mieczysław przebiegł oczyma podane sobie pismo, a na twarzy jego ukazało się zdumienie, zmieszane z radością. Było to własną ręką Głównego Agenta nakreślone formalne pokwitowanie z odbioru sumy, w skutek przekazu Lili od Mieczysława mu należnéj. Pokwitowanie to, przedstawione właściwym władzom, uchylić miało grożącą majątkowi Orchowskiego sprzedaż publiczną.

— Jakim sposobem zdołałeś pan uzyskać to pokwitowanie z sumy, którą w każdym razie synowi Lili wypłacę kiedyś co do grosza? — zapytał Mieczysław, uderzony tym niespodziewanym postępkiem Izraelity.

— Jakim sposobem ja od tego łajdaka pisanie to wydarł? — uśmiechając się, przerwał Eli. — Nu, już ja na niego wiele sposobów miałem. On był w mojéj mocy; ja o nim różne takie rzeczy wiedział, że gdybym mu kazał przez kij skakać, to on-by skakał. Ale jeżeli pan myśli, że to już wszystko, z czém ja dziś do pana przyszedł, to pan się

bardzo myli. Niech pan posłucha o tém, co ja panu jeszcze dziś przyniósł...

Milczał przez chwilę, jakby myśli swe zbierał i rozjaśniał, a potém zaczął znowu:

— Pan jest dobry gospodarz i pracowity człowiek, ma pan głowę uczoną i ręce nieleniwe; ale to nic nie pomoże... Pan w swoim Orchowie nie zaprowadzi takiego gospodarstwa, jakie tam powinno być, dopóki pan nie będzie miał gotowych pieniędzy, i na postawienie nowych budynków, i na inwentarz, i na oszuszenie téj wielkiéj łąki, co to za lasem kępami już porasta, i na inne jeszcze rzeczy. A zkąd pan teraz może wziąć gotowych pieniędzy? Jeżeli pan ich pożyczy od naszego Szwarca, to on od pana pięćdziesiąt procent na rok weźmie, a za rok, jak pan jemu nie odda, on poda do sądu i znowu panu Orchów opiszą... Ale panu trzeba pieniędzy, i ja ich panu pożyczę... nie na pięćdziesiąt procent, jak Szwarc... Eli Makower, chwalić Boga, lichwiarzem nigdy nie był... ja ich panu na dziesięć, nu, na ośm procent pożyczę... Ja pieniędzy dużo stracił, to prawda, ale zostało mi ich jeszcze niemało.

Mieczysław powstał, zdziwiony i wzruszony.

— Dziękuje panu, — zaczął, i ku Elemu dłoń swą chciał wyciągnąć; ale Izraelita, nie przyjmując podawanéj sobie ręki, rzekł:

— Niech mi pan ręki nie podaje, dopóki my naszéj rozmowy z panem nie skończymy. I niech pan mnie nie dziękuje, dopóki pan się nie dowié, czego ja za to wszystko, co dla pana zrobiłem i zrobię, wzajemnie żądać będę. My żydzi,—dodał z uśmiechem,—nie przywykli nic darmo robić, ani dawać. A najprzód, jak ja panu moje pieniądze pożyczę, to pewny będę, że pan mi je z umówionym procentem odda, bo wiem, że pan jest człowiek akuratny, pracowity i liczyć umié. Względem tych pieniędzy więc, co ja ich pożyczę, gadania i dziękowania być nie powinno. Ale jak pan swój Orchów dobrze zagospodaruje, jak się w nim będzie rodzić bardzo dużo żyta i pszenicy, to ja z tego wielkie także wyciągnę korzyści. Mnie się zdaje, że ze wszystkiego, co ja wprzódy powiedział, pan już odgadł, że Agentem Domu pośrednictwa ja dłużéj nie będę.

Ja umyślił sobie do kupieckiego stanu powrócić, a jak ja kupcem znowu zostanę ,i w orchowskich stronach zamieszkam, to im więcéj tam będzie naokoło bogactwa i urodzajności, tém większy dla mnie handel i zarobek. Otóż ja chcę kupować wszystko, co pan będzie miał do sprzedania, po takich cenach, jakie wypadną, a tylko z góry pana proszę, żeby pan mnie piérwszeństwo zawsze zostawiał i żebym ja mógł nazywać się orchowskim kupcem.

Słowa powyższe Eli mówił z zupełną śmiałością i pewnością siebie. Znać było, że, obrachowując korzyści materyalne, jakie dla stron obu wyniknąć mogły z zawieranego przezeń przymierza wzajemnéj pomocy, znajdował się on na właściwym sobie, dobrze znanym i zbadanym gruncie. Trudniéj mu znacznie przychodziło wyrazić swe myśli, tyczące się bardziéj oderwanych przedmiotów... a jednak do wyrażenia ich przywiązywał on snadź wagę wielką, bo po chwili, nieśmiały trochę wzrok podnosząc na Mieczysława, zaczął znowu:

— Mój stary ojciec miał ze mną przed śmiercią swoją długą rozmowę. Ach! jaka to była rozmowa! A w téj rozmowie on mnie powiedział, że jak różne narody idą od początku swego stworzenia po różnych drogach, tak do nich przylepiają się różne wady i grzechy. To wielka prawda; ale ja sobie w mojéj głowie to jeszcze do niéj dodał, że przylepiają się do nich i różne zalety, do tych takie, a do tamtych inne. My żydzi daléj widzim od panów; tam, gdzie idzie o pieniądze, o korzyści, każdą robotę około tego prędzéj od panów zaczniem, a jak już zaczniem to chodzim koło niéj pilnie. My przewidujący jesteśmy i cierpliwi, my kawałkiem chleba z główką cebuli możem żyć, byle tylko tego dobić się, czego chcemy. A dlaczego my tacy jesteśmy? Dlatego, że nasi ojcowie i dziadowie tacy byli, i nas do tego przyuczyli, i w krew naszę

i w nasze serce to weszło. U panów z takiemi rzeczami bardzo kiepsko idzie. Dlatego panowie biedne robią się i bardzo dużo tracą i cierpią. Ale panowie mają to, czego u nas niéma. Panowie mają delikatny rozum i dobrze wiedzą, co to honor, co to edukacya i jaka ona powinna być, żeby ten człowiek, co z téj rzeki pije, nie brał w siebie téj tylko wody, co po wiérzchu pływa, ale napił się także téj, co pod spodem szumi. A dlaczego panowie wszystko to wiedzą i mają? dlatego, że ojcowie i dziadowie panów byli ludzie honorowi i oświeceni. Otóż mnie się zdaje, że dobrze-by było, gdybyśmy tém, co mamy, jedni z drugimi dzielili się: gdyby panowie od nas nauczyli się być przewidujące, obrotne i wytrwałe, a nas uczyli, co to jest prawdziwy honor i prawdziwa edukacya. Czy pan zrozumiał, co ja myślę? Może ja źle powiedział?

— Panie Makower, — rzekł Mieczysław, — słowa pańskie są tak jasne i zrozumiałe, jak rozumną i szlachetną jest myśl, która je podyktowała

Na twarz Elego wybił się wyraz żywego zadowolenia.

— Nu, — rzekł, — ja bardzo kontent jestem z tego, że pan mnie zrozumiał. Ale ja jeszcze niewszystko powiedział. Ja stracił syna... on nie umarł... on przepadł. Nu, co robić? już ja jego nie wyratuję. Ale ja nie chcę, żeby inni moi synowie tak samo poprzepadali, albo żeby oni wy-

rośli na takich edukowanych puryców, co to żadnego gruntu pod nogami nie mają, a są jak chorągiewki na dachach i w którą stronę wiatr powieje, czy ku sprawiedliwości, czy ku niesprawiedliwości, czy ku honorowemu postępkowi, czy ku podłemu — w tę oni obracają się. Ja moje dzieci kocham i chcę im edukacyą dawać, i chcę, żeby z nich prawdziwe ludzie byli... Ale jak to zrobić?... tego nie wiem... i nikt z naszych Żydów nie wié. Nu, ja przychodzę już do końca mojego mówienia. Ja panu dobrze zrobił i jeszcze więcéj zrobię. Czy pan mnie za to nauczy, co ja mam dla moich dzieci robić, żeby oni dobre, rozumne i szczęśliwe byli, nie takie jak... tamten mój syn, co przepadł?... Czy pan mi pokaże, jaki to ma być ten grunt, o którym mnie mój stary ojciec gadał, że jak kto jego pod nogami swemi nie ma, to chodzi po świecie, jak pijany, aż w rów głęboki upadnie?

Wymawiając ostatnie słowa, Eli powstał. Silne wzruszenie, wzruszenie myśli i serca, aż do podstaw wstrząśnionych wielkim, przerażającym ciosem, odmalowało się na jego twarzy.

— Panie Makower... — zaczął Mieczysław.

Ale Izraelita przerwał mu znowu:

— Niech pan jeszcze nie mówi. Ja jeszcze wszystkich myśli moich nie wypowiedział. Ja pana znam i wiem, że pan na moje pytanie odpowié:

„dobrze!" Ale to nic nie pomoże, i jeżeli my dla siebie zostaniem obcymi, to jeden od drugiego nic nie skorzystamy. Jabym chciał przyjacielem pańskim być, przyjacielem prawdziwym, takim, co do pańskiego domu przyjdzie i radzić panu będzie, i całym rozumem swym podzieli się z panem; takim, co nie będzie u pana, jak gość, co przy progu siada i któremu wielki honor robią, jeżeli szklankę herbaty podadzą, ale takim, przed którym serce i wszystkie myśli otwierają się. A może i pan też nie pogardzi domem Żyda i przyjdzie czasem na jego dzieci spojrzéć, i zdanie swoje o nich wydać, czy one źle rosną, czy dobrze, tak, jak ten Żyd znowu patrzéć będzie na pańskie interesa i mówić, czy one dobrze idą, czy źle. Ot i wszystko. Ja to wziął z ust mego starego ojca i z tego ciężkiego doświadczenia, które ja przebył, i z długiego, bardzo długiego myślenia. Jak panu zdaje się? czy te myśli dobre są i czy pan się na nie zgodzi.

— Myśli twoje, panie Eli, rozumne są i zacne, a w czyn zamienione, zbawić mogą od wielu nieszczęść! — z gorącém uczuciem i radośnie rozjaśnioném czołem odparł Mieczysław. — Przymierze wzajemnéj pomocy i przyjaźni, które mi ofiarujesz, przyjmuję z radością.

Eli miał już twarz rozpogodzoną zupełnie. Na ostatnie słowa Mieczysława skinął głową, potwierdzająco, uśmiechnął się i rzekł:

— A czy pan wié, czego trzeba, ażeby takie przymierza, jak nasze, zawierały się często?... Ja panu powiem. Trzeba, żeby my, Żydzi, mogli panów szanować. Ja pana szanowałem, a z tego szacunku urodziła się w mojém sercu dla pana... wielka przyjaźń.

Podali sobie ręce i połączyli je długim uściskiem. Na twarzach ich jaśniały uczciwe, serdeczne uczucia: wiara w przyszłość i dobra nadzieja.

KONIEC.

BIBLIOTEKA PODRĘCZNA

884-3 =84

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0473005